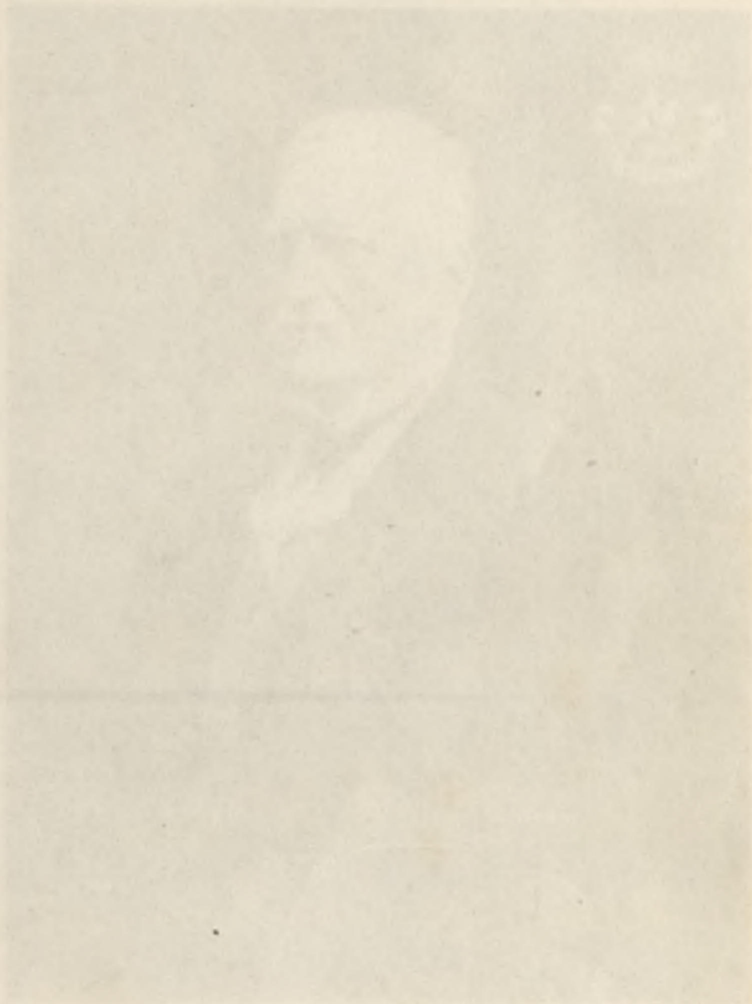
ROMAN SANGUSZKO





Roman Sanguszko

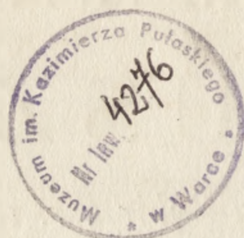
ROMAN SANGUSZKO

zesłaniec na Sybir z r. 1831

W ŚWIETLE PAMIĘTNIKA MATKI
KS. KLEMENTYNY Z CZARTORYSKICH SANGUSZKOWEJ
ORAZ KORESPONDENCJI
WSPÓŁCZESNEJ



WARSZAWA
GEBETHNER I WOLFF
1927



Z niewydanych dokumentów
tłumaczyła i przypisami opatrzyła

K. FIRLEJ BIELAŃSKA

Słowo wstępne

JÓZEFA HR. POTOCKIEGO

Przedmowa

HENRYKA MOŚCICKIEGO

SŁOWO WSTĘPNE

Pamiętnik ks. Klementyny z Czartoryskich Sanguszkowej o losach jej syna Romana, zesłanego na Sybir za udział w powstaniu listopadowem, był w posiadaniu mego Ojca, wnuka ks. Romana po kądzieli. Pamiętnik ten, własnoręcznie przez autorkę pisany, był chlubą i klejnotem rodzinnego naszego archiwum w Antoninach na Wołyniu.

Uratowany przez rodziców moich wraz z korespondencją i pamiątkami po ks. Romanie z rewolucyjnej pożogi 1918-go roku, stanowi on przeważną część niniejszego wydawnictwa i został jedynie uzupełniony wyciągami z korespondencji, opisującej dalsze losy wygnańca do chwili, kiedy w r. 1844, na zdrowiu złamany, ale w duchu nieugięty, mógł na stałe do rodzinnej powrócić ziemi.

Tłumaczenia oryginału pamiętnika z francuskiego na język ojczysty oraz zebrania i uporządkowania materjałów historycznych, związanych z osobą Romana Sanguszki, podjęła się p. K. Firlej Bielańska, autorka znanego w Polsce

dzieła: „Nullo i jego towarzysze“. Zadanie to wykonała nietylko z pietyzmem dla tradycyj rodzinnych, ale również dbając o historyczne oświetlenie i ścisłość opisywanych zdarzeń; niech mi też wolno będzie wyrazić jej na tem miejscu słowa prawdziwego uznania i podzięki za dokonaną pracę.

Czem był ks. Roman w zastępie męczenników za sprawę narodową, których imiona dzwonią głuchym brzękiem kajdan poprzez okres naszych dziejów porozbiorowych? Jedni, szczęśliwsi od niego, wcześniej do kraju i rodzin powrócili, drugim nie dane było już nigdy Ojczyzny zobaczyć: zginęli gdzieś na krańcach Sybiru, a pamięć ich otoczona jest na zawsze aureolą bohaterstwa. Roman Sanguszko był więc jednym z wielu — ale osoba jego wśród wygnańców na Sybir z 1831 roku była jedną z przodujących, najbardziej może znaną i dlatego z taką szczególną nienawiścią traktowaną przez cesarza Mikołaja I-go, którego widocznym było zamiarem, aby ten właśnie osobisty jego skazaniec stał się przestrogą dla innych.

Ta okoliczność sprawiła, że Roman Sanguszko przez postawę, jaką w tych próbach zachować umiał, stał się dla wielu powstańców szczytnym przykładem odwagi własnych przekonań i wytrwałości w cierpieniach, że, krzepiąc ducha innych, przysłużył się rodakom w dobie nieszczęścia narodowego.

Godzi się taką zasługę na świat wydobyć i z szerszym ogółem podzielić się bliższemi o niej wiadomościami. W czasie zaś obecnym, kiedy wiara, wytrwałość i zalety charakteru największej są potrzebne w dziele odbudowy i umocnie-

nia naszego państwa, nie wydaje mi się od rzeczy odtworzenie sylwetki ks. Romana, który te właśnie cnoty najwyżej cenił i którego zasadą życiową pozostało poświęcenie swojej osoby dla sprawy narodowej.

Józef Potocki

Warszawa 12-ty września 1926.

PRZEDMOWA

Wśród jednego z najdotkliwszych, jaki znają dzieje, politycznego upadku, wśród szeregu niepowodzeń, nieszczęść i klęsk porozbiorowej doli, społeczeństwo polskie zachowało niezłomną zdolność odradzania się, rozpoczynania po każdej klęsce pracy na nowo; nie wyzuło się ani z wiary, ani z poczucia obowiązku, — pozostało wierne swej poważnej przeszłości i zdumiewające składało dowody mocy wśród srogiej niedoli.

Tej cnoty w upadku, tej twórczej siły wśród słabości, tej polskiej v i r t u s żywiołem, dźwignią i uosobieniem stał się cały zastęp patrycjuszów i plebejuszów porozbiorowych, w których cechach duchowych odnajdujemy przymioty i warunki niezbędne, aby naród, co utracił niepodległość, istniał, przechował świętość tradycyj, związał choćby najsroższą teraźniejszość z wiecznem posłannictwem przyszłości i zachował godnie w majestacie nieszczęścia swoje w świecie stanowisko, poczucie swojego prawa do istnienia.

Do tego zastępu należy Roman Sanguszko. Potomek dwóch rodów, z których jeden, Sanguszków, zaważył w dziejach narodu w czasach najpomyślniejszych i największej naszej potęgi mocarstwowej, drugi, Czartoryskich, co w okre-

sie rozgromu ratował tonącą nawę ojczyzny i sławę niósł zbawczą wśród poniżenia ducha, grobowym przywalonego kamieniem — książę Roman z dostojnej puścizny przodków wziął przedewszystkiem ciężar obowiązku i ofiarnej, do najcięższych poświęceń i rezygnacyj zdolnej służby dla kraju.

W odbieraniu i przeżywaniu uderzeń i dopustów losu tkwiła w nim zaciętość jakaś i upór niezwykły. A tych właściwości charakteru nie wziął od rodzica, księcia Eustachego, człowieka o sarmackim raczej typie rycerza, zbrojnego w odwagę junacką, lecz o sercu tkliwem, sentymentem przepojonem — iścizny duszy księcia Romana szukajmy snadniej w surowych postaciach owych Giedyminów, Lubartów, Kiejstutów i Olgierdów, od których ród swój wiodą panowie Sławuty, Białego Kowla, Antonin i rozległych, w bezkreśne stepy rozwiniętych włości wołyńskich; w tym, którego nosił imię, zwycięzcy groźnych cara pod Ulą zastępów i w onym pośle do Moskwy, Szymonie Samuelu, który, „schizmatyckie odrzuciwszy błędy i z kościołem się rzymskim pojednawszy“, uginał hardego czoła jeno przed majestatem Najwyższego.

Przedstawiciel rodu, co niewymuszoną wolą zespolił się z Polską i w blaskach Unji Lubelskiej wieczyste czynił ślubowanie: „jednej nierozdzielnej spolnej rzeczypospolitej“, wierności tej dalszy dał wyraz, mocny, zacięty, z p r z e k o n a n i a nieubłaganie wytrwały.

Dzieciństwo księcia Romana upłynęło w troskliwej atmosferze ciepła rodzinnego domu, pod opieką kochającej matki, wśród beztroskich zabaw ze starszą o rok siostrą, Dorotą, i młodszym bratem, Władysławem. Zaranie jego młodocianego wieku opromieniła glorja napoleońskiej epopei, w której, wierny dawnemu powołaniu, wybitny miał

wziąć udział ks. Eustachy. Lata 1805 — 07, rozgrom Austrji i Prus, utworzenie Księstwa Warszawskiego, kampanja księcia Józefa w 1809, wreszcie brzemienny tylu nadziejami i majestatem klęski pokryty rok 1812-ty — oto pasmo zdarzeń, lite wielu świetnemi Polaków czynami, które stanowiło ogólne tło i pokarm dla wrażliwej duszy dwunastoletniego Sanguszki.

Potem przyszły lata zdobywania wiedzy, podróże zagraniczne, polerujące umysł, rozjaśniające horyzonty myśli polotem wykładów najgłośniejszych uczonych oraz bezpośrednią obserwacją życia. Paroletnią przerwę stanowiła przymusowa, na wyraźne życzenie Aleksandra I, służba wojskowa w petersburskich kawalergardach. Ale nie pociągały Sanguszki blaski i ponęty dworu carskiego, zresztą zdrowie poczęło szwankować; uzyskawszy szczęśliwie prawo zrzucenia munduru, wraca do przerwanych studjów, poczem oddaje się pracy w rodowej Sławucie. Z wiarą i zapałem podejmuje rozległe plany racjonalnej gospodarki rolnej i przemysłowej. Przykład ościennego Królestwa, gdzie pod energiczną dłonią ministra Lubeckiego rozkwitało życie gospodarcze kraju, żywym musiał być wzorem dla pomysłów młodego księcia.

Niebawem szczęście zawitało pod dach sławuckiego dworu, szczęście serc bliskich, radosnych ciepłem rzetelnego uczucia. Małżeństwo z Natalją Potocką wniosło w życie księcia Romana pierwiastek tej szczególnej podniety w działaniu, jaki jest udziałem ludzi szczęśliwych radością serc kochających. Niestety, gościło krótko i prysło pod nieubłaganym losu wyrokiem. I odtąd poczyna się wiek klęski. Nad Sławutą zawisł całun żałobny, a w duszy księcia, zamkniętej teraz i w bólu skamieniałej, ponure rozsiały się smutki. Wrastał w milczącą zadumę i cierpienie, jemu tylko ogromem swym wiadome.

Wtem gruchnęła po kraju, zrazu cicha, szeptami niesiona, niebawem coraz głośniejszą rozlewająca się falą, wieść o wybuchu listopadowym w Warszawie. Ile tylko od pięciu wieków nasiąkło polskości w ziemie ruskie, wybuchło teraz żywiołem uniesienia, rozpłomieniło pragnieniem czynu, pragnieniem współdziałania z braćmi z za Bugu. Serca ogarnęły „oczekiwania tęskne i radosne“, jak w onym roku „niebieskim oznajmionym cudem“. Budziły się zaścianki, niezwykłą nocną wrzawą rozbrzmiewały dwory, błyskały wydobyte z ukrycia oręże, kościuszkowskiej lub napoleońskiej jeszcze walki znaczone stygmatem. Z namiętną ufnością, w skupieniu i w modłach strzelistych, w siarczystych na zjazdach dysputach, w poświstach wichrów stepowych, niosących echa dawnych bojów, i w tęsknych za wolnością żalach kurhanów czekano na podanie hasła z Korony. Gdy padnie pobudka, tysiące szabel wzniesie się na pohybel tyranowi, tysiące piersi stanie murem wobec odwiecznego wroga!

Jest doprawdy jakiś niezwykły tragizm w owem ufnem wielotygodniowem oczekiwaniu Litwy i Rusi na wezwanie do czynu i czynu tego poparcie, tragizm tem większy, że wojna r. 1831-go w swem głębszem ideowem założeniu była przedewszystkiem walką o ziemie litewsko-ruskie. Ale tej idei, jako też strategicznej konieczności rychłego przeniesienia działań wojennych za Niemen i Bug, nie zdolano wporę nad Wisłą ocenić i zrozumieć.

Spóźnione w poparciu przez polską armję regularną, powstanie t. zw. ziem zabranych było już tylko beznadziejnym odruchem, krwawą demonstracją, zgóry skazaną na niepowodzenia.

Tymczasem napięcie polskości, zwłaszcza wśród szlachty pomniejszej i mieszczaństwa, było ogromne. „Jęliśmy się oręża w duchu jedności z Królestwem... Za powinność po-

czytujemy zgodnie jeden z Polską składać naród“ — głosiły akta powstań prowincjonalnych. Ta sama myśl złotą wije się nicią w adresie reprezentantów Litwy, Wołynia, Podola i Ukrainy, złożonym sejmowi warszawskiemu, albowiem „lata ucisku i niewoli od ostatniego rozbioru nie potłumiły w sercach... miłości wspólnej Ojczyzny i dążenia ku zlaniu się w jedną narodową całość, która niezatarta granicami, doczesną przemocą wytkniętemi, trwa pod strażą historji we krwi spólnej, w jedności uczuć, pamiątek, języka, nieszczęść i wspólnej nadziei“.

Może nie wszystkie serca, zwłaszcza nazbyt troskliwe o dobra doczesne, ożywiały podobne uczucia, ale na pewno tak myślał i czuł książę Roman Sanguszko.

Trafnem wiedziony przeczuciem o niemożliwości natychmiastowego powstania na Wołyniu, postanowił niezwłocznie udać się na plac boju. „Chcę dowieść, — rzekł na pożegnanie matce — że właśnie krew szlachetna zdolna jest do największych poświęceń i największych ofiar; choćbym miał być natychmiast rozstrzelany, postanowienia swego nie zmienię“. I poszedł za głosem krwi dostojnego rodu, którą miał na nowo uszlachetnić kajdanami skazańca.

Przeżycia w powstaniu i długoletnie męki kaźni, cierpienia i plugawe znęcanie się wroga z wymowną prostotą kreśli serdeczne pióro matczyne. Dopełnieniem tej opowieści matki - Polki są poufne listy, w których odsłania się ta dusza piękna a niepowszednia.

Imię księcia Romana Sanguszki przeszło do narodowej legendy. Nie czynów świetnością, bo tych los okrutny nie dał mu dokonać, lecz granitową stałością charakteru jaśnieć będzie ten niezłomny książę w dziejach męczeństwa Polski. Uświetni herbowy znak rodu swem dostojnem, odważnem wyznaniem, że co czynił, czynił z p r z e k o n a n i a, i „przed ka-

towskim nie zbladnął obuchem, ani się spłonił na widok powroza".

Złamany własną i kraju niedolą, niemy świadek dalszych narodu katastrof, w pracy około podźwignienia gospodarczego szukał zapomnień i ran krajowych zabliźnienia. Postać uderzająco silna i hartowna, tęgością duszy przypominająca cnotliwych starożytnego Rzymu obywateli, świecić będzie po wszystkie czasy przykładem, „jakich Polska miała synów" i jacy Jej ducha, chroniąc przed zagładą, wiedli ku dalszemu pełnieniu przeznaczeń dziejowych.

Henryk Mościcki.

PAMIĘTNIK
KS. KLEMENTYNY SANGUSZKOWEJ

Syn mój Roman 16 maja 1829 r. poślubił Natalję Potocką. Wybór ten podyktowała mu nie miłość, lecz dojrzała rozwaga oraz przeświadczenie, że ze wszystkich kobiet, jakie znał, Natalja była dla niego najodpowiedniejsza. Miłość zrodziła się dopiero w kilka tygodni po ślubie; była tkliwa, potężna i niepodzielnie zawładnęła jego sercem. Szacunek nadał jej tę moc. Gdy się przekonał, że małżonka jego łączy z wdziękami, płci swej właściwemi, umiłowanie cnoty, był zupełnie oczarowany. Natalja podzielała jego miłość. Była również przeświadczona, iż w małżonku swym znalazła jedynego człowieka, godnego jej serca. Zapragnęła więc gorąco jeszcze bardziej doskonalić się w dobrem, aby zasłużyć na uczucie, które wzbudziła, i zachować je.

Związek ten trwał osiemnaście miesięcy; 17 listopada 1830 roku, po czterodniowej chorobie, Natalja skonała w objęciach swego męża. Rozpacz syna mego była straszna. Dłużej niż dobę pozostawał on przy zimnych jej zwłokach, a następnie własnemi rękoma złożył je w grobie. Nerwy jego były poszarpane; wpadł w najcięższy stan przygnębienia, przyszła mu myśl wstąpienia do klasztoru, mianowicie do kapucynów w Ostrogu. Zaczął nawet prowadzić tryb życia mniszy, pełen umartwień.

29 listopada 1830 r. wybuchła w Warszawie rewolucja. Wołyń był zupełnie odcięty od świata i pozbawiony wiado-

mości. Syn mój jednak dowiedział się, że Polacy chwycili za oręż przeciw odwiecznemu ciemięzcy. Wszystkie siły jego ducha, unicestwione, że tak rzeknę, rozluźnione przez ból, odzyskały dawną energję. Powziął szlachetne postanowienie oddania się sprawie swej nieszczęśliwej ojczyzny. Pomyślnym trafem miał w ręku paszport, który wyrobiono dlań zaraz po śmierci żony, aby mógł mnie odwiedzić w Galicji. 5 lutego 1831 r. (w dniu pamiętnym dla nas, gdyż był to dzień przejścia armji rosyjskiej przez Bug) przybył do mnie mój syn. Zatrzymał się w Tarnowie przez 12 dni, w ciągu których poczynił niejakie przygotowania. — „Zastanowiłem się dobrze nad krokiem, który czynię“ — rzekł do mnie w chwili odjazdu. — „Przyniesie on pożytek mojemu Ojcu, mej rodzinie, mojemu krajowi. Chcę dowieść, że właśnie krew szlachetna zdolna jest do największych poświęceń i największych ofiar; choćbym miał być natychmiast rozstrzelany, postanowienia swego nie zmienię“.

Dołożył starań, aby zataić swe przedsięwzięcie a to dlatego, że bał się ściągnąć prześladowanie na głowę ojca, który bawił wówczas na Wołyniu, dokąd pośpieszył natychmiast po nieszczęsnej wiadomości o śmierci naszej synowej. Roman przeprawił się przez Wisłę w nocy; była to przeprawa bardzo niebezpieczna, gdyż rzeka już nawpół była puściła. Przybywszy do Warszawy, poszedł natychmiast przedstawić się Chłopickiemu. Generał starał się wszelkiemi siłami nakłonić go, aby wracał do domu i nie narażał życia i fortuny, wprost zakazał mu nawet wstąpienia do wojska; jednakże postanowienie mego syna było niezłomne, całą siłą szlachetnego serca pragnął przyczynić się do oswobodzenia ojczyzny. Niepoznany przez nikogo, był świadkiem bitwy pod Grochowem, następnie jednak musiał, z wyższego rozkazu, opuścić Warszawę i znów przyjechał do mnie do Tarnowa. Nazajutrz po przybyciu wy-

brał się, pod pozorem załatwienia interesów, do Lwowa i bawił tam przez tydzień, prowadząc pertraktacje z ks. Lobkowicem, gubernatorem Galicji, który powziął dlań wiele szacunku i przyjaźni. Następnie, zabawiwszy u mnie zaledwie parę dni, wrócił do stolicy i zaciągnął się do wojska. Nowym obowiązkom oddał się z zapałem i z poświęceniem bez granic. Myśli i zamierzenia jego kierowały się w stronę Wołynia. I bezwątpienia, gdyby się tam zdołał był przedostać, wypadki przyjęłyby były inny obrót... 19 czerwca zdarzyło się, że mój nieszczęśliwy syn, wysłany z rozkazami generała Jankowskiego, wpadł w ręce Moskali. Był sam jeden i został otoczony; chciał się bronić do ostatka, lecz gwałtowne uderzenie szablą w głowę pozbawiło go na chwilę przytomności. Gdy go prowadzono przez Wołyń, Polacy, pozostający w służbie rosyjskiej, proponowali mu uławienie ucieczki, która miała wszelkie widoki powodzenia. Odmówił, nie chcąc narażać tych ludzi.

Mąż mój bawił wówczas w Sławucie, zupełnie samotny i pozbawiony wszelkich wiadomości od swoich synów; dniem i nocą nie przestawał błagać Boga, aby błogosławił sprawie narodowej, i oczekiwał z upragnieniem chwili, kiedy dane mu będzie stać się jej użytecznym. Pewnego dnia ujrzał zajeżdżającą przed dwór gromadę żandarmów z kapitanem na czele. Oficer ten przedstawił mu rozkaz p. Lewaszewa, wojskowego gubernatora Wołynia, aby stawił się w Żytomierzu pod strażą oddawcy tego pisma. Mąż mój był posłuszny, z wściekłością w duszy (niestety, jakże możemy się uchronić od uczucia nienawiści, gdy Bóg poddaje nas pod jarzmo cudzoziemca i to jakiego cudzoziemca!). W Żytomierzu umieszczono go na kwaterze u kapitana, który go przywiózł. Po upływie kilku dni kazał zapytać gubernatora, jaka jest przyczyna takiego z nim postępowania? W odpowiedzi gubernator zaprosił go na

obiad, po obiedzie zaś oznajmił mu, że syn jego został wzięty do niewoli i że niezwłocznie prowadzić go będą przez Żytomierz. Ale tego nie powiedziano memu mężowi (co było prawdą), że powodem wywiezienia go z domu w sposób tak nieprzyjemny była obawa, aby nie próbował on odbić syna siłą w chwili, gdy go będą prowadzili wpobliżu jego majątku.

Przezorność iście rosyjska!

Strach kieruje czynami Moskali, ale wychodzi im to na dobre, gdyż z powodu tego strachu nie zaniedbują żadnego środka ostrożności.

Kiedy syn mój przybył do Żytomierza, p. Lewaszew pozwolił mu przepędzić całą dobę w towarzystwie mego męża. To widzenie się ojca z synem byłoby nieskończenie bolesne, gdyby w sercach ich nie żyła jeszcze wiara w zwycięstwo oręża polskiego.

Spotkanie to nie było bez korzyści dla mego syna; ojciec wlał jeszcze więcej hartu i energji do jego duszy, już i tak mężnej i pięknej, i umocnił go w postanowieniu, aby jedynie swój honor miał na względzie.

Romana poprowadzono do Kijowa, gdzie stał kwaterą feldmarszałek Sacken, mający pod swemi rządami „prowincje zabrane“.

Stawiono go przed sądem wojennym. Zachował się, jak bohater.

Nie znam dokładnie historji jego sprawy, zaznaczam tylko to, co doszło do mojej wiadomości. (Kiedy widziałam się z nim samym w Kijowie, opowiedział mi kilka szczegółów, poczem rzekł: „Była tam chwila bardzo nieprzyjemna“. A gdym pytała: — Co to było?, odparł: „Wolę, żebyście nie wiedzieli o tem, dopóki znajduję się w ich rękach“). Najcięższym punktem oskarżenia — jak mi opowiadał — była zmiana nazwiska. Syn mój służył w wojsku polskiem pod

nazwiskiem Stanisława Lubartowicza. Spodziewał się, że w ten sposób zatai swą obecność w armji, gdyż obawiał się ściągnąć prześladowanie na ojca. Imię to i nazwisko nie były zresztą wcale fałszywe: Stanisław — to jego pierwsze imię chrzestne, a Lubartowicz — to pierwsze najchlubniejsze i najstarsze nazwisko Sanguszków, zaznaczające pochodzenie ich od Lubarta, syna Gedymina. Roman nie wiedział, że zmianę nazwiska Moskale uważają za zbrodnię, ale szczęśliwe natchnienie kazało mu na pierwsze, zwrócone do niego pytanie: „Jakie jest jego nazwisko?“ odpowiedzieć: — „Stanisław Roman Lubartowicz Sanguszko“.

Opowiadał mi, że sędziowie, usłyszawszy to, literalnie otworzyli usta ze zdziwienia i, zupełnie zbici z tropu, zaczęli pytać jedni drugich, co te nazwiska oznaczają? Jeden z nich wyraził zdanie, że jest to coś podobnego, jak u Rosjan: „Dybicz Zabałkański“. Drugie pytanie, które zadano memu synowi, brzmiało: „Czy przeszedł on do służby w wojsku polskiem za wolą ojca?“.

Odpowiedział: „Wbrew jego woli“.

Interpelator, a był nim audytor generalny, odparł, że to wielkie przestępswo, i że za taką zbrodnię Piotr Wielki kazał uciąć głowę swemu synowi. Byłabym się dowiedziała więcej szczegółów, ale dnia tego przerwano nam rozmowę, następnego zaś syn mój, przez miłość oszczędzając mi wstrząśnień moralnych, nie chciał nic opowiadać, pomimo mych nalegań.

Niejaki Maliszkiewicz, długoletni nasz oficjalista, udał się z polecenia mego męża do Kijowa, aby tam czuwać nad sprawą Romana. Ale nie pozwolono mu zamieszkać w tem mieście; wtedy mąż mój wystawił dlań pełnomocnictwo do zarządzania majątkiem, który miał w gubernji kijowskiej, aby mu dostarczyć powodu do osiedlenia się tam. Dał mu

również do rozporządzenia wielkie sumy pieniężne. Niestety, przyszłość pokazała, że nie był to człowiek dość uzdolniony do przeprowadzenia tak ważnych zabiegów; potrafił on jednak, pomimo wielkich trudności, wydobyć szczegóły o sądzie nad moim synem i napisał naprędce kilka jego odpowiedzi. Gdy sędziowie pytali go: „Z jakiego powodu poszedł bić się w polskich szeregach?“, odpowiedział jednem słowem: „*Z przekonania*“. W jakiś czas później doręczono mu papier z 17-ma czy 18-ma pytaniami ponumerowanemi, na które miał odpowiedzieć piśmiennie. Przy tej sposobności uwydatnił on wobec sędziów śmiałość nieustraszoną. W piśmie tem nazywano Polaków stale: *miatieżniki*. Syn mój przekreślał za każdym razem to słowo i pisał nad niem: *Polacy*. Po raz drugi zadano mu pytanie: „Jaki był powód jego postępku?“ — Napisał „*Miłość Ojczyzny*“. „Jakie były jego zamiary?“ — „*Przyczynić się do jej odrodzenia*“.

Oto wszystko, czegom się mogła dowiedzieć o tym momencie, tak chlubnym dla mego syna i dla mnie. Zrazu wydany został wyrok śmierci, ale sypnięto obficie pieniędzmi, i dekret sądu nie był wcale przedstawiony cesarzowi. Sprawę zaczęto przewlekać. Sędziowie próbowali namówić mego syna, aby postępowanie swoje złożył na karb rozpaczy, w jaką pogrążyła go śmierć żony, ale nie chciał on tego uczynić.

Podczas pobytu mego w Berlinie, gdzie kilka lat mieszkałam dla kształcenia dzieci, widywałam często obecną cesarzową rosyjską przed jej zamążpójściem. Była ona serdeczną przyjaciółką córki, którą mi Bóg zabrał. Możliwość zwrócenia się do niej przychodziła nam nieraz na myśl, atoli nieprzeparty wstręt przed błaganiem naszych ciemięzców wstrzymywał mię od tego kroku, tem bardziej, że pośrednik, który brał od nas pieniądze na koszta sprawy

Romana, łudził nas nadzieją. Syn mój pisywał do nas w sekrecie za pośrednictwem Maliszkiewicza i kilkakrotnie ponawiał prośbę, aby się nie zwracać do cesarzowej. Maliszkiewicz zapewniał w każdym liście, że wszystko będzie dobrze, i ułaskawienie nadejdzie; ponieważ jednak obiecywano nam to ułaskawienie w pewnych określonych terminach, te zaś mijały, nie przynosząc żadnego wyniku, zaczął nas ogarniać niepokój.

W pewnej chwili postanowiłam wyjechać do Kijowa. Wyruszyłam z domu 25 listopada. Przyjechałam tam we dnie. Ponieważ ludzie moi nie znali miasta, przystanęliśmy, aby zasięgnąć wiadomości; przypadek zrządził, iż stało się to właśnie pod oknami więzienia, w którem mój syn był zamknięty, i on sam, poznawszy niespodzianie nasz powóz, o mało nie zemdlał ze wzruszenia. Napisałam do feldmarszałka Sackena, prosząc, aby pozwolił memu synowi przychodzić do mnie; zpoczątku odmówił, ale zastępca szefa sztabu, podówczas nieobecnego, okazał mi tyle współczucia, że wyrobił to pozwolenie. Przez cały tydzień miałam tę pociechę, że oglądałam syna mego u siebie, ale zawsze z wielkiemi utrudnieniami. Kapitan żandarmerji, który go przyprowadzał, obiecywał mi zawsze, że przyjdzie w południe, lecz przychodził dopiero o 3-ciej; wtedy jednak zostawał aż do 7-ej wieczorem. Nieraz zabierałam Romana do mej sypialni, gdzie pozwalano nam być sam na sam, ale nigdy dłużej, niż przez kwadrans, gdyż kapitan, który zostawał w salonie, umierał z niepokoju, gdy tylko tracił z oczu mego syna.

Jakże bolesne było nasze pierwsze widzenie! Gdy tuliłam go w objęciach, straszne przeczucie zwiększało me cierpienie; on również był głęboko wzruszony. Miał jeszcze na sobie mundur wojska polskiego. Od postaci jego biła dostojność i szlachetność, na czole i w całych jego rysach twarzy była jakaś wzniosłość, jakaś rezygnacja, które czy-

niły go istotnym wizerunkiem cnoty, wyższej ponad nieszczęście. I nieraz, patrząc na syna, porównywałam tę szlachetną postać z odpychającą powierzchownością jego strażnika i mówiłam sobie: — „Moja nieszczęśliwa ojczyzna i jej piękna sprawa jest podobna do mego syna, pod uciskiem przemocy nikczemnej i złośliwej".

Ostatni raz, gdyśmy się znaleźli razem przed chwilą rozstania, pewna osoba, która wydawała się godna wiary, przyszła zapewnić nas, że ukaz o ogólnej amnestji został wydany, i feldmarszałek Sacken ma go już u siebie. Gdyśmy zostali sami, syn mój i ja, ubolewając wprawdzie, że dobrodziejstwo zawdzięczamy tak okrutnemu ciemięzcy, zyskaliśmy jednak wskutek tej nowiny więcej siły do pożegnania się z sobą. Czyżbym nie była skonała w jego objęciach, gdyby czekający go los okrutny został mym oczom objawiony? Uwierzyłam z łatwością w amnestję. Akt ten leżał tak bardzo w interesie polityki rządu, że spodziewałam się go oddawna. Nazajutrz rano, przed wyjazdem z Kijowa posłałam dowiedzieć się, czy wiadomość ta jest prawdziwą. Pokazało się, że była błędna!

W tym czasie byłoby łatwo przyszło memu synowi uciec z Kijowa. Przygotowania były już poczynione; lecz złudne nadzieje, jakie dawał sędzia, przekonanie ogólne, że amnestji należy oczekiwać z dnia na dzień — wszystko to powstrzymywało nas od kroku bardzo niebezpiecznego, który napawał nas obawą. Przyszłość dowiodła, jak bardzo zbłądziliśmy. W tydzień po moim wyjeździe, syn mój zobaczył wieczorem, że pod oknami jego celi i dokoła budynku więziennego zaciągają warty, i nazajutrz w południe poprowadzono go pieszo przez miasto, aby mu ogłosić wyrok. Przeczytał mu ów dekret gubernator cywilny. Skazywano go na osiedlenie w Syberji, konfiskatę majątku i utratę szlachectwa. Czyż ta ostatnia kara nie jest dowodem, że



ROMAN ks. SANGUSZKO

Minjatura niewiadomego autora z roku 1823

szlachectwo w samej rzeczy nie istnieje w Rosji, co więcej, że pojęcie szlachectwa jest zupełnie niezrozumiałe dla poziomych umysłów moskiewskich? Nadmienię, że sam cesarz, podpisując dekret, dodał własnoręcznie, że syn mój traci tytuł książęcy.

Opowiadano mi, że Roman wysłuchał ze spokojem tego strasznego wyroku: oznajmiono mu, że wyjedzie za 3 dni. Jeden z sędziów, któremu nieobce było uczucie ludzkości, rzekł wtedy, iż trzeba mu pozostawić kilka dni, aby mógł się zaopatrzyć w futra i odzież podróżną. Gubernator odparł na to, że odtąd rząd będzie miał staranie o jego odzieniu. Mówiono mi, że na te słowa syn mój wzdrygnął się mimowoli. Ale natenczas oszczędzono mu jeszcze ohydnego ubioru skazańca. Zaprowadzono go następnie do więzienia zesłańców, t. zw. *Ostrogu.* W tem okropnem miejscu przebywał trzy dni. Pani Małachowska, z domu Sanguszkówna, bawiąca w Kijowie dla sprawy swego męża, zesłanego do Wiatki, otrzymała pozwolenie odwiedzenia mego syna; zastała go pogrążonego w głębokim smutku, lecz pełnego dostojności. Żądał, by mu pozwolono napisać do nas list i wyspowiadać się. Jednej i drugiej prośbie odmówiono.

Pani Małachowska nie szczędziła zabiegów, aby spełnić życzenie skazańca; sama przyprowadziła księdza do bramy więziennej, ale dozorcy ją odprawili, księdza zaś odpędzili.

Przez kilka dni Maliszkiewicz przygotowywał jak najśpieszniej futra i odzież podróżną. 18 grudnia podług rosyjskiego kalendarza, w sam dzień św. Mikołaja, t. j. w dzień imienin cesarza, syn mój wsiadł do powozu, mając obok siebie oficera żandarmów, a za sobą sanki z kilku żandarmami. Jechał tak przez ulice miasta, rojące się od pojazdów, od wojskowych i urzędników w strojach galowych,

którzy śpieszyli na uroczysty bankiet, urządzany przez feldmarszałka Sackena. Polacy, bawiący wówczas w Kijowie, powtarzali dowcip, że cesarz ofiarował sam sobie, jako prezent imieninowy, tę przyjemność, iż mógł wysłać Sanguszkę na Sybir.

Gdy syn mój dojechał do brzegów Dniepru, zastał tam Maliszkiewicza i kilku znajomych, którzy odprowadzili go na prom. Rozmawiał z nimi w czasie przeprawy. Był bardzo blady; zdawało się, że wychudł, ale na jego ustach igrał uśmiech spokojny. Twarz wyrażała głębokie wzruszenie, opanowane siłą wiary i poświęcenia. W chwili, gdy konie wyciągały powóz na brzeg, Roman zwrócił się do Maliszkiewicza: — „Powiedz pan moim rodzicom — rzekł — by zachowali mi swą miłość; powiedz im, że miałem cel wytknięty i dążę do niego, zgóry zaś wiedziałem, że poświęcam się na cierpienia". Tak rozpoczął swą straszną podróż. Po 5-ciu czy 6-ciu dniach stanął w Orle, gdzie dopiero rozpoczęły się jego udręczenia.

Kurjer przywiózł rozkaz, podpisany własnoręcznie przez cesarza, aby syn mój odbył całą drogę pieszo, jak zwykli zbrodniarze. Gubernator Orła, mający opinję człowieka nader ludzkiego i znający wielu Polaków, był już uprzedzony listownie i uproszony, aby się z Romanem obchodził łagodnie. Zamierzał on wyznaczyć mu kwaterę w swem własnem mieszkaniu, jednak dobre jego chęci zniweczył rozkaz cesarski, wysłany tuż wślad za moim synem; zresztą gubernator był już na wyjezdnem i wnet opuścił Orzeł. Wtedy mój syn pozostał w rękach ludzi brutalnych, którzy zaczęli się nad nim znęcać.

O wyroku, który zapadł na Romana, doniosła nam pani Małachowska; powodowana szczerą przyjaźnią, odbyła ona długą podróż w czasie najostrzejszych mrozów, aby z całą ostrożnością zawiadomić nas o tem nieszczęściu.

Pamiętam, że dnia tego czułam się lepiej, niż kiedykolwiek. Byliśmy w salonie i z kilku znajomemi osobami oglądaliśmy piękne ryciny, gdy nagle weszła nasza kuzynka. Natychmiast przeczułam, że sprawa Romana źle się skończyła. Jakiż ból przeszył moje serce! Przez całą dobę nie mogłam się zdecydować, co należy czynić? Podróż do Petersburga wydawała mi się nad siły..., gdyż od najwcześniejszej młodości czułam niepohamowany wstręt do naszych ciemiężycieli, i zapanować nad nim zdawało mi się rzeczą zgoła niemożliwą. A jednak postanowiłam: napisałam do gubernatora Lewaszewa z prośbą o paszport. Czekałam nań przeszło dwa tygodnie. Straszono mnie, że go nie otrzymam. Niektórzy Moskale uprzedzali mego męża, że, choćbym dotarła do Carskiego Sioła, stamtąd zawrócą mnie z pewnością; radzili, aby mię skłonił do wyrzeczenia się tej podróży. Jednak paszport nadszedł, a ja zaraz zaczęłam się pakować.

Nie znaliśmy wówczas jeszcze w całej rozciągłości cierpień naszego syna. Wiedzieliśmy, że z Kijowa wyjechał we własnym powozie, przypuszczaliśmy przeto, że dalszą podróż odbywa w ten sam sposób. Na Nowy Rok spotkała nas pociecha i pokrzepienie. W obszernej kaplicy sławuckiej w obecności wielu zebranych kapelan nasz, Litwin, wielce zasłużony, wygłosił piękne kazanie na temat *Czasu i Wieczności*. Miał on odwagę przedstawić obraz człowieka cnotliwego w kajdanach, który pod jarzmem ciemięzcy jeszcze wznioślejszy się wydaje, jako wizerunek krótkotrwałej wędrówki ziemskiej, mającej za jedyny cel doprowadzenie nas do przybytku prawdy i sprawiedliwości. Ten piękny obraz, który mógł w każdem sercu rozpalić żądzę męczeństwa, oraz łzy, płynące z oczu obecnych — jawny dowód przywiązania ich do naszego syna, były dla nas wielką pociechą. Ale niedługo trwała ta ulga; nazajutrz, 14 stycznia, w chwili, gdy powóz mój stał już przed gankiem,

i wynoszono rzeczy, przybył pocztmistrz z Ostroga, aby osobiście wręczyć nam list, nadesłany przez naszego biednego syna. Oto jego kopja:

Dt. Orzeł 15/27 Dec. 1831 r.

„Moi kochani Rodzice! Pierwszy ten list odbieracie ode mnie; niezawodnie bardzo on was zasmuci, lecz niechaj spokój, który daje wiara, a o który tyle razy modliłem się dla Was i dla siebie, udzieli Wam siły do znoszenia wszelkich ciosów.

Przyjechałem do Orła z Kijowa dosyć prędko, ale teraz muszę dalej podróż odbywać etapami, razem z partjami zwykłych zbrodniarzy, przeznaczonych na Sybir, co mi przyczyni wiele cierpień i przedłuży podróż do sześciu lub ośmiu miesięcy. Jeżeli możecie, kochani Rodzice, wyjednać mi ulgę w tej ciężkiej podróży, przedewszystkiem zaś możność prędszego dostania się na miejsce przeznaczenia, wiele mi przez to okażecie pomocy. Starajcie się nie poddawać zwątpieniu, szanujcie zdrowie, jako moją jedyną nadzieję; błogosławcie wnuczkę, jako waszą krew, a nadto kochajcie przywiązanego do Was syna, który całe swe szczęście pokłada w waszej miłości. Niech Was Bóg wspomaga i błogosławi, zarówno jak i całą naszą rodzinę. Obym jeszcze kiedy doznał pociechy, całując ręce Wasze —

Wasz syn Roman“.

List ten pogrążył nas w bólu! A jednak zataił on nam jeszcze najokropniejszy szczegół: syn nasz miał odbywać podróż pieszo, przykuty, tak jak inni, w czwórkę do żelaznego drąga.

Mąż mój był zmiażdżony bólem; mnie Bóg dodał mocy. aby znieść wszystko, co serce ludzkie może wycierpieć. O piątej rano byłam już w drodze. W ciągu podróży swej

oglądałam wciąż, co piętnaście lub dwadzieścia wiorst rozmieszczone wzdłuż drogi, okropne więzienia etapowe. Są to małe czworoboki, otoczone palisadą z balów zaostrzonych, tak wysokie, że z poza niej ledwie dojrzysz dach domku, w którym tłoczą się nieszczęśliwi zesłańcy.

Przez całe życie nie zapomnę tego, co widziałam i odczuwałam w Owruczu: serce mi się krajało na widok zniszczenia, które świadczyło o rozpaczliwych walkach, jakie się tam toczyły, i o zemście wroga, przewyższającej okrucieństwem wszelkie pomysły tyranji. W Owruczu powóz mój stanął przed pocztą, zmieniano konie. Straszna zadymka potęgowała smutek. Naprzeciw poczty znajdował się okropny „ostróg", czyli więzienie. Warta stała przed bramą, zbudowaną z ogromnych pali. Wtem ujrzałam przechodzącą kobietę, której smutny wygląd mnie uderzył, postać jej uginała się, jakby pod ciężarem krzyża; zdawało się, że największego używa wysiłku, aby nie upaść. — O Boże mój! zawołałam w głębi serca. — Oto matka równie jak ja nieszczęśliwa!

Na Białej Rusi pomiędzy Mohylowem a Witebskiem przejeżdżałam koło Smolan, kolebki naszego rodu, i myślałam o bólu, jakiego doznają dostojni nasi przodkowie, jeżeli z wyżyn przybytku spokoju widzą otchłań nieszczęścia, w jaką wpadła ich ojczyzna i ich potomkowie.

Po dwóch tygodniach bardzo męczącej podróży przybyłam do Petersburga. Bawili tam dwaj moi bliscy krewni, Jan Zamoyski, mój siostrzeniec, i ks. Maksymiljan Jabłonowski, stryj mojej matki. Poza tem nie miałam żywej duszy znajomej; dwie osoby, na które liczyłam, były nieobecne. Zamoyski poradził mi zapoznać się z panią Fiquelmont. Pani ta, urodzona w Kurlandji, wychowywała się we Włoszech, tam wyszła zamąż bardzo młodo za hr.

de Fiquelmont, dyplomatę austrjackiego, który jest teraz ambasadorem Austrji w Petersburgu. Ta młoda kobieta, łącząca piękność z wielką dobrocią serca i powabami umysłu, okazała żywe zainteresowanie się losem mego syna. Spotykała się z nim we Włoszech i Wiedniu, a z Natalją łączyła ją niegdyś prawdziwa przyjaźń. Napisałam do niej bilecik; przyszła do mnie natychmiast, i nie było przysługi, którejby się nie starała mi wyświadczyć. Wdzięczność dla niej zachowam przez całe życie.

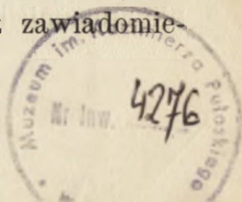
Książę Lubecki również ofiarował mi swe usługi. Przysłał mi bruljon listu, radząc, abym w ten sposób napisała do cesarzowej. Przytaczam tu próbę stylu, który chciano mi narzucić:

...Krzepiąc się wspomnieniem, zawsze żywem w mych myślach, wszystkich dowodów dobroci, jakiemi W. Cesarska Mość raczyła mię zaszczycać w szczęśliwszych czasach, ośmielam się zwrócić z błaganiem o nowe jej oznaki, pogrążona w głębokim bólu, który mię przytłacza. O Pani! Mój syn—serce matki pojmie całą moją rozpacz — mój syn jest bez oparcia, bez pomocy, upada pod ciężarem nadzwyczajnych trudów długiej podróży, w klimacie najsurowszym... Niestety, nie próbuję nawet zmniejszać jego przewin, ani usprawiedliwiać postępowania, ale — łaski! łaski dla mego syna, który nie będzie mógł przenieść tylu nieszczęść naraz. Pani, która znasz tak dobrze wszystkie cnoty dostojnego swego Małżonka, racz, błagam Cię, kierować mojemi drżącemi krokami do stóp tronu, bym z łaski jego litości, dobroci, wspaniałomyślności mogła otrzymać złagodzenie losu tego nieszczęśliwego młodzieńca! Nie wyrażam żadnej prośby, gdyż miłosierdzie Monarchy jest nieskończone tak samo, jak pragnienia matki; ale przyjmę, jako łaskę, wszelkie ulgi losu mego syna w jego obecnem położeniu, i serce moje zachowa najżywszą i wieczną wdzięczność etc. etc.".

Nie mam potrzeby zaznaczać, jak nieprzyjemne wrażenie wywarł na mnie ton tego listu. Położyłam całą ufność w siostrzeńcu mym, Janie Zamoyskim, który służył mi z iście synowskiem uczuciem. Widząc, jakim wstrętem przejmuje mię styl ks. Lubeckiego, Zamoyski przyznał, że w istocie taki sposób pisania jest okropny, lecz, niestety, powszechnie przyjęty, i cesarz chce, aby go tak a nie inaczej błagano o łaskę. Dla mnie jednak niepodobieństwem było do tego się nagiąć. Znałam cesarzową o tyle, iż wiedziałam, że musi ona mieć poufałą przyjaciółkę, i wiedziałam, jaki taka przyjaciółka może mieć na nią wpływ. Pani Frederichs, z domu Gurowska, zaprzyjaźniona z nią od lat dziecięcych, była, jak mi mówiono, najczulej przez cesarzową kochana i odpłacała jej serdecznem oddaniem. Postanowiłam więc zwrócić się do niej z następującym listem: —

„Pani, uznasz może za zbyt śmiałą prośbę osoby nieznajomej..., ale mimo żeśmy się nigdy nie widziały, nie jesteśmy sobie zupełnie obce. Znałam całą rodzinę Pani, widziałam Cię dzieckiem w Dreźnie; zresztą miałyśmy wspólny przedmiot przywiązania, a to wystarcza za dawną znajomość. W nieszczęściu, które mię spotkało, przedsięwzięłam podróż... jedynie w nadziei, że jej C. Mość udzieli mi łaski widzenia się z sobą. Ona tak kochała anielską córkę, którą mi Bóg zabrał, znałam ją tak tkliwą i pełną współczucia, że nie mogę przypuścić, aby chciała pozostawić mię na pastwę dojmującej boleści, nie wyciągnąwszy ku mnie pomocnej dłoni. Ach Pani, ty przyjdź mi również z pomocą i pomyśl, że jeśli jest prawdziwe szczęście, to polega ono na wspomaganiu nieszczęśliwych. Spraw, abym mogła zobaczyć się z Cesarzową a wiele uczynisz dla mnie etc. etc.".

Wysłałam ten bilet o godzinie 10-ej z rana, tegoż samego zaś dnia o 10-ej wieczorem młody Lubomirski (Marceli), przyniósł mi list od ks. Lubeckiego, z zawiadomie-



niem, że pani Fredericks zaniosła otrzymany ode mnie bilet cesarzowej, ta zaś, zalana łzami, poszła z nim do cesarza, który zajęty był w tej chwili pracą z p. Lewaszewem. Ks. Lubecki nadmienił, że cesarz wysłuchał ze współczuciem usilnych próśb swej małżonki; oświadczył, iż postępek mego syna może usprawiedliwić rozpacz po stracie żony, nad życie umiłowanej, co mogło zwichnąć jego umysł; nadto sposób, w jaki, W. ks. Konstanty obszedł się z jego ojcem w r. 1825, mógł niezawodnie rozgoryczyć serce młodego człowieka. Pan Lewaszew, świadek tej rozmowy, opowiedział ją p. Ożarowskiemu, prosząc, aby mię o niej zawiadomił, ten zaś pośpieszył do ks. Lubeckiego. Jakże można było wątpić o tem, co zdawało się niewątpliwe?

W serce moje wkradła się nadzieja, że otrzymam pewne ulgi a może nawet ułaskawienie... Zdawało mi się, że wypiłam jakiś napój uspokajający; usnęłam po raz pierwszy od wielu dni spokojniej...

Nazajutrz z rana oznajmiono mi wizytę p. Fredericks. Odrazu mi powiedziała, że cesarzowa była głęboko wzruszona mojem odezwaniem się, że cała we łzach zaniosła mój bilet cesarzowi, który odczytał go kilkakrotnie z wielką uwagą. Cesarzowa kazała mi powiedzieć, że kocha mię bardzo, ale absolutnie nic dla mnie nie może zrobić! Jakże odmalować uczucia, których doznałam, słysząc te słowa? Kilka godzin złudnej nadziei uczyniły cios tem boleśniejszym. Nie mogłam a nawet i nie chciałam ukrywać swego zmartwienia. Pani Fredericks okazała mi wiele współczucia. Resztę dnia przepędziłam w przygnębieniu, zbolała zarówno moralnie, jak fizycznie. Mój siostrzeniec pielęgnował mię troskliwie i nie odstępował ani na chwilę.

Około 10-ej wieczorem służący przyniósł mi bilet, mówiąc po rosyjsku: „Od Carycy“. Ani ja, ani mój siostrzeniec nie zrozumieliśmy go.

NATALJA Z POTOCKICH
ks. ROMANOWA SANGUSZKOWA
1807 — 1830

Wzięłam bilet i poznałam pismo cesarzowej:

„Pani tu, droga Księżno? Chcesz widzieć się ze mną, i ja cię zobaczę! Ale widzenie to będzie dla nas bardzo bolesne. Mój Boże, tyle razy już płakałam, myśląc o Pani; tyle łez wylałam, że nie będę mogła powiedzieć Ci niczego pocieszającego, gdyż nie śmiem tego uczynić! Bilet Twój do Cecylji F. wzruszył mię głęboko. Ujrzeć pismo Twoje po tylu latach; słyszeć, że Ty, matka tak szczęśliwa niegdyś, jesteś tak nieszczęśliwa; wspominać przeszłość: te dni młodości i wesela, spędzone z Twoją Dosią — i porównać je z teraźniejszością, tak posępną dla Ciebie, tak poważną dla mnie! To wszystko sprawia mi ból, a jednak pragnę Cię widzieć. Och tak, z pewnością, droga i biedna Księżno, dam Ci znać przez Cecylję o dniu i godzinie. Niech Cię Bóg wspiera. A. Petersburg 22 stycznia 1832 r.".

Znużona cierpieniem, z trudnością zdołałam ułożyć odpowiedź przyzwoitą na ten list, pełen dobroci: „...Jeśli widok pisma matki nieszczęśliwej tak wzruszył serce W. C. Mości, to z jakiemże wzruszeniem ja poznałam pismo Twoje, Pani, pismo tak miłe niegdyś mojej córce i mnie samej! O jakżeby mi było słodko zawdzięczać Tobie ocalenie mego syna. Bóg zrządził inaczej, moje smutne serce zachowa dla W. C. Mości przywiązanie takie samo, jak w dniach radosnych — błogie wspomnienie błyska czasem, jak gwiazda wśród ciemnej nocy, dziś mnie otaczającej. Będzie dla mnie wielką pociechą zobaczyć Cię Pani, mówić z Tobą o *niej*, a także o *nim*, który cierpi na tej ziemi, skąd odeszła *ona*. Chciej wybaczyć etc. etc.".

Gdy się chciało coś uzyskać lub coś przeprowadzić, rzeczą najważniejszą było nawiązanie stosunków z generałem Benkendorfem. Jaki był jego urząd, nie umiem tego dokładnie określić i nigdy nie mogłam zrozumieć, skąd miał

on tak wielką władzę, a raczej znaczenie. Jest on ponoć szefem policji, ale w rzeczy samej wszystko zależy od niego. Z jego kancelarji wychodzą wszystkie rozkazy; on trzyma w swem ręku nici, które poruszają od końca do końca olbrzymiego cesarstwa niezliczone rzesze urzędników, dzierżących w swych rękach losy nieszczęśliwych więźniów. Poza tem generał jest też prawą ręką cesarza, i wpływ jego odczuwa się we wszystkich sferach. Pochlebne o nim zdania były na ustach wszystkich, ale nikt nie umiał mi wymienić bodaj jednego dobrego uczynku, przezeń spełnionego; zdaje się, że wychwalanie go stało się utartym już zwyczajem.

Równocześnie ze mną bawiła w Petersburgu pani Moszczeńska, z domu Sobańska, czyniąc zabiegi o uzyskanie pewnych ulg dla swych braci. Wiedziałam, że pozostaje ona w dobrych stosunkach z rodziną generała Benkendorfa. Poprosiłam ją więc, aby mi ułatwiła rozmowę z generałem. Tego samego dnia wieczorem doniosła mi, że może przyjdzie on do mnie we czwartek w południe. Minął czwartek, minął piątek — nie doczekałam się. Dowiedziałam się, że był chory, ale już jest rekonwalescentem. Pewnego dnia, słysząc, że ma się lepiej, zdecydowałam się sama pójść do niego. Nieszczęście chciało, że trafiłam na porę obiadową. Nazajutrz przyszła do mnie pani Benkendorf. Wiedziałam, że ma ona duży wpływ na swego męża. Rozkazałam, aby w czasie jej wizyty nie wpuszczano do mnie nikogo, prócz pani Moszczeńskiej, która istotnie po kwadransie nadeszła.

Jak przedtem na Wołyniu, tak potem w Kijowie słyszałam wciąż o złem obchodzeniu się z więźniami polskimi, zarówno z powstańcami, jak i z tymi, którzy byli mniej skompromitowani. Uważałam za swój obowiązek opowiedzieć o tem pani Benkendorf. Opowiedziałam jej, jak bezwzględnie postępowano wobec mego syna, jak nie chciano

dopuścić do niego spowiednika, i dodałam: „Cierpienia mego syna są jeszcze niewielkie w porównaniu z tem, co znoszą tysiące nieszczęśliwych". Rozwodziłam się szeroko na ten bolesny temat; pani Benkendorf słuchała mię dość chłodno. Bawiła u mnie prawie 2 godziny i w chwili pożegnania rzekła: „Pozwoli Księżna udzielić sobie rady? Przy widzeniu się z mym mężem proszę nie wspominać wcale o złem obchodzeniu się, jakiego doznał syn Pani lub inni więźniowie. Cesarz rozkazał donieść sobie wszystko, co Pani mówić będzie, i mąż mój powtórzy mu to dosłownie; podobne skargi zaszkodziłyby wielce Pani sprawie".

Podziękowałam jej za przestrogę.

Gdy wyszła, zaczęłyśmy wraz z panią Moszczeńską ze smutkiem rozważać los tylu nieszczęśliwych, o cierpieniach których chciano umyślnie nic wiedzieć, aby im potem tem śmielej zaprzeczyć. W dwa dni po tej wizycie przyszła do mnie z rana pani Frederichs, przynosząc mi przyjazne słówko od cesarzowej. Powiedziałam jej, że pragnę dostać się do generała Benkendorfa i wybieram się do niego o 6-ej. Powtórzyła to cesarzowej, ta zaś była tak dobra, że napisała własnoręcznie bilecik do generała, zalecając mu, by mię dobrze przyjął i uczynił, co w jego mocy, dla ulżenia memu zmartwieniu. (Sam Benkendorf powiedział mi to później.) Monarchini ta istotnie miała dla mnie serdeczne współczucie, osoba moja przypomniała jej przyjaciółkę, której towarzystwo uprzyjemniało jej młode lata; okoliczności, mające ją odstręczyć ode mnie, nie wywarły wpływu na jej dobre serce.

Oto w jaki sposób Benkendorf wypełnił dobrotliwe życzenie cesarzowej. Przybywszy do niego, zastałam panią Benkendorf i jeszcze kilka dam w salonie; pani Benkendorf natychmiast zadzwoniła na służącego i kazała mu poprosić swego męża. Gdy ten wszedł, wyprosiła swoich gości i sama

wyszła do sąsiedniego pokoju; widziałam przytem w jej zachowaniu się coś trwożliwego, co wydałoby się dziwne komuś, nieznającemu charakteru rosyjskiego. Rosjanin bowiem, gdy dojrzy cień bodaj władzy, drży ze strachu; pani ta wiedziała dobrze, że mąż jej (w tym zwłaszcza wypadku) jest tylko tłumaczem cesarza. Gdyśmy się znaleźli sam na sam z generałem, przypomniałam sobie o pochwałach, któremi go tyle razy przede mną obsypywano, i powiedziałam mu komplement, oświadczając, że pociechą jest dla mnie świadomość, iż los mego nieszczęśliwego syna w części od niego zależy. Nie odpowiedział wcale na moje pochlebne słowa; zdawało się, że ich nie słyszy. Znać było, że skupił całą uwagę, aby nie zapomnieć ani słówka z tego, co mu kazano powiedzieć.

Po chwili rzekł do mnie: „Pani ma bardzo mylne wyobrażenie o Syberji, Syberja jest piękniejsza od Polski, o wiele piękniejsza... (po małej pauzie) piękniejsza, niż wszystkie kraje, jakie pani widziała". Usłyszawszy te dziwne słowa, powiedziałam sobie w duchu: „Otóż jest ich perła!" i milczałam. On ciągnął dalej: „Co się tyczy traktowania, syn pani jest doskonale traktowany, wszyscy są traktowani z jak największą względnością, dbamy o nich bardzo, bardzo; rozkazy cesarza są pod tym względem dokładne; ja wiem o wszystkiem, co się dzieje; codziennie składają mi raporty; podróż ich odbywa się wygodnie etc. etc.". Jakiegoż uczucia doznawałam, słysząc te słowa, ja, która od pół roku nie słuchałam niczego innego, tylko rozdzierających serce opowiadań o niedoli biednych więźniów!

„Narazie — ciągnął dalej generał — uzyska pani dla syna wszystko: pobyt w samym Tobolsku, służbę, korespondencję, możność przesyłania pieniędzy i rzeczy; po upływie pół roku zorjentujemy się dokładniej; teraz niech pani żąda, a wszystko zostanie pani przyznane. Obecnie trudno

być sprawiedliwym; cesarz — a gdy mówię cesarz, to znaczy tyle, co ja, gdyż ja załatwiam całą tę robotę, albo, ściśle mówiąc, załatwiamy ją razem — cesarz dostaje po pięćdziesiąt listów codzień; teraz wszyscy chcą uchodzić za niewiniątka i oskarżają innych, a to niеładnie, doprawdy nieładnie! Nieszczęścia tego kraju przewyższają wszystko, co sobie wyobrazić można: Polacy sami nie wiedzieli, czego chcą... zniszczyli na jakie 50 lat wszystko, a było im tak dobrze! Konstytucja ich była aż nazbyt liberalna. Znam Europę i zapewniam, że Polska mogła iść w parze z najbardziej ucywilizowanemi narodami. Dreszczem przejmuje myśl, że zniszczono szczęście przyszłych pokoleń. Cesarz był jeszcze Rosjaninem, ale następcą tronu to był prawdziwy król polski. Jakże wielka jest wina tych, którzy nie chcą pracować nad zlaniem się w jedno dwóch narodów; świętym obowiązkiem jest pracować nad tem zjednoczeniem (robił przy tem ruch rękoma, jakby coś ugniatał i lepił) dla dobra zarówno jednych, jak i drugich! Zapewne, na wiele osób spadło nieszczęście, ale nie oni byli najwinniejsi. My wiemy o tem dobrze. Najwinniejsze są osoby, które intrygowały... (przytem zrobił pauzę. Bardzo byłam ciekawa, kogo wymieni?), a są niemi damy!".

Nie mogłam wstrzymać się, aby nie wtrącić: „Nigdy nie słyszałam o czemś podobnem! Zdaje mi się, że pan jest w błędzie". Zaledwie wymówiłam te słowa, generał przybrał pozę teatralną, dość śmieszną i, wyciągając rękę takim gestem, jakby wskazywał na mnie, rzekł: „Pani wie o tem, księżno, pani wie o tem lepiej, niż kto inny!"

Słysząc to nadzwyczajne zdanie, przybrałam minę obrażonej godności a nawet pogardy, co go zmieszało i zbiło z tropu. „Wróćmy — rzekłam sucho — do sprawy mego syna, dla której tu przybyłam". Wtedy rzekł: „Za parę dni może pani napisać do mnie; w liście proszę nadmienić, że po

rozmowie ze mną uważa pani za możliwe prosić o rzeczy takie a takie... proszę ponumerować prośby, a ja przedstawię list cesarzowi, który odpowie na wszystkie punkty". Następnie zaczął się rozwodzić nad przymiotami cesarza; łatwo było spostrzec, jak bardzo leżało mu na sercu, aby cesarzowi wyrobić opinję łaskawego, szlachetnego i wielkodusznego władcy, często bowiem powtarzał te wyrazy. (Rosjanie — gdy mówię „Rosjanie", myślę o klasie rządzącej, gdyż reszta narodu wydaje mi się bierna i nie znam jej — przywiązują wielką wagę do tego, co świat powie.)

Generał mówił dość długo o zmartwieniu, jakie sprawiła cesarzowi rewolucja polska, wreszcie rzekł: „Serce jego zostało głęboko zranione, dotknięte, stroskane". We wszystkiem, co mówił, znać było, że wstydzi się okrucieństwa rosyjskiego, mimo, że nawet przypuścić nie chce jego możliwości; powtarzał, że w każdym innym kraju, pod każdym innym rządem byłoby jeszcze gorzej; powtarzał często dwukrotnie te same słowa i zdania, zwracając się wciąż ku mnie; widać było, że wydaje lekcję, wyuczoną napamięć, i że osoba, która mu ją podyktowała, zwraca się do całej Polski.

Zaledwie wróciwszy do siebie, zapisałam całą tę rozmowę. Liczyłam z taką pewnością na obietnice, których mi formalnie udzielił, że dodałam przy końcu notatki: „Dzięki Bogu, zdaje się, że wygnanie mego syna nie potrwa długo, ale te półgodziny rozmowy z Benkendorfem zaliczę do najprzykrzejszych chwil w mojem życiu". Przez kilka dni żyłam nadzieją, że to, co mi obiecywano, będzie w istocie spełnione.

W całym Kijowie wiedziano, że wyrok, skazujący mego syna, wyznaczył mu, jako miejsce zesłania, gubernję tobolską — tak było napisane w dekrecie. Kiedym tylko przybyła do Petersburga, radzono mi, bym prosiła dla Romana

o pozwolenie zamieszkiwania w samem mieście Tobolsku. Przebywał tam, już od kilku lat zesłany, pan Piotr Moszyński; miał on ładną bibljotekę, która była mu rozrywką w długiem i okrutnem wygnaniu; sądziłam przeto, że towarzystwo jego i ta bibljoteka będą dla mego syna pociechą najpożądańszą w tym najsmutniejszym punkcie globu ziemskiego.

Po dwóch dniach poprosiłam swego siostrzeńca, Jana Zamoyskiego, aby mi ułożył list do generała. Oto jego treść:

„Panie hrabio! Życzliwe przyjęcie i pozwolenie wypowiedzenia życzeń w sprawie mego syna ośmielają mnie do przedstawienia piśmiennie Waszej Ekscelencji następnych punktów, na które, proszę, zechciejcie zwrócić uwagę:

1-o żeby mój syn mógł przebywać w samem mieście Tobolsku;

2-o żeby mógł otrzymywać od swoich rodziców kwotę wystarczającą na jego utrzymanie;

3-o żeby mu można posłać służącego i kucharza;

4-o żeby można mu posłać rzeczy i trochę zapasów;

5-o żebym mogła z nim korespondować za pośrednictwem Waszej Ekscelencji;

6-o żeby mu pozwolono czasami polować i używać przechadzki w okolicach Tobolska.

Wiem, że we własnem sercu znajdzie Pan, Panie hrabio, najpiękniejszą nagrodę za dobro, które chętnie wyświadczasz etc. etc.".

Nazajutrz, po napisaniu tego listu, otrzymałam od pani Frederichs bilet z oznajmieniem, że cesarzowa oczekuje mię tegoż dnia o 8-ej wieczór i, chcąc mi oszczędzić przykrości błąkania się samej po pałacu, przyśle po mnie panią Frederichs o wyznaczonej godzinie. Poprosiłam więc panią Frederichs, aby uzyskała dla mnie pozwolenie stawienia się nie w tualecie dworskiej, ale w mojem zwykłem wygodnem ubraniu, do którego przyzwyczaiłam się od wielu lat.

Trudno mi wyrazić uczucia, jakich doznałam, znalazłszy się w pałacu carów: tajemny wstręt i groza owładnęły mną na myśl, że jestem w miejscu, skąd wszelakie nieszczęścia od tylu lat spadają na moją ojczyznę. Zdawało mi się, że widzę przed sobą cień carowej Katarzyny. Od dziecka imię to wywoływało w całej mej istocie, jeżeli nie nienawiść, to głęboką odrazę. Trudno mi było przed damą, która mi towarzyszyła ukryć to, co się działo w mej duszy. Kurytarze, przedpokoje, schody, przez które przechodziłyśmy, lśniły od czystości, były jednak tak pełne milczenia i puste, że aż lęk zdejmował. Czekałyśmy w salonie kilka minut, podczas których cesarzowa przysłała mi uprzejmie swe najmłodsze dziecko: pięknego, półrocznego chłopczyka. Następnie pani Frederichs otworzyła drzwi, prowadzące na kurytarz, i dała mi znak, abym otworzyła drugie, znajdujące się na jego końcu.

Znalazłam się w ładnym gabinecie sklepionym, gdzie zobaczyłam stojącą cesarzową. Otworzywszy ramiona, uściskała mię. Piętnaście lat temu widziałam ją po raz ostatni; było to w Berlinie w chwili, gdy opuszczała swą rodzinę, by udać się do Petersburga. Widok jej obudził we mnie wspomnienie lat, kiedy jeszcze nie wiedziałam, co to jest smutek; była ona ulubioną rówieśnicą mojej córki. Jej postać przypomniała mi tak żywo tę utraconą istotę, że myśli moje zmąciły się, i zdawało mi się przez chwilę, iż jestem w objęciach mej córki...

Niebawem przyszłam do siebie; usiadłyśmy obie na sofce. Cesarzowa zaczęła mówić ze mną naprzód o Dosi, a potem o sobie samej. Zauważyłam, że monarchini, żyjąca w nudzie i skrępowaniu, związanych z jej godnością cesarską, radaby otworzyć swe serce przed osobą, którą znała w latach młodocianych. Wydała mi się znużona. Widziałam, że zachowała w sercu miłość dla swego małżonka, zwłaszcza zaś,



KLEMENTYNA z CZARTORYSKICH
ks. SANGUSZKOWA
1780 — 1852

Według minjatury Grassiego

że jest matką czułą i kochającą, jednak nie lubi nikogo z rodziny cesarskiej. Jedynie o nieboszczyku cesarzu Aleksandrze wyrażała się ze szczególną serdecznością. Zdaje się, że nie polubiła Rosji ani Rosjan. Wszystko, co mówiła, świadczyło o tkliwości jej duszy. Wyrażała się z wdziękiem, właściwym całej jej osobie. Być może, że oczekiwała z mej strony pytań, lecz ja nie umiałam skorzystać z tej widocznej jej chęci wywnętrzenia się: pytałam o to, co jej dotyczyło, ale nie w ten sposób, jak sobie tego może życzyła. Wzruszenie mroziło me słowa. Mówiłam o nieszczęśliwym synu, jako o przedmiocie najżywszej mojej miłości. (Muszę tu zaznaczyć, że doradzono mi, abym w prośbach urzędowych nie używała tkliwych wyrażeń, mówiąc o moim synu, gdyż mogłyby one razić, ze względu na to, że był on uważany za przestępcę.)

Nieszczęście chciało, że właśnie dnia tego byłam dość spokojna o los Romana, licząc na przyrzeczenia, które dał mi generał Benkendorf. Prosiłam tylko cesarzową, aby zechciała być mu opiekunką; obiecała mi to najczulej i najszczerzej. Powiedziałam jej, że jeżeli w ciągu roku nie uzyskam odmiany jego losu, postanowiłam sobie pojechać do Tobolska wraz z moją wnuczką. Cesarzowa zasłoniła sobie oczy rękoma, mówiąc: „To okropne!“ Rozmawiałyśmy w ten sposób godzinę, lecz już nie mogłam dłużej siłą rozsądku panować nad wzruszeniami mej duszy. Dziwna rzecz, patrząc na cesarzową, doznawałam bolesnego uczucia litości, i dziś doznaję go jeszcze, gdy myślę o niej. Byłożby to przeczucie, czy tylko żal, że widzę ją zamieszkującą siedlisko posępnej nudy?

Podczas naszej rozmowy, córeczka jej, dziewczynka 6-cio letnia, wbiegała i wybiegała dość często, wreszcie, podbiegłszy do matki, zawołała: „O jak ja namęczyłam tatusia! — i pokazując swe ramię, dodała: „Tak mię ścisnął, że bardzo zabolało!“ — Cesarzowa, widocznie zmieszana, ka-

1-o można posłać przedmioty, które mu są potrzebne;

2-o 3000 rubli na zagospodarowanie;

3-o następnie 2000 rubli rocznie;

4-o można przesyłać listy przez pośrednictwo generała Benkendorfa;

5-o nie można mieszkać w Tobolsku, ale bardziej na południe, gdzie klimat jest łagodniejszy. (Tu było napisane u góry słowo Krasnojarsk, ale lekko zatarte);

6-o nie można mu stąd posyłać służących, ale na miejscu może ich sobie nająć;

7-o może polować i przechadzać się swobodnie.

W rozpaczy najrozmaitsze zamiary przychodziły mi do głowy, lecz nie mogłam pozostać bezczynna; napisałam bilecik do pani Benkendorfowej. Przed jedenastą w nocy przyszła pani Moszczeńska i, z wyrazem współczucia, uklękła obok szezlonga, na którym leżałam... Wracała od pani B. i widziała mój bilet. — „Zapewne — rzekła — Omsk dalej leży od Tobolska". — „Jakto, Omsk?" — zawołałam. — „Ależ tak, tam jest miejsce przeznaczenia Romana, dowiedziałam się o tem u Benkendorfów". Ogromny ciężar spadł mi z serca. Wiedziałam, że Omsk jest oddalony od Tobolska nie więcej, niż o 600 do 700 w. i leży bardziej na południe.

Ileż trzeba było wycierpieć, aby uważać podobne wygnanie za ulgę?!

Przez noc odpoczęłam, nazajutrz zaś z rana odwiedziła mię pani B. Nie ukrywałam przed nią stanu mej duszy, czyż możliwe jest nie skarżyć się, będąc ofiarą ucisku? — ...„Surowe środki, wymierzone przeciwko kilku ludziom, są rzekomo konieczne, jako przykład sprawiedliwości — rzekłam — ale czyż można znęcać się nad miljonami powstańców? Jaką nazwę znaleźć dla takiej bezwzględnej surowości?".

Pani B. nic na to nie odpowiedziała, ale, żegnając się ze mną, rzekła z serdeczną otwartością: „Niech mi pani wierzy, że, gdybym była Polką, czułabym tak, jak pani". Prosiłam, aby zajęła się ulżeniem niedoli mego syna; przyrzekła mi. Było zaślepieniem z mej strony przywiązywać jakąkolwiek wagę do obietnic, tak nic nie znaczących.

W godzinę po tej wizycie przyszedł do mnie pan Piasecki, Polak od 5-ciu czy 6-ciu lat zamieszkały w Petersburgu, znający doskonale i tę stolicę, i całe państwo rosyjskie. Oznajmił mi, że przychodzi z kancelarji gen. Benkendorfa, której kierownikiem jest Polak, w dobrych z nim pozostający stosunkach. Od niego dowiedział się dokładnie, iż miejsce przeznaczenia syna mego leży 20 wiorst poza Omskiem; tam wydzielić mu mają kawałeczek ziemi i chatę. Klimat tam jest zdrowy.

Zawarłam z p. Piaseckim układ, zobowiązując go, aby czuwał nad sprawami mego syna.

Przyszłam do siebie z przerażenia, jakiego nabawiła mię myśl o Krasnojarsku, jednak pobyt w Petersburgu był dla mnie prawdziwą męczarnią, i zaczęłam myśleć o wyjeździe. Napisałam do cesarzowej list z pożegnaniem. Pragnieniem mojem było jak najprędzej opuścić Petersburg, musiałam jednak czekać urzędowej odpowiedzi na moje punkty. Otrzymałam je wreszcie. Z drobnych zmian, jakie cesarz w niej porobił, jasne było, że miał na względzie jedynie pogorszenie losu mego syna... Postanowiłam wyjechać nazajutrz. P. Piasecki przyniósł mi z kancelarji gen. Benkendorfa wiadomość, że syn mój dostał się już na miejsce przeznaczenia. Jakże mogłam nie wierzyć temu, co pochodziło z tak pewnego źródła? Czyż ci, których zadaniem jest zadawać nam cierpienia, mogli o tych cierpieniach nie wiedzieć? Przeświadczenie to, tak dalekie od prawdy, stało się dla mnie w przyszłości przyczyną bardzo gorzkiego żalu.

Tego samego dnia miałam odwiedziny pani Frederichs. Cesarzowa kazała jej pozdrowić mię najserdeczniej i wręczyć pamiątkowy podarunek: medaljon z kornaliny, z obrazem Zbawiciela z jednej, Najświętszej Panny z drugiej strony. Kazała mi przytem powiedzieć, że medaljon ten dostała od cesarzowej matki i nosiła go na szyi przez kilka lat; przyniósł jej szczęście, i spodziewa się, że tak samo i mnie je przyniesie. Wybór tego upominku o nieznacznej wartości materjalnej był dla mnie nowym dowodem wdzięku, z jakim cesarzowa wyrażała swe współczucie i dobroć. Podczas pobytu swego w stolicy stwierdziłam, że serce jej nie uległo zmianie, a zarazem przekonałam się, że wpływ jej jest bardzo mały, nie może ona nawet przyjść z pomocą nieszczęśliwym. Ten stan rzeczy już się nie da zmienić. Sądzę, że mogło było być inaczej, gdyby na początku swego panowania rozwinęła była więcej energji i zręczności.

Muszę nadmienić, że owego wieczora, gdy cesarzowa napisała do mnie bilecik, powyżej przytoczony, była ona na balu u p. Nesselrode. Zazwyczaj tańczy ona dużo, bądź to z istotnego do tańca zamiłowania, bądź ulegając woli cesarza, który pragnie, aby żona jego brała żywy udział w zabawach. Na tym balu jednak cesarzowa bardzo mało tańczyła, mówiąc, że ją głowa boli, lecz przed panią Nesselrode wyznała, że spłakała się, myśląc o moich strapieniach. Cóż mogła uczynić więcej, niż wylewać łzy i nie taić się z niemi?

W chwili mego wyjazdu ks. Konstanty Lubomirski przyszedł mię pożegnać. Mimo, że nie znaliśmy się przedtem, książę, w czasie pobytu w Petersburgu okazywał mi wiele współczucia. Chociaż całe życie spędził w Rosji i na usługach dworu, serce jego nie uległo zepsuciu. Rzekł do mnie: „Pani, chciej wierzyć, że jestem ci najzupełniej oddany; każdy dobry Polak musi żywić podobne uczucia wobec matki męczennika naszej sprawy“. Słowa te, wymówione w

Petersburgu, wywarły na mnie głębokie wrażenie i wlały na chwilę balsam pociechy w me serce. Potrzeba mi było pociechy, albowiem wyjeżdżałam ze śmiertelnym bólem w duszy. Nie uzyskałam niczego i musiałam oznajmić to memu mężowi i wszystkim naszym domownikom, którzy nie przestawali błagać Boga o wyzwolenie mego syna.

Po 12-tu dniach podróży przybyłam do Sławuty i zastałam tam wiadomości od Romana.

Teraz podążę szlakiem jego smutnej podróży.

Nazajutrz po wyjeździe Romana z Kijowa, Maliszkiewicz, chcąc mu przyjść z pomocą, wyprawił za nim swego szwagra, niejakiego Rudnickiego, który był niegdyś naszym oficjalistą, oddalony zaś z powodu niedbalstwa, znalazł sobie posadę w administracji rządowej. Znał on gruntownie język i obyczaje rosyjskie, miał nawet tytuł radcy (sowietnika), a obecnie pracował w kancelarji feldmarszałka Sackena. Wyznał on Maliszkiewiczowi, że posada, którą zajmuje, budzi w nim wstręt, gdyż polega na pisaniu wyroków, skazujących powstańców polskich. Pragnął porzucić swe stanowisko. Zgodził się więc chętnie na propozycję wyjazdu na Syberję, śladem mojego syna. Wtedy Maliszkiewicz wręczył mu dość znaczną sumę pieniędzy, pouczając go, jak ma postępować. Paszport uzyskał bez trudności, gdyż uważano go jeszcze wszędzie za urzędnika.

Gdy Rudnicki przybył do Orła, Roman bawił tam już od kilku dni i znajdował się w najbardziej opłakanem położeniu. Ogołocono go ze wszystkiego, posuwając barbarzyństwo do tego stopnia, że mu zerwano z szyi pamiątki po żonie, które zawsze nosił. Ubrany w ohydny strój aresztancki, prawie zupełnie pozbawiony pożywienia, musiał ulec nadmiarowi cierpień, i wtedy odesłano go do szpitala.

Jednakże Bóg nie opuszcza człowieka cnotliwego, mi-

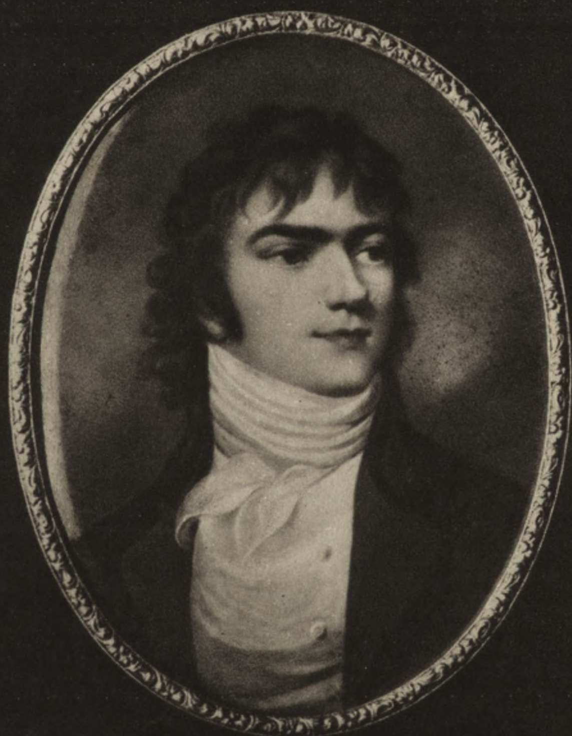
mo iż zezwala czasem, aby stał się ofiarą tyranji. Pewna dama rosyjska, nazwiskiem Perowska, która znała Romana z Neapolu, dowiedziała się przypadkiem o jego nieszczęsnem położeniu. Dotarła do więzienia, aby go zobaczyć, dostarczyła mu pożywienia, książek, papieru i atramentu; nadto dołożyła wszelkich usiłowań, by mu dać możność napisania do nas, tak, aby dozorcy tego nie dostrzegli. Napisała i ona do mnie, dając mi bardzo dobre rady, jakich mam użyć starań, aby syna mego nie prowadzono etapem.

Rudnicki wrócił z końcem stycznia do Sławuty. Z jakiego powodu?—dotychczas nie mogę się o tem dowiedzieć. Ci, co z nim mówili, twierdzą, że nie umiał im zdać sprawy z tego, co widział, i nie dawał dokładnych odpowiedzi na ich pytania. Gdybym ja mogła była go zobaczyć, wydobyłabym z niego coś więcej.

Przywiózł nam listy, które nasz syn, dzięki litościwej pomocy pani Perowskiej, zdołał napisać, oraz pismo od tejże pani. Załączam tu wyjątek z listów mego syna, pisanych ukradkiem na luźnych karteczkach, ołówkiem:

„Mój kochany Ojcze! Szczęśliwy się czuję, że mogę dać Wam wiadomość o sobie i zapewnić Was o swem bezgranicznem, synowskiem przywiązaniu. Położenie moje jest tego rodzaju, że tylko rezygnacja i nadzieja lepszej przyszłości pozwala je znieść. Uważam je za tak ciężkie głównie ze względu na Was. Ustawicznie proszę Boga, aby Was oboje pocieszył i w dobrem zachował zdrowiu, co jest całą moją radością i całą nadzieją. Niech moja biedna Matka dba o siebie i żadnej nie popełnia nieostrożności. Od jej zdrowia zależy los biednej dzieciny, która powinna zczasem mnie przy Was zastąpić. ...Wszystkie te cierpienia, znosimy za honor i dla honoru; niestety znajduję się wpośród ludzi, którzy tego nie pojmują i nigdy nie zdołają pojąć...

W listach tych, tak pięknych, tak wzruszających zda-



EUSTACHY ks. SANGUSZKO
1768 — 1844

Według minjatury Grassiego

rzały się niekiedy powtórzenia i pewne zaniedbanie stylu, ale synowi memu trudno było pisać staranniej; wszak pisał w szpitalu, na lichym stole i, mimo starań pani Perowskiej, co chwila musiał ukrywać się z pisaniem. Zastałam w domu te listy, które zakrwawiły i zarazem pocieszyły me serce, ale nie zastałam Rudnickiego. Przywiózł on również notatki, pisane ręką Romana na małych świstkach papieru. Malowały one jego nędzę żywiej od listów, pisanych do nas, w których starał się on nas oszczędzać. W jednej z takich karteczek, o których sądził, że nie dostaną się nigdy w nasze ręce, pisał te słowa: „Wloką nas z jednej części świata do drugiej, jak murzynów, prowadzonych na targ, i to w sposób jeszcze przykrzejszy i jeszcze bardziej upokarzający".

Dopisek księżnej (z 1 sierpnia 1833 brzmi):

[Rudnicki dopiero w kwietniu powrócił do Sławuty, jednakże był tak chory, że nie mogłam się widzieć z nim wcześniej, niż w maju; leżał w łóżku i nie mógł się podnieść. Polecił swej żonie, aby zebrała wszystkie kartki, które syn mój pisał do niego ze szpitala w Orle... Pisma te rozdzierały serce, malowały one głęboką nędzę, fizyczny wstręt do wszystkiego, co go otaczało. Jego wzniosła pobożność i piękne poświęcenie nie słabły jednak, i one to dopomogły mu, że z najwyższym wysiłkiem opanowywał swe cierpienia.

Rudnicki powiedział, że w dniu, wyznaczonym na wymarsz z Orła, przyniesiono kajdany, aby je nałożyć mojemu synowi. Zapewniał mnie, że niewzruszonem okiem spojrzał na to narzędzie męczarni, które miał dźwigać na swoich nogach przez tak wielką część globu. Rudnicki dodawał, że dzięki zabiegom i pieniądzom udało mu się uchylić to okrutne zarządzenie. Poznałam jednak, że nie chce mi opowiedzieć wszystkiego i przytacza tylko szczegóły, które, zdaniem jego, mogą mnie pocieszyć. Zważywszy osłabienie, w jakiem się znajdował, nie wypytywałam go więcej.]

Mąż mój nie mógł posłać do Romana nikogo z naszych ludzi, gdyż żadnemu z nich nie danoby paszportu. Ale czyż można było nie starać się przyjść mu z pomocą? Wysłał przeto ponownie Rudnickiego, powierzając mu list i pieniądze, które w samej rzeczy doręczył on naszemu synowi, zastawszy go jeszcze w szpitalu w Orle. Jakiż żal napełnił moje serce! Wracając z Petersburga, mogłam była jechać na Orzeł, nawet nie zbaczając zbytnio z drogi, a zresztą jakież trudy byłyby dla mnie za ciężkie, wobec możliwości zobaczenia się z synem, pocieszenia go w tak bezmiernej niedoli? Żal ten cięży do dziś dnia na mojem sercu.

Nie wiem jeszcze dokładnie, w jaki sposób odbył on drogę z Orła do Kaługi. Dowiedziałam się tylko ze źródła niewątpliwie pewnego, że między jednem a drugiem miastem spotkano go idącego piechotą. Oficer, który go widział, opowiedział o tem w Petersburgu; osoby, interesujące się losem Romana, boleśnie zostały tem dotknięte.

W Tarnowie, dokąd przybyłam 17-go kwietnia 1832 r., otrzymałam listy od pani Fiquelmont i pana Piaseckiego, zapewniające mię, że z kancelarji generała Benkendorfa wyszły rozkazy, aby syna mego traktowano łagodniej. Miały one być przesłane gubernatorowi Kaługi, czy jednak odniosły jaki skutek, nie wiem. Mój biedny syn przebywał przez kilka tygodni w szpitalu w Kałudze, skąd napisał do mnie list, zdaje się, z upoważnienia władz; otrzymałam go z kancelarji generała, był niezapieczętowany. Pismo to mogło zrobić wrażenie na tych, co je czytali, tak podniosłe były uczucia, w niem wyrażone. Nie przytaczam go jednak, gdyż bardziej interesujący wydaje mi się sposób wypowiedzenia podobnych uczuć w listach, przesłanych inną drogą, w których piszący mógł sobie na większą pozwolić otwartość.

Gubernator Kaługi doniósł do Petersburga, że zdrowie mego syna jest poważnie zagrożone. Zdaje się, że nasi cie-

mężyciele przestraszyli się, że może go zgubić ich okrucieństwo. (Rosjanie zawsze muszą wahać się między wrodzonym sobie popędem do bezwzględnej surowości a obawą, aby świat nie uważał ich za barbarzyńców.)

Rudnicki dotarł, wślad za moim synem, aż do Moskwy; stamtąd, ponoć za wolą jego, wrócił znów na Wołyń. Przybył tam z końcem maja. Oto są szczegóły, jakie opowiadał o smutnej owej podróży z Kaługi do Moskwy. Roman uzyskał bardzo lichy wózek (powózkę), lecz starał się zawsze przygarnąć nań którego ze swych towarzyszy, jeszcze od niego nieszczęśliwszego. Nigdy nie był odłączony od zbrodniarzy; przebywając w jednej z nimi partji, dzielił całą ich nędzę. Zapominając o sobie samym, ustawicznie starał się, ile mógł, ulżyć cierpieniom swych rodaków. Dzięki pieniądzom, które przywiózł Rudnicki, udało mu się uwolnić z więzów sześciu lub siedmiu nieszczęsnych, z którymi widocznie los bardziej go zbliżył. Mąż mój donosił mi w swym liście, że syn nasz, jak Orfeusz w otchłani piekielnej, łagodzi niedolę swych biednych towarzyszy. Oczywiście, pozyskał sobie wiele przywiązania. Dwaj wygnańcy, wracający już z Syberji do Europy, którzy doznali jego pomocy, ofiarowali się powrócić z nim na Sybir, aby mu towarzyszyć i służyć. Nie przyjął jednak tej ofiary. Cnota jego wywierała wrażenie nawet na zwierzchnikach. A oto przykład: Pewien generał, Niemiec z pochodzenia i katolik, przełożony nad szpitalami i więzieniem w Moskwie, powziął najwyższą ku niemu przychylność; posłał mu księdza, który go wyspowiadał i komunikował, obdarzył go książkami i przyrzekł, że dołoży wszelkich starań, aby na miejscu swego przeznaczenia mógł przyjmować odwiedziny księdza katolickiego.

Generał ów przez Rudnickiego napisał do mnie list, ale bez podpisu. Zapewne poczciwy ten człowiek bał się kompromitacji, i dlatego nie znam jego nazwiska. „Wyobrażam

sobie, Księżno — pisał on — że nic tak nie zdoła cię pocieszyć, jak wiadomość, iż Twój ukochany syn ... uważa wszystko, co go spotyka, za wyraz woli Najwyższego, i szczególnie droga jest mu modlitwa z naśladowania Chrystusa: — „Panie, Ty wiesz, co jest lepiej!...“

Nic tak nie dokuczało memu synowi, jak wystawianie go na pokaz niemiłej bardzo ciekawości; gdy przybywał do jakiego miasta lub miasteczka, mieszkańcy wychodzili na jego spotkanie, nieraz o dwie lub trzy wiorsty, i pokazywali nań palcem, wymawiając jego nazwisko: „*Sanguszko*“. Opowiadali przytem jedni drugim o jego majątku, że był właścicielem 25.000 dusz. Mój biedny syn musiał zawsze odbywać to wejście do miasta pieszo i w ohydnem ubraniu zbrodniarza, tłum zaś biegł za nim, napawając się jego widokiem z głupkowatą uciechą, gromadził się przy drzwiach jego więzienia, zaglądał przez okno, aby ani na chwilę nie stracić go z oczu.

Przezwyciężając wiele trudności, Roman napisał ukradkiem list do ojca i oddał go Rudnickiemu. Oto jego brzmienie:

Moskwa, 17/29 kwietnia 1832 r.

Kochani Rodzice! Cieszę się, że mogę raz jeszcze napisać do Was przez Rudnickiego, który wraca, nie mogąc tu nic dla mnie zrobić. Nie jego to wina. Ponieważ nie jest w możności ulżyć mi w tym okropnym sposobie podróżowania, postanowiłem doradzić mu, aby wracał w wasze strony; będę miał tę przynajmniej pociechę, iż on Wam o mnie opowie. Nie pozostaje mi nic innego, tylko poddać się w zupełności losowi i wypić kielich z całą jego goryczą. Mam nadzieję, że wystarczy mi do tego sił z pomocą Boskiej Opatrzności, tej ostoi nieszczęśliwego i sprawiedliwego, i z pomocą mego sumienia oraz widoku mych rodaków i współbraci w niedoli, którzy znoszą ją z odwagą i rezygnacją.

Rudnicki opowie Wam szczegóły mego położenia, szczegóły życia zaś przedstawiają tak mało rozmaitości, że nie mam nic do powiedzenia, chyba to, iż trzeba czuć obecność Boga nad sobą, aby znieść to wszystko z całą pokorą. W Tobolsku stanę dopiero 12 września, jeżeli, jak się spodziewam, nie zatrzymam się nigdzie w drodze. A Bóg wie, kiedy dostanę się dalej.

„List mojej Matki z Petersburga daje mi pewną nadzieję. Nie wiem, czy dotyczy ona zmiany mego położenia osobistego, czy też nas wszystkich? Wierzcie mi, drodzy Rodzice, że mam zawsze nadzieję otrzymania jeszcze Waszego błogosławieństwa, i nadzieja ta nie opuszcza mię nigdy. Zdrowie moje jest dość dobre, jak na tyle utrapień, zwłaszcza moralnych, ale bardzoby mi się już przydało trochę odpoczynku..., a długo jeszcze będę go pozbawiony. Myślę, że Mama jest w Galicji, pragnąłbym, żeby Ojciec również tam pojechał. Władyś pewnie już jest w Tarnowie. Jest to mojem najgorętszem życzeniem, abyście byli razem, by dziewczynki nasze razem się chowały i miały wspólne wspomnienia młodości; ta przyjaźń będzie wielkiem szczęściem dla mego biednego dziecka! Niech Bóg strzeże je obie! Piszcie do mnie, ile możecie najczęściej; sam widok Waszego pisma jest dla mnie wielką pociechą, nie umiem nawet wypowiedzieć, jakie wrażenie ono na mnie wywiera. Kończę, gdyż trudno mi pisać z powodu tysiąca przeszkód. Miałem szczęście wyspowiadania się przedwczoraj, co, tuszę, doda mi nowych sił. Żegnajcie, drodzy Rodzice, całuję Wasze ręce i Wasze stopy... Rudnicki zda Wam rachunek z pieniędzy. Niewiele z nich użyłem dla siebie. Czasem dopomagałem nieszczęśliwszym ode mnie i zawsze czynię to na Waszą intencję. Wdzięczny Wam jestem za wszystko, co robicie dla mnie... Przykrość podróży tej zwiększa ciekawość — jest to ciekawość zwierzęca:

Wszyscy się zbiegli, wszyscy pytali,
Ale nikt mnie nie rozumie.
Ja łzy ocieram, westchnienia tłumię
I idę dalej a dalej.

Bywajcie zdrowi jeszcze, moi kochani Rodzice, bywajcie zdrowi".

Rudnicki przywiózł nam również kubek srebrny, jako podarunek Romana dla Ojca; jest on złocony i cyzelowany *à l'antique;* ornament wyobraża orły polskie. Syn nasz kazał nam powiedzieć, że Władysław IV w czasie wyprawy swej do Moskwy rozdawał takie kubki bojarom moskiewskim, którzy mu byli przychylni, i że często jeszcze spotkać je tam można.

Potem nie mieliśmy przez długi czas wiadomości; dopiero z Kazania doszedł nas list przez kancelarję generała Benkendorfa. Oto wyjątek z niego: „...Zdrów jestem i wytrzymuję wszystkie niewygody. Przybyłem tu wczoraj z Moskwy po podróży, trwającej pięćdziesiąt kilka dni, bardzo powolnej a jednak męczącej; jutro idę dalej. W Tobolsku stanę dopiero we wrześniu..."

W ostatnich dniach czerwca dostałam list od pani Fiquelmont, która donosiła mi, że miejscem przeznaczenia mego syna jest Irkuck. Mając pewność, iż pani ta nie trwożyłaby mię naprożno, domyśliłam się, że wiadomość ta pochodzi od Benkendorfa. Potem dowiedziałam się, że syn mój również ją otrzymał. W przeddzień nadejścia tego listu pisałam do cesarzowej z życzeniami w dniu jej imienin, równocześnie posłałam na ręce pani Frederichs pierścień, który kazałam zrobić w Wiedniu, złożony z selenitów, z napisem, wyrytym wewnątrz: *Pensez à mes larmes.*

Trudno opisać wrażenie, jakie sprawiła na mnie wieść, że syna mego wlec będą aż do Irkucka. Listu do pani Frede-

richs jeszcze nie wysłałam, otworzyłam go przeto i dałam folgę swemu oburzeniu i bólowi, wyrażając się, jak człowiek, który już nic nie ma do stracenia... Napisałam do generała Benkendorfa: „Panie Generale, raczyłeś mi przyobiecać, iż za 6 miesięcy mogę mieć nadzieję uzyskania ulgi dla mego syna. Liczyłam dnie, a oto czuję się w tej chwili nieszczęśliwsza, niż kiedykolwiek. Przed kilku dniami dowiedziałam się, że miejscem przeznaczenia mego syna mają być najokropniejsze krańce świata. Dziwię się, że przeżyłam ten cios. Co mam czynić? Czy mogę zanieść prośbę? Zechciej pan, panie generale, oświecić moją nieświadomość... (w końcu listu prosiłam o pozwolenie wysłania 3000 rubli memu synowi na zagospodarowanie).

Z końcem czerwca przyniósł posłaniec z Ładyżyna na Podolu list od pani Sobańskiej, z domu Łubieńskiej, której matka jest kuzynką mego męża. Pani ta pojechała była do Permu za swoim mężem, zesłanym jeszcze przed powstaniem. Skompromitowany w r. 1826, trzy lata przesiedział on w więzieniu; żona, z przedziwnem poświęceniem, umiała mu osłodzić niedolę. Wiele czyniła również dla jego towarzyszów. Niema drugiej osoby na świecie, któraby, tak jak ona, oddała się niesieniu pomocy i pociechy nieszczęśliwym. Oto, co pisała ona do mego męża:

„Kochany Wuju. Doznałam smutnej pociechy, spotkawszy Waszego syna na gościńcu między Kazaniem a Permem, i uważam za obowiązek dodać parę słów do tych kartek, skreślonych jego ręką, które mąż mój odeśle Wam, gdy tylko przybędzie do Ładyżyna. Mój biedny kuzyn byłby Wam chętnie przesłał dłuższy list, ale spotkawszy się z nami niespodziewanie, napisał w pośpiechu kilka słów ołówkiem, a i to musiał robić ukradkiem, bo nie wolno mu pisać inaczej niż drogą urzędową. Jedynie energja i siła ducha oraz wszczepione przez Was zasady sprawiają, że wytrzy-

muje on ciosy losu i stawia im czoło. Nie mogę zataić przed Wami, że położenie jego jest w najwyższym stopniu rozpaczliwe, i że trzeba szczególnej łaski Boga i Waszego błogosławieństwa, aby podtrzymać jego męstwo. Zdrowie dosyć mu dopisuje, ale trudy powolnej wędrówki, okropność ciągłego przestawania z tłuszczą zbrodniarzy, nędza, braki wszelkiego rodzaju, które znosić musi—wszystko to znękało go straszliwie. Nie pojmuję, jak to się stało, że nikt z rodziny nie potrafił wyjednać mu ulgi, której dostąpiło tak wielu skazanych tej samej kategorji, a mianowicie pozwolenia na podróż pocztą. Martwiłoby mnie to jeszcze bardziej, gdyby nie nadzieja, że dzięki pewnym wpływom, jakie mam w Tobolsku, zdołam uzyskać dla niego tę jedyną ulgę, jaka jest możliwa. Gdybym go była spotkała w Kazaniu, mogłabym była otrzymać wszystko, o cobym poprosiła, ale w gubernji Wiackiej, na gościńcu — cóż mogłam zrobić dla niego? Zmieszać łzy moje z jego łzami! Zdawało mi się, że najbardziej mu dolega myśl o bólu Waszym, i gdyby był spokojny o Was, byłoby mu o wiele lżej. Błagam Was, piszcie do niego, jak możecie najczęściej; niechaj w każdem mieście, przez które musi jeszcze przechodzić, zastanie od Was list. Jest to jedyny sposób osłodzenia mu niedoli. Skarżył mi się, że od brata nie otrzymał jeszcze ani jednego listu; ucieszył się, dowiedziawszy się ode mnie, że on i żona jego są w Tarnowie. Jadąc z głębi Syberji, nie mogłam mu wiele opowiedzieć, jednak z radością powtórzyłam mu zasłyszaną wieść, że Wujenka uzyskała dlań zmniejszenie kary na trzy lata wygnania. Jeżeli, na nieszczęście, wiadomość ta jest fałszywa, to przynajmniej dopomoże mu do łatwiejszego znoszenia teraźniejszości. W tej chwili ma on smutną pociechę towarzystwa rodaków, dzielących z nim niewolę: pp. Biłgorajskiego i Pauszy, wołyniaków. Sposób, w jaki przychodzi on z pomocą innym, echa błogosławieństw nie-

szczęśliwych, rozbrzmiewające wszędzie, gdzie tylko przechodził, muszą prędzej czy później wyjednać dla niego nagrodę. Niech mi kochany Wuj wybaczy nieład tego listu, lecz piszę go w chwili wyjazdu mego męża, który mię wyprzedza; ja pozostanę w Kazaniu jeszcze kilka tygodni ze względu na mego biednego brata, który jest również ofiarą męczeństwa. Ma on jeszcze 4 lata przesiedzieć w fortecy kazańskiej, a potem Bóg wie, co go czeka? Czułabym się szczęśliwa, gdyby to spotkanie moje z Romanem, które pozostawiło mi najgłębsze wrażenie, jakie odczułam w życiu, wzbudziło w Was trochę życzliwości dla mnie etc. etc.".

Oto kopja listu mego syna:

„Mój drogi Ojcze, mam sposobność dać Wam słówkiem znać o sobie. Jestem zdrów; niestety, każdy krok, każdy dzień oddala mię od Was, każda chwila jest mi coraz przykrzejsza i obudza więcej niepokoju, nie o siebie, gdyż ja mogę przeciwstawić cierpieniom, jakie mnie gnębią, jedynie rezygnację, lecz o Was wszystkich, których serce moje tak tkliwie kocha... Pewien jestem Waszego błogosławieństwa i przyciskam Was do serca, Wasz syn Roman. Gubernja wiacka, 150 wiorst od Kazania, 19 czerwca 1832 r.

Nie wiem, czy potraficie odczytać ten list; piszę go, siedząc na wozie, co nie pozwala mi uczynić tego lepiej".

[Dla jednolitości wątku na tem miejscu zamieszczamy opowiadanie, które księżna spisała później po widzeniu się z panią Różą Sobańską w Sławucie.]

1 sierpnia 1833.

Byłam na Wołyniu, widziałam kilka osób, które opowiadały mi szczegóły i okoliczności, tyczące się mego syna. Ponieważ pragnieniem mojem jest zebrać wszystko, co się do niego odnosi, biorę znów za pióro:

W maju (1833) odwiedziła mnie w Sławucie pani Sobańska. Nigdy w życiu nie słyszałam nic równie wzruszającego, jak jej opowiadanie. Przez półtora roku pobytu swego w Permie spotykała ona ustawicznie rodaków, cierpiących za najświętszą sprawę wszystko, co tylko człowiek przenieść może pod względem fizycznym i moralnym. Łaska Boska i ufność w słuszność sprawy pozwoliły im znosić katusze z wytrwałością, męstwem i cierpliwością nad wszelki podziw. Notuję w tem miejscu to tylko, co dotyczy mego syna. Od pani tej dowiedziałam się, że, na skutek barbarzyńskiego rozkazu, syn mój, skazany na „posielenie", zmuszony był odbywać podróż z katorżnikami, t. j. ze skazańcami najcięższej kategorji. „Partje" (tak zwą oddziały tych nieszczęśliwych) osiedleńców bywają wysyłane codziennie, i można je spotkać na głównym gościńcu sybirskim rankiem, aż do godziny 10-ej, gdyż o tej porze dochodzą one do ostrogu, i tam wszystkich zamykają. Partje katorżników zaś spotyka się tylko dwa razy na tydzień, idące pod strażą uzbrojonych konnych kozaków. Traktowani są oni znacznie gorzej, niż posieleńcy. Ci, to prawie wyłącznie Polacy, którymi rząd chce zaludnić sybirskie pustynie; katorżnicy — to zbiorowisko zbrodniarzy rosyjskich, wśród których Moskale wloką bohaterów polskich, przeznaczonych do ciężkich robót, tych właśnie, którzy dali największe dowody poświęcenia dla sprawy naszej niepodległości.

Syn mój znalazł w Orle dusze współczujące, i im to, mianowicie pani Perowskiej i gubernatorowi miasta, zawdzięczał tę smutną pociechę, że miał w podróży dwóch towarzyszów — Polaków: pp. Pauszę i Biłgorajskiego, z którymi rozstał się dopiero w Tobolsku. Bez pomocy z ich strony byłby zapewne uległ pod brzemieniem cierpień.

Codziennie rano pani Sobańska i jej mąż, podczas

tych smutnych spotkań dowiadywali się, czy niema przypadkiem mego syna w liczbie nieszczęśliwych zesłańców. Otóż pewnego dnia zobaczyli gromadę katorżników liczniejszą, niż inne (było ich 275 ludzi) i o wyglądzie nędzniejszym i bardziej odrażającym, niż wszystkie, dotąd spotykane. Pani Sobańska zawołała z trwogą: „Oby choć Romana Sanguszki między nimi nie było!“ Zaledwie wyrzekła te słowa, usłyszała głos, na który zadrżało jej serce. Zatrzymała powóz, wyskoczyła śpiesznie i rzuciła się w objęcia mego syna. Przez kwadrans może nikt nie mógł wymówić ani słowa; ona, jej mąż, guwernantka, dzieci, służący — wszyscy szlochali. Opanowawszy się nieco, pani Sobańska zaczęła się przyglądać memu synowi; był on do niepoznania zmieniony, wychudł w przerażający sposób. Twarz miał zielonkawą i sczerniałą, a wyraz jej wywarł na nią niewymowne wrażenie, tyle było w niej bólu i tyle wielkości duszy.

Syn mój wyrażał się o nas z największą tkliwością... chciał wymówić imię swej córki, ale łkanie zdławiło mu głos, i już o dziecku nie wspomniał. Dał kilka zleceń przeważnie w sprawie swych rodaków. Gdy go zapytała, jak się czuje, wyznał, że cierpi ogromnie; odkrył piersi i ramiona, które były jak jedna rana, tak go zjadło robactwo. Pożywienie jego składało się przeważnie z sucharów. Pieniędzy mu nie brakowało, ale miasta są jedno od drugiego bardzo oddalone, partje posuwają się bardzo powoli, maszerując przez dwa dni, a przez trzeci odpoczywając w okropnych *ostrogach.* Dziennie przebywają tylko 20 wiorst. Wszystkie więc zapasy się wyczerpały, i syn mój musiał żywić się suchym chlebem.

Te postoje w ostrogach były dla niego najnieznośniejsze. Było tam nakazane absolutne milczenie, gdy zaś próbował poprosić którego z żołnierzy na warcie, aby mu

przyniósł trochę wody, świeższej i nie tak brudnej, jak ta, co była w izbie, żołnierz odpowiadał: „Małczy!“ (Milcz!).

Oto co mi opowiadała pani Sobańska o tem spotkaniu, które było zesłaną przez Opatrzność pociechą dla mego syna. Trwało ono dwie godziny. P. Sobański, by uzyskać zwłokę od oficera, prowadzącego konwój, dał mu jakieś 30 kopiejek. Znając wybornie tamtejsze obyczaje, wiedział, że nawet za marną cenę można przekupić urzędnika. Gdy następnie p. Sobańska przybyła do miasteczka powiatowego, zapoznała się z miejscowym kapitanem - sprawnikiem. Łaska boska zrządziła, że był to Polak i przytem człowiek uczciwy. Zakupiwszy najlepsze produkty, jakie można było dostać, zobowiązała ona sprawnika, aby je dowoził memu synowi. Ten poczciwy człowiek przez dwa tygodnie dojeżdżał z nowemi wciąż zapasami; syn mój oddalał się bardzo powoli, on zaś doganiał go z całą szybkością, jaką odznaczała się poczta w owych stronach. Tak więc, dzięki jego pomocy, syn mój przez pewien przeciąg czasu mógł się dobrze odżywiać i przesyłać listy, o których mówiłam powyżej.

W liczbie tych, których rząd, powodowany ostrożnością, zesłał do Permu w chwili wybuchu rewolucji w Warszawie byli dwaj bracia Czarkowscy. W r. 1832 pozwolono im wrócić do domu. Nie znali oni mego syna, ale bardzo pragnęli się z nim spotkać. Wypytywali o niego każdą partję, z którą stykali się w swej drodze powrotnej. Znajdowali się jeszcze w gubernji permskiej, gdy, wśród liczniejszej, niż zwykle, gromady kryminalistów na postoju, uderzyła ich szlachetnością wyrazu twarz jednego z tych nieszczęśliwych, który trzymał się nieco na uboczu od innych. Panowie ci powiedzieli sobie natychmiast: „Niewątpliwie to musi być Sanguszko!“ i zeszedłszy pośpiesznie ze swej bryczki, zawarli z nim znajomość.

Rozmawiali z sobą jakie pół godziny. P. Czarkowski obawiał się, żeby oficer się o to nie gniewał, ale syn mój zapewnił go, że nie potrzebują się krępować, i opowiedział mu zajście, jakie miał z tym oficerem przed kilku dniami. „Zostało mi — rzekł — jakie 700 rubli z pieniędzy, które mi przysłał mój ojciec: schowałem je pod podszewką swej czapki, lecz z rana, przebudziwszy się, spostrzegłem, że mi je skradziono podczas snu. Zwróciłem się wtedy do moich przyjaciół, brygantów, (tak nazwał mój biedny syn swych towarzyszy, mało ponoć zasługujących na tak pochlebny epitet) i opowiedziałem im o swej stracie, pozbawiającej mię wszelkiej pomocy. Ludzie ci, zaledwie mię wysłuchali, spostrzegli oficera. Rzucili się hurmem na niego, schwycili go za gardło, ściskali i dusili, nakazując, aby natychmiast zwrócił pieniądze, które mi zabrał. Przyciśnięty do muru, oddał mi je w całości".

Panowie Czarkowscy, wróciwszy na Podole w sąsiedztwie p. Sobańskiej, opowiadali jej wszystkie szczegóły spotkania z Romanem, oraz tę nadzwyczajną jego przygodę.

Podejmuję dalej wątek swego opowiadania:

2 września otrzymałam przez pocztę tarnopolską paczkę listów, przemyconą ukradkiem przez granicę rosyjską. Pani Sobańska przysyłała nam listy Romana, do niej pisane, sądząc, że będzie nam miło je posiadać, i donosiła o zabiegach w jego sprawie, o których skuteczności dotychczas niewiadomo.

Przepisuję tu dwa listy mego syna do jego kuzynki:

1) „Dziękuję Ci moja droga kuzynko, za wszystkie dowody Twojej przyjaźni. Przyniosły mi one wielką ulgę w strapieniach. Trzeba zakosztować nieszczęścia, aby umieć ocenić spotkanie takiego serca, jak Twoje. Krzyżyk, który mi dałaś, będzie moją ochroną i wybawi mię

z ciężkiej niewoli. Obiecuję sobie również wiele pociechy z książki, od Ciebie otrzymanej. Kończę, bo każą mi się śpieszyć; całuję czule Twoje ręce i dziękuję Ci za wszystko, co przyrzekasz zrobić dla mnie. Przedewszystkiem proszę, abyś zechciała zapewnić mą rodzinę o mojej bezgranicznej miłości ku niej i o stałości w znoszeniu cierpień. Niech Cię Bóg błogosławi i darzy pociechą".

2/25 czerwca. „Dziękuję Ci raz jeszcze, moja droga kuzynko, że radość, jakiej doznałem, otrzymawszy zapewnienia Twej tkliwej dla mnie przyjaźni. Nie miałem wówczas możności odpowiedzieć Ci tak, jak chciałem, a to z powodu kilku nowych zdarzeń, które mię spotkały. Korzystam dziś z drugiej sposobności, jaką mi nastręcza oddawca tego listu. Dziękuję Ci raz jeszcze za krzyżyk, będzie mi on pociechą i umocnieniem, a kiedyś wybawi mię z niewoli, tak samo, jak Twego męża, któremu przyniósł on już szczęście. Rekomendacja Twoja w Tobolsku nie omieszka zapewne wywrzeć skutku, i będę Ci wtedy zawdzięczał wiele ulg, prócz tej, którą mi już przyniosło Twoje współczucie. Nie zapomnij w tem poleceniu o moich towarzyszach, gdyż oni są jeszcze nieszczęśliwsi ode mnie. Łączę również listy od nich... Daruj, że Cię tak trudzę, ale łączę to wszystko razem, jako naszą wspólną sprawę. Niech Cię Bóg błogosławi w osobach Twoich ukochanych za pomoc, jaką świadczysz nieszczęśliwym! Niech udzieli pociechy Twemu mężowi, Twoim dzieciom, Twemu szwagrowi, który w czasie mego przejścia przez Kazań dał mi dowody najżywszej przyjaźni. Całuję ze czcią ręce Twoje — Twój oddany kuzyn — Roman".

Pani Sobańska przysłała nam nadto trzy listy, pisane do nas: „20 czerwca 1832 r. Kochany Ojcze, mogę pisać do Was otwarciej, niż zwykle, i przesłać o sobie wiadomości. Wczoraj, podczas drogi, spotkałem panią Sobańską. Okazała mi wiele przyjaźni i chęci osłodzenia mych cier-

pień. Bodaj po raz pierwszy od długiego czasu zdarzyło mi się napotkać serce, które pojęło całą okropność mego położenia. Prosiłem ją, aby Wam opowiedziała o sposobie, w jaki podróżuję, który jest dość ciężką karą za wszystko, co mogłem kiedykolwiek popełnić. Zdrowie moje jednak to wszystko wytrzymuje; uzbroiłem się w największą rezygnację, jako jedyny środek na wszystkie utrapienia, jakiemi Bóg chce nas doświadczyć. Proszę Was, bądźcie spokojni i niewzruszeni, ja ze swej strony uczynię wszystko, aby Was jeszcze kiedy zobaczyć... Dbajcie o Wasze zdrowie, jako o jedyne moje szczęście i nadzieję. Nie mam już czasu, by napisać do Matki, która szczególnie jest przedmiotem tkliwości mego serca. Niech ją Bóg błogosławi tak, jak na to zasługuje przez swe cnoty, i niech daje ich przykład mojej biednej dziecince...

Gubernja wiacka 150 wiorst od Kazania.

25 czerwca 1832. „...Doznałem wielkiej pociechy, jedynej dostępnej dla mnie teraz, otrzymując w Kazaniu list od Ciebie, drogi Ojcze, i od mojej kochanej Matki.... Opowiadasz mi o tem, co się stało w Ilińcach: zapewne, jest to rzecz nieprzyjemna, ale znosić trzeba podobne przypadki z zupełną obojętnością, gdyż mogą się powtórzyć niejednokrotnie. Uważaj wszystkie straty, których doznałeś, jako ofiary, związane ściśle z naszem obecnem położeniem i obecnemi okolicznościami, a zniesiesz je łatwo. Bóg nam to kiedyś policzy... Zresztą w największych nawet klęskach czujemy nad sobą rękę Boga, ostoję Sprawiedliwego, który nieszczęście czyni znośnem. Doznaję tego obecnie, myśląc o stracie, którą poniosłem a która w innym czasie wciążby mi duszę rozdzierała... „Osoba, podejmująca się doręczyć Wam to pismo, bliska jest memu sercu, i współczucie jej osładza moje smutne położenie. Opowie Wam ona o mnie:

Idę dalej i dalej. Ta uciążliwa podróż odbywa się bardzo powoli, z częstemi wypoczynkami, które są jeszcze przykrzejsze od podróży, bo *„z ostroga do ostroga“*.

„Moi towarzysze niedoli — z wyjątkiem dwóch, jednakiej ze mną kategorji — to zbiorowisko zbrodniarzy i przestępców; z nimi podzielam los i traktowanie, a nawet chleb, który spożywam. Ostatecznie trzeba znieść to, co niedawno jeszcze wydawałoby się niemożliwe do zniesienia. Trzeba to znieść w nadziei lepszej przyszłości, w nadziei uściskania jeszcze Was wszystkich... Zresztą niech wola boża spełni się w zupełności! Między różnemi dolegliwościami, na które skazuje mię los, mógłbym wymienić Wam rozliczne rodzaje owadów i robactwa, pastwiących się okrutnie nad mojem ciałem.

„Okolica tutejsza — to nieprzerwany ciąg lasów. Piszę do Was z miejsca, oddalonego o 300 wiorst od Permu, do którego dojdę dopiero za 20 dni. Zdrowie mi służy; mam czasem chwile spokoju i pogody, ale zdarzają się też momenty bardzo gorzkie, czasem zaś nogi odmawiają mi już posłuszeństwa. Cała siła moja tkwi w Was, drodzy Rodzice, oraz w mojem sumieniu. Niech Bóg strzeże mojej biednej małej; życie jej rozpoczęło się pod tak straszną wróżbą, że należy spodziewać się w przyszłości zmiany na lepsze. Nie trzeba, sądzę, polecać jej Waszej tkliwości i pieczy; wiem, jak ją kochacie, i jestem pewien, że wychowacie ją dobrze. Niech Wam to Bóg nagrodzi, moi drodzy Rodzice. Kończę list, nie mając już nic więcej do powiedzenia, gdyż dni moje wypełnia smutna i przykra jednostajność. Cała radość moja — to Wy i wspomnienia. Bywaj zdrów, drogi Ojcze! Całuję czule Twe ręce.

Twój syn Roman“.

(Na drugiej stronicy). „Otrzymam listy od Was dopiero w Tobolsku, t. j. za 2 i pół miesiąca; piszcie do mnie



NATALJA z POTOCKICH
ks. ROMANOWA SANGUSZKOWA

Według rysunku Kriehubera

jak możecie najczęściej, gdyż to dodaje mi siły, i zdaje mi się, że nie jestem tak bardzo opuszczony. Sądzę, że nie potraficie już uzyskać żadnej zmiany w okrutnym sposobie prowadzenia nas, bo już jest za późno. Pragnąłbym tylko móc przyśpieszyć podróż, abyśmy nie szli przez całą zimę, bo byłoby trudno wytrzymać... Myślę, że czas jeszcze wszcząć o to starania, gdyż w Tobolsku staniemy dopiero 12-go września. Jeżeli jednak nie zdołacie tego uzyskać, wierzajcie mi, że tak już przyzwyczaiłem się do niewygód i dolegliwości, iż mam nadzieję wytrzymać ich jeszcze więcej, gdy Bóg je ześle. Mam przed sobą codzień widok nędzy ludzkiej w jej największej rozciągłości. Najbujniejsza wyobraźnia nie mogłaby wymarzyć tego wszystkiego, czego jestem codziennym świadkiem. Oto, drogi mój Ojcze, położenie Twego syna, tego syna, na którego Bóg, zda się, zlewał tyle szczęścia i łaski. Niechaj pozwoli On Wam przynajmniej doczekać radości we Władysiu. Piszcie mi o nim, o wszystkiem, co jego i Was dotyczy. Dziękuję Wam za wiadomości o moim Pawle i o Łysiu, dwóch istotach, które z osobą moją były najściślej związane. Rad jestem, że pies mój nie poszedł za mną; byłby doświadczył zbyt wielkiej nędzy...“

Reszta listu poświęcona była interesom towarzyszów mego syna: Pauszy i Biłgorajskiego, i Galicjanina, p. Brodzkiego.

Trzeci list pisany był z Permu 16 czerwca 1832 r.:

„Mój drogi ojcze, nadarza mi się sposobność przesłania Ci wiadomości o sobie przez jednego z ziomków, który powraca do domu. Jestem już prawie u kresu pierwszego etapu swej wędrówki, bo Perm — to ostatnie miasto gubernjalne przed Tobolskiem, a 58 dni drogi, które pozostają mi jeszcze, przejdą szybko. Dzień mija za dniem, bez żadnych wydarzeń. Oby mi tylko Bóg dał zdrowia i sił do przetrwania. Przejście przez każde miasto męczy mię naj-

bardziej, z powodu różnych przykrych formalności, jakie muszę znosić. Zdrowie moje jakoś to wszystko wytrzymuje, tylko oczy mię bolą od kilku dni.

„Jan był bardzo chory, miał tyfus ze straszną gorączką; dzięki Bogu, wyzdrowiał, ale szczegóły jego choroby i pomocy, jakiej z powodu mej niewoli, z trudnością mogłem mu udzielić, były okropne... Najbardziej mi dolega brak listów od Was. Dostanę je dopiero za 2 miesiące w Tobolsku.

„Niechaj Bóg Wam ześle życie ciche, spokojne, długie, jako nagrodę cnót Waszych i przebytych cierpień; oby udzielił mi On kiedyś łaski ujrzenia Was w tym stanie pełnego spokoju szczęścia, o jakiem marzę niekiedy. Miałem dziś pośrednio wiadomości o Władysiu...; proszę Was, utrzymujcie z nim stosunki jak najściślejsze. Darujcie, że w każdym liście powtarzam to samo, złóżcie to na karb mojej o Was i o niego troskliwości oraz doświadczenia, jakie wyniosłem z klęsk i nieszczęść. Proszę Was również, zachowajcie stosunki z rodziną tej, która miała stać się szczęściem mego życia. Proszę Was o to przez pamięć na nią, tak mi drogą. Korespondencję naszą krępuje tyle przeszkód, że staje się ona smutna i nieprzyjemna; nie trzeba się jednak zniechęcać, lecz korzystać z każdej nadarzającej się sposobności. Jeżeli ja nie upadam, będąc w tak ciężkim stanie fizycznym i moralnym, mam nadzieję, że i Wy nie poddacie się przygnębieniu, które osłabia duszę".

(W dalszym ciągu list zawiera szczegóły, dotyczące okolic Permu, a następnie syn mój z najżywszem zainteresowaniem poleca ojcu sprawy swych towarzyszów niedoli.)

Kiedy pisałam do cesarzowej z powodu jej imienin, prosiłam, by mi pozwoliła przesłać sobie pamiątkę po mej córce. Miałam w albumie śliczną zasuszoną gałązkę; kaza-

łam ją w Wiedniu oprawić w złotą ramkę, między dwie kryształowe szybki. Ostrożnie oderwano ją od papieru, został tylko jego skrawek mały, na którym napisane było ręką mojej córki: „*Od księżniczki Karoliny 15 czerwca 1816 r.*“ Roślina egzotyczna, z której księżniczka zerwała ową gałązkę, zdobiła salon w Charlottenburgu w dniu jej urodzin, obchodzonych świetną i wesołą zabawą. Sądziłam, że pani ta, która, zdawała się odżywać na wspomnienie swej młodości, ujrzy z radością i z rozrzewnieniem ów zadatek przyjaźni, dany osobie, miłej niegdyś jej sercu a dziś już nie żyjącej. Na odwrotnej stronie tej kartki dopisałam te słowa: „*Dosia prosi za swoim bratem*“. Posłałam tę pamiątkę w październiku na ręce pani Fiquelmont.

Wciąż myśląc nad sposobem przyjścia z pomocą synowi, uciekłam się do pośrednictwa p. Sobańskiej w przesłaniu mu listów i pieniędzy, wiedząc, że jej gorliwość i zapał zapewniają powodzenie wszystkim jej przedsięwzięciom. Napisałam do niej przez okazję, omijając cenzurę rosyjską. Odpowiedziała mi tą samą drogą. „Zdaje mi się — pisała — że Romanowi pieniądze w tej chwili nie są jeszcze potrzebne, gdyż odmówił kategorycznie prośbie, aby zaczerpnął z mojej sakiewki; ale brak mu pociechy dla serca... To, co ciocia pisze w swym liście, zwłaszcza zaś słowa: „*on jest naszą chlubą*“, będzie balsamem dla jego udręczonej duszy. Słusznie jesteście dumni z takiego syna, gdyż niedość, że jest on młodzieńcem o niezwykłych przymiotach, ale na Sybirze stał się dla wszystkich rodaków Opatrznością, przykładem cnoty i nieustraszonego męstwa i, co więcej, niezrównanego poddania się woli bożej. Byłam tak przejęta i zbudowana jego widokiem, że wrażenie, odniesione wtedy, pociesza mię w niepokoju o jego losy... Wierzaj mi, droga Ciociu, syn twój zostanie Ci wrócony,

przeczucie mi to mówi. Dziwię się, że dotychczas nie otrzymałam odpowiedzi na list mój, pisany do generała Weljaminowa, i nie wiem, czy udało mi się uzyskać dla mego kuzyna ulgę, by mógł odbywać podróż pocztą..."

Zdaje mi się, że pismo pani Sobańskiej odniosło skutek. We wszystkich swych listach syn mój oznaczał dzień 12/24 września, jako termin przybycia jego partji do Tobolska. (Podróż etapem obliczano tak dokładnie, że termin zgadzał się zawsze co do dnia.) Tymczasem już 1/13 września dostaliśmy z Tobolska list, w którym Roman donosił, że stanął na miejscu. Widocznie, gubernator na prośbę p. Sobańskiej kazał wyprawić go pocztą, tak, że wyprzedził partję o 2 tygodnie. Oszczędziwszy 2 tygodnie męczarni memu synowi, p. Sobańska uczyniła dlań więcej, niż ja zdołałam zrobić w Petersburgu, pomimo tego, że miałam protekcję w sferach najwyższych.

Już w czerwcu napisałam do pani Fiquelmont, przedstawiając jej pewien powzięty przez siebie projekt i uzależniając jego wykonanie od jej zdania, ufałam bowiem jej współczuciu i bystremu sądowi o rzeczach. Wiedziałam, że zna ona gruntownie umysły władców naszych losów, i spuściłam się na jej sąd. Chciałam, mianowicie, wnieść prośbę, aby mi pozwolono udać się do Jarosławia, Nowogrodu albo innego jakiego miasta nad brzegami Wołgi lub w innych stronach cesarstwa. Pragnęłam zabrać z sobą wnuczkę i uzyskać łaskę, aby przyprowadzono tam mego syna i pozwolono mu przez jakiś czas z nami zabawić. Chciałam wyjechać z początkiem wiosny 1833 r. Pani Fiquelmont jednak nie mogła pochwalić tego projektu, powziętego w chwili wzburzenia mojej duszy, i odpowiedziała mi, że po dłuższej rozmowie z gen. Benkendorfem radzi mi nie zanosić żadnej prośby i nie domagać się niczego. To samo po-

wiedział mi Jan Zamoyski ...„Zachowaj pani projekt podróży na później, ale na miłość Boga i przez miłość dla Romana nie proś o nic w tej chwili! Daruj, jeśli Ci ból sprawiam...".

23 sierpnia mąż mój przyjechał do Sławuty. Przywiózł mi list od pani Sobańskiej. Szczęście posiadania go złagodziło mój ból; cieszyłam się nim przez dwa dni, gdy nagle nowa wiadomość wzburzyła ten błogi stan mojej duszy, który można było nazwać zbliżonym do odpoczynku. Była to odpowiedź generała Benkendorfa, napisana po rosyjsku. Szczęściem, p. Piasecki, odebrawszy to pismo z kancelarji, pokazał go memu siostrzeńcowi, Janowi Zamoyskiemu, ten zaś wsunął do koperty tłumaczenie polskie. Bez tego byłabym się znalazła w niemałym kłopocie. Generał wiedział, że przebywam w Tarnowie; wiedział, że tam nikt nie zna języka rosyjskiego. Oto jego tłumaczenie: „Przedstawiłem prośbę Pani memu Monarsze, a J. C. Mość raczył odpowiedzieć, że, ponieważ syn pani przeznaczony jest do służby, jako żołnierz w garnizonie sybirskim, przeto tak znaczna suma pieniędzy jest mu niepotrzebna; jednakże w swej najwyższej łasce raczył pozwolić, aby księżna posłała mu tysiąc rubli. Donosząc o tej Najwyższej Woli, mam zaszczyt etc. etc.".

Jedynie łaska boska udzieliła mi siły do zniesienia bólu, który, jak ostry miecz, przeszył mi serce. Uważaliśmy tę zmianę losu za wielkie nieszczęście. W samej rzeczy, położenie syna mego stało się znacznie cięższe. Nie mogliśmy się wstrzymać od przypuszczenia, żę gniew cesarza musiał się spotęgować wskutek tonu, w jakim poruszono sprawę Romana na posiedzeniu parlamentu w Londynie 28 czerwca. Odrazu obawiałam się następstw tego kroku, zwiększył zaś jeszcze moje obawy list pani F., która pisała mi, że nie można było wymyślić nic szkodliwszego dla sprawy Romana.

Czyż istotnie mógł być szkodliwy głos, który się podniósł w obronie nieszczęścia i sprawiedliwości? Trudno mi odpowiedzieć na to pytanie, ale ponieważ w charakterze tyranji leży nienawiść do prawdy, można przypuszczać, że rozdrażnienie cesarza znalazło wyraz w pogorszeniu losu mego syna. Cierpienie nasze nie da się w słowach wyrazić.

Listy, jakie otrzymałam od mego syna z Tobolska, przeszły wszystkie przez kancelarję generała Benkendorfa, z wyjątkiem jednego, o którym wspomnę później. Łatwo było zauważyć, że pisząc do nas tą drogą, musi on się niezmiernie liczyć ze słowami, i że przymus ten jest powodem smutku, przebijającego w każdym liście. Oto co pisał do Jana Zamoyskiego: „Właśnie przybyłem do Tobolska po długiej i uciążliwej podróży. Tu dowiedziałem się o zmianie mego losu: zamiast osiedleńcem, będę żołnierzem w pułkach syberyjskich. Ponieważ zdrowie moje wymaga pewnych starań, nie wyznaczono mi jeszcze bataljonu, w którym mam pełnić służbę. Jestem zrezygnowany i gotów na wszystko. Największem mojem cierpieniem jest ustawiczny niepokój o zdrowie moich dobrych rodziców, o moją małą, o los brata i przyjaciół...".

Pod tą samą datą pisał do nas: „Ujrzawszy mury Tobolska, wznoszące się malowniczo nad brzegiem Irtyszu, w dzień dość pogodny, co rzadko się zdarza w tym kraju, doznałem uczucia miłego, jakiego doznaje żeglarz, gdy spostrzeże port, daleki wprawdzie od ostatecznego jego celu, jednak zapewniający mu bodaj względny spokój — taka ciężka była moja podróż...

„Zmiana przeznaczenia wyzwoliła mię z okropnych miejsc pobytu, w jakich przebywałem od 15-tu miesięcy, i przez to sprawiła mi chwilowo wielką ulgę fizyczną. Spotkałem się z Moszyńskim, przyjął mię z największą serdecz-

nością. Miał on zawsze serce jak najlepsze; nieszczęście jeszcze pogłębiło jego umysł. Zastałem listy Wasze z liczbami 4, 5, 6, 7 i 8; poznawszy pismo Władysia, uczułem dreszcz radosny. Moszyński ma wiele książek, które staną mi się wielką pociechą. Od pewnego czasu wskutek smutnego żywota, jaki wiodłem, moje zdolności umysłowe wielce osłabły; spodziewam się, że teraz pokrzepi mię wymiana listów z Wami... (następuje długi opis okolic Tobolska).

„Piszę Ci o tem, kochana Mamo, bo wiem, że zajmuje Cię wszystko, co dotyczy obcych krajów... Niepewność, czy ujrzę Was jeszcze kiedy, napełnia moje serce smutkiem; ożywiam się jedynie myślą o Was i o tem, co Was otacza. Niechaj Bóg Was wspiera a mnie udziela pomocy, niech Was w zdrowiu zachowa. Niechaj to będzie nagrodą za tyle bólu i cierpień".

Do brata pisał: „Kochany Władysiu! Piszę do Ciebie po raz pierwszy od chwili naszej okrutnej rozłąki. Cierpiałem nad tem bardzo i jeszcze cierpię, ale jestem spokojny i — o ile mi zdrowie dopisuje — nie rozpaczam. Rozpacz pochodzi ze słabości charakteru albo też ze słabości fizycznej... Przykro mi było dowiedzieć się o śmierci siostry Twojej żony, a to ze względu na Wasz smutek, gdyż w czasach obecnych nie żałuje się tych, co umierają, ze względu na nich samych....

Kraj tutejszy nie przedstawia nic charakterystycznego, nic, coby działało na wyobraźnię... (dalej mówi o polowaniu, o faunie Syberji). Taki jest, kochany Władysiu, kraj, w którym przebywam i który staram się, o ile tylko mogę, upiększyć wytworami własnej wyobraźni. Są tu nasi ziomkowie, między nimi Moszyński, który jest dobry i miły. Czytam dużo, ale ponieważ muszę dopiero wprawiać się do lektury, czynię to bez wyboru. Zresztą oczy moje są zbyt zmęczone, bym mógł czytać wieczorem; dręczy mię to nie-

wymownie, nie dlatego, żebym się obawiał o swój wzrok, gdyż doszedłem już do takiego stopnia obojętności, że nic mnie nie może zatrwożyć, ale — że przez to pozbawiony jestem przyjemności spędzania wieczorów z książką w ręku, tak miłą, gdy się jest samotnym...

„Niech Cię Bóg błogosławi, kochany Władysiu; niech Ci nigdy nie da zakosztować nadmiaru bólu, o to proszę Go wzamian za wszystkie moje udręki. A najbardziej dręczy mię nie to, co się tyczy mojej osoby — ja wszystko przenieść mogę — ale cierpienie innych, jakie widzę wokoło, nie mogąc im przyjść z pomocą...“

W innym liście, adresowanym do ojca, syn mój opisuje okolicę w podobny sposób. Pisze, że nie otrzymał jeszcze ostatecznego przeznaczenia. Wyczuwa się, że nękają go nuda i smutek, że wolałby nawet dostać się w dalsze strony... Następnie mówi o górach Ałtajskich, stanowiących granicę Tartarji chińskiej, o pięknych polowaniach, jakich tam można używać. W tym ustępie listu ożywia się i jakby otrząsa z przygnębienia. Byłożby to tylko zamiłowanie do myśliwstwa? Bardzo wątpię.

W innem znowu piśmie wspomina o pięknej bibljotece p. Moszyńskiego, opowiada o śniegu, który pada już od tygodnia, ale topnieje: „Przechadzki swe — mówi — kieruję ku brzegom Irtyszu: woda bieżąca wabi zawsze wzrok i myśli tych, co oddają się życiu kontemplacyjnemu. Wody Irtyszu, płynące z Tartarji chińskiej, toczą się spokojnie i dość okazale, ale dążą w stronę lodów, a to zasmuca...

We wszystkich tych listach Roman wspomina o Tartarji chińskiej. Smutek go ogarnia i żal na widok wód Irtyszu, płynących w kierunku innym, niż jego życzenia. Myśl jego zajęta jest wciąż granicami tego nieszczęsnego cesarstwa, i łatwo poznać, że niestrudzenie marzy on o wydostaniu się poza ich obrąb.

Rudnicki opowiadał memu mężowi, iż Roman zamierzał po upływie roku próbować ucieczki; pewien oficer udzielił mu bardzo dokładnych informacyj i obiecał dostarczyć mapy. Muszę wyznać, że z trwogą myślę o wielkiem niebezpieczeństwie, na jakieby się narażał. Jestem pewna, że ucieczka Niemca Raucha i jego 28 towarzyszów, o której doniosły gazety, spowoduje zaostrzenie dozoru. W liście z 30 października pisze, że otrzymał wiadomość o 1000 rubli, posłanych mu przez Ojca, które „w razie naglącej potrzeby mogą być do jego rozporządzenia"... Zdaje się, że nie otrzyma on ich wcale.

W innym zaś liście pisze: „Rozpocząłem już swą służbę. Jestem żołnierzem w 1-szej kompanji pułku linjowego, stojącego w Tobolsku. Czas upływa mi zresztą bez żadnej odmiany; spędzam go, oczekując na Wasze listy,... czas też uczy znosić wielki smutek, łagodząc go melancholją, którą — jak to Mama słusznie zauważyła — jest rozkoszą dla nieszczęśliwych, rozmiłowanych w samotności i marzeniach. Ponieważ rodzi się ona z opanowanych namiętności, napełnia serce posępnym spokojem".

Następny list otrzymaliśmy z Zasławia Wołyńskiego z pominięciem Petersburga i kancelarji. Na kopercie był dopisek: *Wysyła Roman Sanguszko, żołnierz 1 bataljonu linjowego pułku sybirskiego*. Z powodu tego do dopisku dołączyłam taką uwagę w liście do mego męża:

„Nie jest to zapewne buława hetmańska, którą piastował dawny Roman Sanguszko, ale w oczach Boga i uczciwych ludzi jest to jeszcze coś więcej".

List z 11/25 listopada:

„W dniu Twoich Imienin, kochana Mamo, otrzymałem 3 Wasze listy i przesyłkę na ręce p. Piaseckiego. Dowody Waszego dla mnie uczucia, mające na celu osłodzenie mo-

jej samotni, są dla mnie największą pociechą. Aby zrozumieć to, co odczuwam, trzebaby znaleźć się w podobnem mojemu położeniu. Od dwóch tygodni już panuje tu najokropniejsza zima; wczoraj było 27 stopni mrozu, do tego wiatr północny, tak silny, że zaledwie można było utrzymać się na nogach. Dzisiaj 30 stopni, a jednak człowiek wytrzymuje! Większość tutejszych mieszkańców nie zna innego klimatu. Co do mnie, znoszę mróz doskonale, nie ubieram się cieplej, niż u nas, ale myśl moja ucieka często do krain, którym przyroda niczego nie odmówiła, i gdy w jakiej książce czytam opis nieba łagodniejszego, nie mogę krwi zimnej zachować.

„Służba moja w zimie nie jest ciężka, bo nie można odbywać ćwiczeń. Mam już swój mały kącik, to znaczy dwie izdebki, dosyć ciepłe, z kuchnią i stajnią na jednego konia. Gdy nie jestem na służbie, siedzę spokojnie w domu z jednym z kolegów, Stanisławem Dutkiewiczem, którego teściowa moja zna dobrze, gdyż ojciec jego służył u niej w jej dobrach litewskich".

18 listopada 1832.

„Nie wysłałem tego listu w zeszłym tygodniu, gdyż panowały tak silne mrozy, że wszystko odrętwiało, i trzeba było nadludzkiego wysiłku, aby wyjść z domu. Przez ten czas mieliśmy 32 stopni mrozu, często połączonego z wiatrem. Od wczoraj trochę zelżał...

„Pisałem Wam już, że mam swój kącik, bardzo ciasny, bardzo mały i daleki od ideału czystości; wszystko tu jest bardzo utrudnione. Oprócz artykułów pierwszej potrzeby, jak mięso, ryby i mąka, niczego dostać nie można; przytem niema jarzyn, które tak lubię. Nie szukam przeto smaku w pożywieniu; staram się tylko, by konieczny posiłek był jak najmniej zły..." (Mój biedny syn lubił zawsze mleczywo,

słodycze, zwracał uwagę na wykwintne przyrządzenie potraw.) W liście z dn. 10 grudnia 1832 do brata, Władysława, syn mój z ojcowską czułością utwierdza go na pięknej drodze cnoty. Tuszę, że list ten znajdzie się nieraz w rękach mego wnuka, Romana, jeżeli Bóg raczy go nam zachować. Roman przysłał nam swój portret i prosi o nasze. Jest jeden wizerunek — pisze — którego nie śmiem żądać, jest on dla mnie zbyt cenny...“

Kończę to opowiadanie, które zapewne niejedną łzę wyciśnie z oczu tych, co je będą czytali. Chciałabym jeszcze wypowiedzieć się, na czem opieram swe nadzieje, ale, niestety—nic nie mam do nadmienienia. A jednak—wiara moja upewnia mię, że sprawiedliwy nie może być wiecznie poddany uciskowi tyrana, i że sprawiedliwość Boga prędzej czy później musi się objawić. Tak, mam nadzieję! Kiedyś syn mój, przedmiot mej czci i miłości, odczyta to pismo i dołączy objaśnienia, jakie podniosą jego wartość.

Niewątpliwie, uzna on, że matka, w najcięższej pogrążona boleści, robiła dlań wszystko, co było w jej mocy, i że był on celem jej uczuć, czynów i myśli. Jego piękna dusza zaniesie wówczas za matkę swoją modły do Wszechmocnego... Ja zaś wołam dzisiaj do Tego Boga Miłosierdzia: „Boże mój, przez mękę Twego Syna, wybaw me dziecię, a przedewszystkiem wybaw moją nieszczęśliwą Ojczyznę“!

Klementyna Sanguszkowa.

1 lutego 1833 r.

Dołączam tu jeszcze list mego syna z dnia 12 stycznia (31 grudnia) 1832 — 3.

„Piszę do Was w ostatnim dniu roku, którego koniec widzę z zadowoleniem, aczkolwiek nie mam nadziei, abym tak prędko lepszy dla siebie mógł zobaczyć. Rok, który się zakończył, przyczynił mi więcej cierpień fizycznych, niż moralnych w porównaniu z dwoma poprzedzającemi go tak

okrutnemi latami. Wiem również, ile wy przeżyliście. Zdaje mi się, że zniosłem swe cierpienia z odwagą i rezygnacją, Wy zaś ze swej strony okazaliście niezmiernie wiele siły ducha w tych czasach powszechnej niedoli...

„Mróz, który przez jakiś czas zelżał, teraz wzmógł się na nowo... Można się przyzwyczaić do wszystkiego, więc i ja stałem się nieczuły na najostrzejsze zimno, ale nie mogę się pogodzić ze smutnym widokiem przyrody, pozbawionej wszelkiego powabu, ogołoconej ze wszystkiego, co w innych, szczęśliwszych stronach świata tyle sprawia radości i pociechy. Słońce ma tu barwę żółtoczerwoną, smutną, a w południe stoi nie wyżej, niż u nas o zachodzie.

„Zabawnie jest patrzeć jak na Trzech Króli po ulicach biegają maski. Taki jest zwyczaj w całej Rosji, ale maskom tym brak dowcipu i wesołości, tak, że raczej do płaczu pobudzić mogą, niż do śmiechu.

„Zacząłem już służbę. Cztery razy na tydzień chodzę na ćwiczenia, które dotychczas niebardzo mię męczą. Zajmuję się też swem gospodarstwem; na nieszczęście, nie mam stołu, co jest bardzo nieprzyjemne; chciałbym mieć bodaj mały stoliczek do pisania, ale tu tak jest strudno o wszystko... Chciałbym uczynić swe listy trochę ciekawszemi, cóż, kiedy Syberja żadnego tematu do spostrzeżeń nie dostarcza! W Tobolsku wszystko jest bez życia: handel, ruch, wiadomości. Polowania niema, z powodu śniegów. Natura zamiera podczas tak długiej zimy...“

Miałam sposobność widzieć kilka razy w Sławucie p. Porczyńskiego, który walczył w oddziale Różyckiego, i wzięty do niewoli, zesłany został na Sybir. Sam nie wie, jakim okolicznościom ma zawdzięczać ułaskawienie. Do Tobolska przybył 4/16 — 1832 r., a w dwa tygodnie potem otrzymał pozwolenie wyjazdu. Mój syn, dowiedziawszy się o tem

ułaskawieniu jeszcze przed jego przybyciem, czatował na przybycie partji, w której Porczyński miał się znajdować, aby mu natychmiast oznajmić tę pocieszającą wiadomość. (Urzędowe zawiadomienie przyszło dopiero w trzy dni później.) Odszukał go w okropnem więzieniu, gdzie stłoczono przybyłych Polaków. P. Porczyński mówił mi, że doznał tak przykrego uczucia, widząc się wyróżnionym z pośród tylu innych, iż, gdyby nie myśl o starej matce osamotnionej, nie byłby się zgodził na porzucenie towarzyszów niedoli. Syn mój, widząc okropne pomieszczenie tych nieszczęśliwych, uzyskał pozwolenie wynajęcia im mieszkania w mieście. Porczyński podczas 3 tygodni, spędzonych w Tobolsku, często widywał się z mym synem i zapewniał mię, że zdołał on wzbudzić dla siebie szacunek nawet w swych brutalnych zwierzchnikach. Postępowanie jego było zawsze rozważne. Kilka razy był z nim razem u gubernatora cywilnego, Murawjewa (Amurskiego) i u pewnego urzędnika żonatego, który zapraszał do siebie Polaków. Syn mój mało się udzielał, mało mówił albo zupełnie milczał; mógł zaś tak postępować, nie ściągając na siebie zarzutu grubjaństwa wobec pań, gdyż te odzywają się do gości tylko wtedy, gdy zapraszają do jedzenia i picia. P. Porczyński utrzymywał, że wszystkie kobiety, które tam poznał, były niezmiernie głupie. Pan Moszyński często zapraszał do siebie na wieczory; raz zaprosił również oficerów żandarmerji, którzy przyjechali z Petersburga w jakiejś sprawie sądowej. Przy herbacie podawano poncz i wino. Kilku z naszych, podnieconych napojem, zaczęło dogadywać Moskalom w sposób niezbyt przyzwoity. Mój syn i nieszczęśliwy pułkownik Krzyżanowski przepędzili wieczór w milczeniu, jakgdyby byli niemi.

P. Porczyński przywiózł nam portret olejny mego syna; nie znam nazwiska malarza, który go wykonał; technika jest mierna, ale umiał on oddać w nadzwyczajny sposób ów

wyraz bolesny i wzniosły, który jest symbolem naszej sprawy. Nieszczęście i cnota są w tym obrazie wyrażone z bijącą w oczy prawdą. Nie spotkałam osoby, którąby go oglądała bez wzruszenia. Poza tem p. Porczyński oddał nam list Romana. Oto wyjątek z niego:

„...Proszę Was, abyście mię zawiadomili w jakikolwiek sposób, gdy uznacie, że nie widzicie już dla mnie żadnej nadziei zmiany... — Być może, że wtedy poproszę, abyście się starali wyjednać dla mnie przeniesienie do armji kaukaskiej; jako pretekst, możecie podać moje zrujnowane zdrowie i potrzebę łagodniejszego klimatu... Nie trzeba jednak śpieszyć się z tem podaniem".

Łatwo odgadnąć myśli mego syna! Ale jakież to smutne, że nie widzi on już innego sposobu wyzwolenia!... Jakież okropne położenie, w którem z rozkoszą myśli się o niebezpieczeństwach, ponieważ dostrzega się wśród nich słaby promyk nadziei... Gdy się jednak rozważa rzecz głębiej i zna stosunki, promyk ten niebawem gaśnie... Nie pojmuję, że Roman może łudzić się w ten sposób. Dowód to, oczywisty, ile musi cierpieć.

Co się tyczy armji kaukaskiej, słyszałem o niej wiele, poznawszy przypadkiem Polaka, który właśnie stamtąd wrócił. Był to p. Potocki, zesłany w sołdaty w r. 1822 na rozkaz ks. Konstantego. Opowiadał mi on o niesłychanych udręczeniach, jakie przechodzą Polacy, zesłani na Kaukaz po r. 1831. Jest ich tam 17.000. Na podstawie tego, co mi mówił, nie sądzę, aby należało starać się o to przeniesienie. Cierpienia są niezmierne, a nadzieje mego syna nigdyby się nie ziściły. Jakże pominąć milczeniem to, co słyszałam, a o czem nikt u nas nie wie? W r. 1832 cała Gruzja powstała, w przeciągu pół roku armja rosyjska obróciła w perzynę 1600 wsi, ludność zaś w pień wycięła. Czyż nieszczęśliwi Polacy mają narażać życie dla wytępienia ludu, walczące-

go za tę samą, co Polska, sprawę? Gruzini, naród, pochodzący od najdawniejszego plemienia chrześcijańskiego na kuli ziemskiej, powstali w obronie tego, co dla człowieka jest najdroższe: wiary, prawa i niepodległości. Czyż nie powinno się przełożyć lodów Sybiru nad okropność służenia za narzędzie takiej niesprawiedliwości!?

Syn mój prosił p. Porczyńskiego, aby starał się odmalować nędzę, w jakiej są pogrążeni Polacy nasi na Sybirze, i zorganizować wśród obywatelstwa na Wołyniu i Podolu zbiórkę, celem przyjścia im z pomocą. Widocznie nie domyśla się, że akcja taka z powodu nadzoru rządu u nas, jest niemożliwa. Mówił również o swem gorącem pragnieniu przyjścia z pomocą Francuzowi, który służył w armji polskiej i został wywieziony w sposób niezwykły i nieludzki aż na granicę chińską. Po kilku miesiącach dowiedziałam się ze zdziwieniem z listu mego syna, że Francuz ten został uwolniony i przejeżdżał przez Tobolsk, w powrotnej do Francji drodze. List z Paryża, otrzymany w czerwcu tego roku, zawiadamiał o przybyciu jego do tego miasta.

Zwróciłam się do mego siostrzeńca, Jana Zamoyskiego, zapytując, coby sądził o przeniesieniu Romana do armji kaukaskiej? (Nie wspomniałam zupełnie o tem, że to było życzenie mego syna.) Odpowiedział mi drogą poufną: „W chwili obecnej nie myślcie o żadnej zmianie w losie Romana. Starajcie się tylko, o ile to jest w waszej mocy, osłodzić mu pobyt w Tobolsku. Przeniesienie na Kaukaz nie byłoby wcale z korzyścią dla niego. Dowiecie się od oddawcy tego listu, że położenie jego w Tobolsku już się poprawiło etc. etc.". Dowiedziałam się, skąd pochodziły nadzieje, któremi chciano mię uspokoić. Generał Broniewski (Moskal, pomimo brzmiącego po polsku nazwiska) bawił w Peters-

burgu. Księżna Maksymiljanowa Jabłonowska, również tam przebywająca, postarała się z nim zobaczyć i poleciła Romana jego względom z serdeczną otwartością. Generał zapewnił ją, że syn mój doznaje lepszego traktowania, niż jego towarzysze, że jest zwolniony od ćwiczeń etc. etc. Zapewnienia rosyjskiego generała były również fałszywe, jak fałszywe bywają serca ludzi tego narodu. Mój syn bowiem w każdym liście pisze mi, że odbywa ćwiczenia dwa razy dziennie. W ostatniem piśmie, datowanem z sierpnia, donosi, że zajęty jest przez cały dzień i przez to zaniedbać musiał korespondencję i wyrzec się uprawy ogródka, do którego się przywiązał.

Oto już jest połowa września 1833; czas upływa, a Bóg nie zsyła żadnego promyka nadziei wyzwolenia tylu nieszczęśliwych. Ból mój pomnaża niemożność przyjścia z pomocą memu biednemu synowi. Siostrzeniec mój i p. Fiquelmont dają mi tę samą radę: zaniechanie wszelkich zabiegów, mogących jedynie pogorszyć los Romana. List, który napisałam do cesarzowej w dniu jej urodzin, został bez odpowiedzi.

Listy mego syna są zawsze piękne i pełne rezygnacji, ale znać w nich przygnębienie i głęboki smutek. Z pisma, które doszło nas pocztą, z pominięciem drogi urzędowej, gdzie mógł pozwolić sobie na więcej otwartości, wyczuwa się, jak bardzo pragnie on wydostać się z tej otchłani. Wypowiada również wyraźniej niepokój, zawsze przebijający się w jego listach, o los córki. Boi się, aby cesarz nie zażądał wydania w swe ręce biednego, kochanego dziecięcia, lub żeby nie chciał wykonywać nad niem prawa opieki, jak to stało się z córką p. Moszyńskiego. Widoczne jest, że troska ta przygnębia go za każdym razem, gdy my powracamy w granice tego okropnego Cesarstwa, i że lżej oddycha, wiedząc, że jesteśmy w Galicji. Staram się go uspo-

ROMAN ks. SANGUSZKO

Według portretu
zrobionego w Tobolsku w r. 1832
przez malarza samouka Szirokowa

koić pod tym względem, przezwyciężając przeszkody, które krępują naszą korespondencję.

Tu będzie może właściwe miejsce do zaznaczenia pamiętnego zdarzenia, jakie zaszło w Sławucie z końcem grudnia 1831 r. Był to czas, gdy najgłośniej zapowiadano porywanie dzieci nieszczęśliwych skazańców, w celu umieszczania ich w strasznych instytutach rosyjskich. Niejednokrotnie zjawiali się u naszych ludzi czynownicy, którzy rozpowiadali, że mała Marynia, córka Romana, licząca wówczas półtora roku, jest poddana władzy rządowej, że nie może posiadać majątku, że my nie mamy do niej żadnego prawa i t. p.

W sąsiedztwie rozsiewano podobne pogłoski i w ten sposób trwożono nas i naszych sąsiadów. Mąż mój poczynił należyte zarządzenia, aby móc w razie potrzeby ukryć dziecko i następnie przewieźć je przez granicę.

Kiedy po wyroku, wydanym na mego syna, szukałam sposobności, aby przesłać mu listy, wiele osób wychwalało przede mną ludzkość generała Namutowa. Mówiono, że wyrażał on głośno współczucie dla naszego nieszczęścia. Gdy więc generał ten zajął pierwsze miejsce w sztabie feldmarszałka Sackena i stał się osobą wielce wpływową, przyszło mi na myśl, że mogłabym przez niego uzyskać jakieś udogodnienia, bodaj w przesyłce listów; napisałam zatem do ks. Karola Jabłonowskiego, mieszkającego w Ostrogu, gdyż w jego domu Namutow stał kwaterą, prosząc, aby zechciał z nim kiedyś do nas przyjechać. Przybyli obaj nazajutrz i bawili prawie całą dobę. Wieczorem zebrało się więcej osób w salonie. Ja oddaliłam się na chwilę, nie brałam przeto udziału w rozmowie, a raczej, rzec można, scenie, jaka nastąpiła niebawem. Ktoś z obecnych wyraził obawę o los Maryni. Wówczas generał zabrał głos i tonem bardzo stanowczym oświadczył, iż w tej chwili mąż mój i ja możemy zatrzymać ją przy

sobie z zupełnym spokojem, gdyż niema narazie w Rosji zakładów dla dzieci skazańców, nie liczących jeszcze 12 lat wieku. Mąż mój, który dotąd słuchał w milczeniu, nie zdołał już dłużej nad sobą zapanować i zwrócił się do generała: „To hańba dla narodu — zawołał — mówić nawet o podobnem barbarzyństwie, a cóż dopiero je wykonać!“ Potem wstał, stanął na środku pokoju i z bolesnym a uroczystym wyrazem twarzy podniósł rękę ku niebu: „Przysięgam przed Bogiem — rzekł — tak, jak w Niego wierzę, że nikt nie położy ręki na mojej wnuczce. Gdyby mi ją chciano porwać, raczej zabiłbym ją własną ręką!...“

Namutow nie odrzekł ani słowa i wyjechał nazajutrz, wziąwszy z sobą list mój do syna, którego nie miał on nigdy otrzymać.

W dwa dni potem przyjechał do nas p. Frankowski i brat jego, pułkownik w służbie pruskiej, obaj żyjący w dobrej z Moskalami komitywie, i pytali mego męża, czy w istocie wypowiedział on słowa, które powyżej przytoczyłam. Gdy usłyszeli odpowiedź potwierdzającą i pytanie, skąd wiedzą o tem, odpowiedzieli, że słyszeli to w Ostrogu od generała Nebla, komendanta większej części Wołynia, ten zaś powtarzał publicznie, co słyszał od Namutowa. Podobno słowa męża wywarły wielkie wrażenie na Moskalach. Bojaźliwi z natury, lękają się rozpaczy, wiedząc, że ta na wszystko się waży.

Od tej pory żaden już asesor, ani sprawnik nie zaprzątał sobie głowy naszą Marysią.

Obawa o dziecko była również powodem, że syn mój przestraszył się projektu, jeszcze bliżej nieokreślonego, mojej podróży, w celu zobaczenia się z nim. Odpisał, że sama myśl o tem przejmuje go dreszczem, że przekłada okrutną rozłąkę nad podobny krok, który mógłby zniweczyć wszystkie jego nadzieje etc. Ostatnie zdanie świadczy o wiel-

kiej jego obawie o małą, którą, zdaje się, kocha namiętnie. Jeśli spodziewa się jeszcze jakiej w życiu osłody, wiąże ją z myślą o córce.

Co do mnie, zmuszona jestem wyrzec się nadziei ujrzenia mego syna, bodaj w ten sposób. Oczekuję na to, co przyszłość przyniesie. Oby mogła przynieść odmianę losu i kres cierpień, które nas udręczają!

Tarnów, 17 września 1833 r.

16 lipca 1834 r.

Wyjechałam z Tarnowa na Wołyń 23 października r. 1833. W kilka dni po przybyciu do Sławuty dowiedziałam się, że Ferdynand Pietnicki, którego prawie równocześnie z moim synem sądzono i skazano, otrzymał ułaskawienie. Z listów Romana dowiedziałam się, że młodzieńcowi temu pozwolono wrócić do starego ociemniałego ojca, zamieszkałego wpobliżu Sławuty. Jak tylko przyjechał, zaprosiłam go do siebie i czułam się niezmiernie wzruszona widokiem człowieka, który mniej, niż sześć tygodni temu, widział mego syna. Pietnicki był pierwszym, który mi opowiedział o tem, co rząd nazwał buntem sybirskim, a co było jedynie usiłowaniem kilku nieszczęśników, doprowadzonych do rozpaczy, uwolnienia się ucieczką od męczarni.

Zdołali oni nawiązać stosunki z Kałmukami i niepodległymi Tatarami i liczyli na ich pomoc. Nieszczęścia zmąciły władze umysłowe tych biedaków, i ponieważ byli oni bardzo nieostrożni, rząd dowiedział się niebawem o wszystkiem i wyolbrzymił sprawę, aby móc dać folgę okrutnej zemście. Odtąd nie pozostawiono żadnego Polaka w spokoju na miejscu jego smutnego przeznaczenia; nawet ci, co, jako rozsądniejsi, odmówili udziału w nieszczęsnem przedsięwzięciu, zostali przeniesieni w strony odleglejsze i bardziej jeszcze obmierzłe. Rozdzielono ich, i rzadki to

był wypadek, aby dwóch Polaków mogło przebywać w jednej miejscowości.

Ci, co byli najbardziej skompromitowani, są w więzieniu, i czeka ich kara knuta, gdy to, co Rosjanie nazywają sądem, zostanie skończone. Między nieszczęśliwymi, co żyją w oczekiwaniu kaźni, jest doktór Szokalski, którego rodzina jest mi znana. Syn mój wspomniał mi również o nim, jako o swoim towarzyszu więzienia w Kijowie; mówił, że jest to człowiek o charakterze najzacniejszym, lecz bardzo wątłego zdrowia. Udało mu się napisać do swoich rodziców list z Omska, gdzie siedzi zamknięty w lochu podziemnym. Loch więzienny w Omsku, czy można sobie wyobrazić coś okropniejszego!?

Jeden z więźniów napisał list do p. Porczyńskiego, który, ułaskawiony naskutek starań swej matki, mieszkał z nią razem w okolicach Cudnowa. Podchwycono to pismo i wywieziono go do Kijowa, gdzie, osadzony w kazamatach, oszalał. Matka ciężko zasłabła, może już nie żyje.

Mój syn i Moszyński nie byli skompromitowani, tak przynajmniej zapewniają mię moi znajomi z Petersburga. Romana podówczas nie było nawet w Tobolsku. Wysłano go w lecie 1833 do obozu w okolicach miasta, inaczej nie byłby zapewne uniknął zsyłki. Przytem pewna okoliczność mogła była przyczynić się do pogorszenia jego losu. W początkach r. 1833 przybył do Tobolska sułtan niepodległych Kałmuków, aby złożyć daninę. Zapoznawszy się z niektórymi Polakami, wyraził chęć zobaczenia mego syna, o którym słyszał, jako o człowieku znakomitym i jednym z przewódców. Roman zaprosił go do siebie pewnego razu na szklankę herbaty i cygara. Sułtan wpatrywał się przez cały wieczór w mego syna i ocierał łzy, tak się czuł wzruszony jego widokiem. Ofiarował mu się z pomocą, proponował ułatwienie ucieczki, ale syn mój, kierując się rozsąd-

kiem i przezornością, uchylił się od wszelkiego z nim porozumienia. Tak przynajmniej sądzi Pietnicki, mnie się jednak zdaje, że syn mój nie ze wszystkiem mu się zwierzał.

W sierpniu r. 1833 odbył się zjazd monarchów w Czechach. Bawiąc wówczas w Galicji, byłabym może pomyślała o udaniu się do Münchengrätzu, podróż cesarza jednak była otoczona taką tajemnicą, że dowiedziałam się za późno. I chwała Bogu, że się tak stało, gdyż widok mój bez wątpienia byłby rozzłościł cesarza, i tylkobym zaszkodziła synowi.

Napisałam drogą poufną do p. Fiquelmont i p. Piaseckiego, zapytując, czy nie byłby wskazany mój przyjazd do Petersburga. Piasecki sam przyjechał do Sławuty w dzień Nowego Roku 1834 i przywiózł mi odpowiedź p. F.

...„Jest to najgorsza chwila, żeby o coś prosić — pisała — i jedyną przysługą, jaką obecnie można oddać Romanowi, jest głębokie milczenie... Cesarzowa mówiła mi, że w Czechach jej starszy brat, pruski następca tronu, wstawiał się za Romanem i otrzymał odpowiedź, że w chwili obecnej nic się nie da dla niego zrobić... Zrozumiesz, droga księżno, że po takich zabiegach wszelkie inne muszą być bezowocne. Gdy czas nadejdzie, zawiadomię Cię, czuwam nad tem sama, i Dorota, gdyby żyła, nie włożyłaby w to więcej gorliwości...“

Rzecz prosta, że sposób widzenia rzeczy pani Fiquelmont wypływał z jej stanowiska w świecie, ale ufałam w jej dobrą wolę, a w labiryncie tak niebezpiecznym, jak dwór petersburski, czyż można postępować bez przewodnika? Każdy z moich dotychczasowych zabiegów pogarszał tylko los mego syna. I tak było ze wszystkiemi matkami polskiemi.

5 lutego 1834 r., w dwa dni po odjeździe Piaseckiego, dostałam od syna list tej treści:

„Najukochańsza matko! Dowiaduję się dzisiaj z najwyższego rozkazu o swojem nowem przeznaczeniu. W armji kaukaskiej zatem ma się rozstrzygnąć moja przyszłość. Stamtąd, być może, przybliżę się do Was, ukochani rodzice. Nie wspominam o nowych trudnościach, związanych z tem przeznaczeniem. Czuję w sobie tyle siły, że nic nie wydaje mi się za ciężkie do zniesienia. Odczuwam tylko głęboką boleść, opuszczając towarzyszów niedoli, do których przywiązałem się całem sercem; ich los jeszcze jest od mojego niepewniejszy, i pozbawieni są oni tej pociechy, której mi Wy nie szczędzicie. Najbardziej leży mi na sercu los Piotra Moszyńskiego i towarzysza mojej kwatery, Stanisława Dutkiewicza. Proszę Cię, droga Matko, wyjednaj u mego Ojca tę łaskę, aby pomocą pieniężną umożliwił byt temu młodemu chłopcu, do którego bardzo się przywiązałem i który godzien jest Waszego zainteresowania.

„Wyprawią mię stąd dopiero za trzy tygodnie, a do Tyflisu przybędę nie prędzej, niż w pierwszych dniach marca, przejeżdżać będę przez Kazań i Saratów. Piszę do Piaseckiego o pieniądze!“.

W ciągu dalszym listu biedny mój syn rozwodzi się nad powodami, które sprawiły, że został bez pieniędzy. Zły los prześladował go, jak zwykle, list nie zastał Piaseckiego w domu, i Roman musiał odbyć tę ogromną podróż bez pieniędzy, w najgorszej porze roku i to przez nawiedzone głodem okolice... Opatrzność jednak zesłała na jego drogę dusze litościwe: dopomogli mu inni wygnańcy.

Zdawało mi się, że padnę trupem, czytając ten list! Prawda, że w Tobolsku mogłam się lękać dla drogiego mego syna fatalnych skutków nudy i odrętwienia umysłowego, a jednak przeniesienie to wydało mi się wielkiem nieszczęściem! Pozostawiał tam bowiem przyjaciół: p. Moszyńskiego, cieszącego się szacunkiem i współczuciem,

oraz Dutkiewicza, mało nam wprawdzie znanego, który jednak musiał posiadać cenne przymioty duszy, skoro mój syn tak się do niego przywiązał.

Nadto korespondencja nasza została już ustalona. Jakaż w tem była pociecha dla nas trojga! Przesyłki, wyprawiane za pośrednictwem p. Piaseckiego, przynosiły mu rozrywkę. Tryb jego życia był dość spokojny; poza obowiązkowemi ćwiczeniami mógł odpoczywać po niezmiernych trudach, jakie przeniósł. A przedewszystkiem, na Sybirze życie jego nie było narażone na niebezpieczeństwo; na Kaukazie zaś, w armji, przeznaczonej na zagładę!... Sama myśl o tem ścina krew w żyłach! Ale pocóż mówić o naszej boleści! Nigdy, ufam w to niezłomnie, syn mój nie zwątpi o miłości swego ojca i matki!

Jakie względy spowodowały to przeniesienie? Prawdopodobnie pełen podejrzeń niepokój, wskutek którego tylu Polaków musiało zmienić miejsce pobytu. I nie oni sami tylko. P. Murawjew, gubernator cywilny Tobolska, który żył w przyjaznych stosunkach z Moszyńskim, jak wnioskuję z tego, co mi o nim mówiono, musi być człowiekiem bardzo ludzkim. I dlatego został przeniesiony do Wiatki.

A teraz postaram się, przytaczając wyjątki z listów mego syna, podać ciekawy opis jego podróży:

Kazań 19 lutego 1834 r.

„...Oto znów jestem na chwilę w Europie, aby niebawem powrócić do innej części Azji. Gdym przybył do tego miasta, uderzył mię jego wygląd: domy murowane, sklepy bogate, choć nie w guście europejskim, właścicielami zaś ich są Tatarzy. To wrażenie da ci poznać, Mamo, czem była stolica nasza: Tobolsk! Kiedy przejeżdżałem przez Ural, mróz był trzydziestokilkostopniowy, nie zaziębiłem się jednak, mimo że mróz mi dokuczał...“.

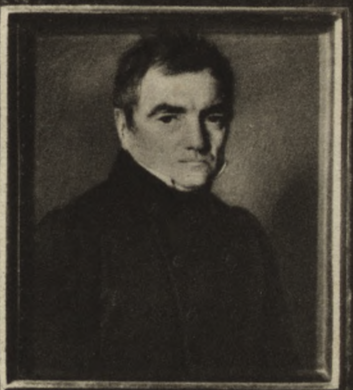
(Syn mój nie mógł kupić sobie futra, gdyż nie miał pieniędzy, a jakże mógł je posiadać, skoro wzbraniał tego formalny rozkaz cesarza?) „Mróz towarzyszył mi aż do Kazania; po drodze nie widziałem nic ciekawego, prócz gromady Indjan amerykańskich, wracających do kraju swego z Rosji, gdzie uczyli się rzemiosł...“.

W dalszym ciągu listu Roman wspomina o losie swych towarzyszy niedoli i powtarza prośbę, byśmy się zajęli ich sprawami. Chodzi mu zwłaszcza o p. Piotra Moszyńskiego; zapewnia nas, że za wszystko, co zrobimy dla jego przyjaciela, będzie tak wdzięczny, jakbyśmy to czynili dla niego samego. Ten ustęp wzbudził w nas obawę, że syn nasz przecenia wpływy swych rodziców.

Troszczy się on również o los Gotarda Sobańskiego; nieszczęśliwy ten młodzieniec, uwięziony w fortecy kazańskiej, zwarjował. Matka usiłowała z całem poświęceniem ulżyć losowi syna, lecz go tylko pogorszyła. W kilka dni potem otrzymałam przesyłkę z Saratowa. Pierwszy list, który otworzyłam, pochodził od mego kuzyna, Antoniego Jabłonowskiego. Pisał on pod datą 17 lutego 1834 r.

„...Nie mogę wypowiedzieć Ci, kochana kuzynko, wszystkiego, co czuję; są wzruszenia, jakie lepiej jest zachować w sercu. Znalazłem syna Twego równie dobrym jak niegdyś, ale nieszczęścia dziwnie go pogłębiły. Dusza jego nabrała hartu, a charakter siły, które budzą cześć we wszystkich, co mają z nim styczność, nawet wśród obojętnych. Znosi on swe położenie z przedziwną odwagą i pogodą. Bóg, dotykając go podwójnym ciosem, udzielił mu męstwa. Mało komu dane jest pójść w jego ślady. Dziękowałbym niebu, gdybym choć w części mógł posiadać tę szlachetną rezygnację i spokój, z jakim znosi on swój los, o wiele cięższy od mojego. Należy mieć nadzieję, że wkrótce stanie się on lżejszy, już zmiana przeznaczenia jest tego dowodem. Zdro-

DLA ROMANA.







TRYPTYK MINJATUR RODZICÓW ks. ROMANA i CÓRKI JEGO MARJI
posłany ks. Romanowi do Moskwy w r. 1839

wie jego jest dobre, trudy i smutki go nie nadwątliły, nie zaszkodziły nawet piękności jego twarzy, która, mimo że utraciła świeżość lat młodzieńczych, zyskała zato ową dostojność, jaką w jej szlachetnych rysach wyryło nieszczęście, mężnie znoszone... Wielką radość, jakiej oddawna był pozbawiony, sprawiła mu możność pomodlenia się w naszym kościołku. Zapoznałem go z czcigodnym prałatem Szczytem. Ten ze szczególnem wzruszeniem powitał wnuka osoby, od której tyle dobroci doznał niegdyś w Rzymie".

[Dopisek Księżnej].

Ks. Antoni Jabłonowski został uwięziony w pierwszych dniach r. 1826, wtedy, gdy wielu Polaków i Rosjan zostało skompromitowanych wskutek zaburzeń, wybuchłych z początkiem panowania Mikołaja 1-go. Przez trzy lata trwało śledztwo, i przez ten czas ks. J. z jednego do drugiego więzienia był przenoszony. Cesarz napisał własnoręcznie na jego wyroku, że ułaskawia go ze względu na pożyteczne objaśnienia, jakie złożył. Dodał do tego rozkaz osiedlenia się w Saratowie. Opinja publiczna potępiła jednogłośnie mego nieszczęśliwego kuzyna. Nie mogę oprzeć się chęci przytoczenia szczegółu, który wydaje mi się wzruszającym:

Prezydent Chodźko, człowiek szanowny, który czas jakiś dzielił celę Jabłonowskiego, wielce niechętnie przyjął towarzystwo zdrajcy. Jednakże współczucie zdjęło go, gdy wieczorem zobaczył, że Jabłonowski, schroniwszy się za przepierzenie do swego kąta, leży na ziemi i łka rozpaczliwie.

„Na pytanie moje odpowiedział z trudem. — Czy pan nie wiesz, że ja was wszystkich zdradziłem? Codziennie proszę Boga na klęczkach, aby na moją głowę zwalił wszystkie kary, a oszczędził jedynie moją żonę i dzieci.

Następnie opowiadał o głębokiej zmianie jaka zaszła

w jego duszy pod wpływem żony, zapoznanej dotąd, a której modły i miłość spowodowały jego nawrócenie. „Przyczyną mojej zguby — dodawał — było wygórowane o sobie mniemanie. Zdawało mi się, że potrafię stanąć na czele wielkiej imprezy, a kiedy przyszło do czynu, nerwy moje uległy, i zabrakło mi wszelkiej siły ducha...“

Oto list mego syna, pisany z Saratowa 2 marca 1834 r.

„Podążam coraz dalej, droga i ukochana Matko. Przybyłem już do punktu, najbardziej zbliżonego do miejsc, gdzie Wy przebywacie, poto jedynie, aby się znów oddalić. To zbliżenie chwilowe, wobec przeszkód, które nas dzielą, dziwne budzi uczucie w mem sercu. Gdym tu przybył, doznałem nowego wzruszenia na widok Antoniego i jego rodziny, ciężko przez losy doświadczonej. Myśli moje przeniosły się w kraj dzieciństwa i młodości. Po tak długiem oddaleniu od rodziny spotkanie krewnego, który zna wszystko, co mnie dotyczy, zna nawet wszystkie moje przyzwyczajenia, wywołuje wrażenie serdeczne i miłe. Jak wszyscy, co przeszli przez próbę cierpienia i przeciwności, Antoni zyskał moralnie; serce jego nauczyło się współczuć cierpieniom innych. Nie możecie sobie wyobrazić, z jaką mię przyjął serdecznością, tak samo jego żona. Bardzo mię to wzruszyło. Spotkałem tu również z przyjemnością drugiego ziomka, z którym dawna łączy mię zażyłość, mianowicie Sabbatyna; przykro mi tylko było widzieć go w chorobie i cierpieniu. Miałem szczęście spotkać się tu znowu z obrzędami naszego kościoła. Proboszczem i wizytatorem jest tu ks. prałat Szczyt, którego przyjazne stosunki łączyły z moją Babką, człowiek niepospolity i światły.

„Moja podróż, począwszy od Kazania, była bardzo nieprzyjemna z powodu złych dróg i lichego stanu koni, ginących z głodu, w kraju tak urodzajnym.

[Dalej następuje opis Saratowa].

„Jutro jadę dalej. Oczy moje były zmęczone drogą, śniegiem i wiatrem, ale jest mi już lepiej. Mróz zelżał, może rozstanę się z nim na długo...“.

Po otrzymaniu tych listów, przez dwa miesiące byliśmy bez wiadomości i wskutek tego bardzo niespokojni. Dopiero 15 maja, w wigilję dnia, w którym zamierzałam opuścić Sławutę, przyszedł list następujący:

Stanica Jekaterynodarska.

25 marca 1834 r. ...„Od Saratowa podróż moja była bardziej zajmująca, ale też bardziej męcząca, z powodu wielkiego głodu, panującego w tych stronach. Jechałem wzdłuż Wołgi..., jakby przez Niemcy w minjaturze. Jest tu około 100,000 kolonistów z Wirtembergji i ks. Badeńskiego, z których część wyznaje religję ewangelicko-reformowaną, część katolicką, wszyscy zaś zachowali charakter, fizjonomję, obyczaje niemieckie. W obejściach ich panuje czystość i ład, mają szkoły i dom sierot; przyjemnie widzieć ich w kościele, gdyż są bardzo pobożni... Poza tem stoją oni niżej od swych rodaków z nad Renu; pozostali oni w tym stanie kultury, w jakim byli w chwili przybycia. Z krajem rodzinnym nie mają żadnych stosunków. Uprawa roli stoi dosyć nisko, a już darować im nie mogę tego, że nie mają ogrodów, ani drzew przy domach... W Carycynie musiałem się zatrzymać, gdyż zaprząg mój był zbyt lichy, i musiałem kupić sobie „powózkę“, aby móc jechać dalej. Czekając, aż mi ten wóz sporządzą, spędziłem tam dwa dni. O 25 wiorst od tego miasteczka trafiłem na kolonję Braci Morawskich, złożoną z 400 osób.... Osada ta, wśród ogromnego stepu, na wielkiej pustyni kałmuckiej, jest bardzo ładna, podobna do miasteczka niemieckiego; mieszkańcy są szczęśliwi i pracowici.

„Żal mi był, że tak krótko mogłem tam bawić; czułem, że dusza moja znalazłaby wytchnienie, obcując czas jakiś z ludźmi tak spokojnymi i cichymi.... Tuż obok ich ładnych domków rozłożyła się gromada Kałmuków w swych jurtach, i te dwa przeciwne bieguny cywilizacyjne tuż obok siebie dziwne sprawiają wrażenie.

„Opuściwszy tę ładną i szczęśliwą miejscowość, zwaną Sareptą, wjechałem w ogromną pustynię, na której spotkać można tylko koczujące plemiona Kałmuków, pasących trzody....

„Byłem ciekawy Astrachania, miasta, mającego bezpośrednie stosunki z Bucharą, nawet z Indjami; niestety, z różnych powodów (syn mój jechał pod strażą „kwartalnego“) nie mogłem się tam zatrzymać dłużej, nad parę chwil. Było to dla mnie prawdziwem nieszczęściem zobaczyć niewiele w miejscowości tak ciekawej.

„Przebyłem następnie 500 wiorst, nie spotkawszy ani człowieka, ani siedziby ludzkiej, prócz kilku Kałmuków ze stadem wielbłądów. Pustynia ta daje wyobrażenie o piaskach Arabji. Sześć nieznośnych dni trwała ta przeprawa...; dopiero przy zbliżaniu się do Kizlar widzi się więcej trawy; mieszkańcy tamtejsi to Tatarzy Nohajcy, trochę podobniejsi do ludzi od Kałmuków. Kizlar, to miasto zupełnie azjatyckie, zamieszkałe przez Ormian i Gruzinów. Wszyscy tam chodzą uzbrojeni, z powodu częstych napadów, jakie czynią niepodlegli górale Kaukazu...

„Oto, kochana Matko, opis podróży, równie długiej, jak nudnej i męczącej, z powodu lichej żywności oraz braku wszelkiej wygody.

„Jestem tu od dni kilku, w obliczu gór Kaukazu; czekam na odejście poczty i konwoju, który jej towarzyszy. Samemu puszczać się nie można, nawet na przechadzkę w okolicę wsi pójść niebezpiecznie.... Bóg mi dał cierpli-

wość i siłę do odbycia większej części tej drogi, przeto pozwoli mi też przybyć do celu, który mi jest przeznaczony. Z pewnych względów rad jestem, żem opuścił Syberję, ale przykro przyjeżdżać do kraju nieznanego, nie mając nikogo, do kogoby się można przywiązać...

„Mówią, że trzeba żyć życiem czynnem, mnie się jednak zdaje, żem już zdolność do niego zatracił. Kontemplacyjny i cierpliwości tylko wymagający tryb życia, który od 3 lat prowadzę, nie przyzwyczaja do zajęcia się czemkolwiek....

„Kilka dni temu rozmyślałem nad tem, że mój portret fizyczny i moralny tak wygląda: Dusza zraniona i oschła, umysł odrętwiały w ciele zużytem i strudzonem...“.

W kilka dni potem dostałam drugi list:

Tyflis, kwiecień 1834 r.

„...Przybyłem tu 7/20 marca. Nie mogłem napisać zaraz, ale prosiłem Piaseckiego, aby Wam doniósł o mojem szczęśliwem przybyciu, szczęśliwem, o ile to oznacza zdrowie niezbyt liche.... Moje ostateczne przeznaczenie to pułk Tengiński, który stoi po drugiej stronie gór, nad brzegiem Kubania, między Stawropolem a morzem Czarnem. Po tak długiej i męczącej drodze dano mi kilka dni wytchnienia...“ (Następuje długi opis podróży do Władykaukazu, forteczki górskiej nad wąwozem Tereku). „Droga ta przypomina gościniec szwajcarski z doliny Grindelwald do Grimsel... Na posterunku wojskowym, zwanym Kobi, konwój zatrzymał się z powodu wielkich śniegów, choć na równinie była wiosna.

„Spędziłem tam tydzień, ale marny tydzień z powodu zimna i niewygód.... Dalej jechaliśmy przez wąwozy i przełęcze, niesłychanie malownicze, ale obmierzłe przez trudności i niebezpieczeństwa, jakie towarzyszą przejazdowi

przez nie w tej porze roku. Z drugiej strony pasma gór zobaczyłem już kwiaty, jak we Włoszech, fiołki zwłaszcza, cały urok wiosny... Rzeczka Kura, nad którą leży Tyflis, jest wartka, jak Rodan, gdy wpada do jeziora Genewskiego. Tyflis to miasto zupełnie wschodnie; ludność różnorodna o uderzającej piękności; konie piękne, choć małe, białe z grzywą i ogonem, pofarbowanym na czerwono, przypominają obrazy Verneta. Ruch w tem mieście południowem jest ogromny i tak różny od wszystkiego, co widziałem doniedawna, że bawi oczy i dostarcza na jakiś czas przyjemnej rozrywki. Jest tu dużo kościołów i cerkwi, jest kościołek katolicki, dość ładny, w stylu włoskim, obsługiwany przez kapucynów z Propagandy rzymskiej. Ci poczciwi mnisi przyjęli mię z wielką serdecznością. Nabożeństwo przypomina Włochy, księża gestykulują, jak w Neapolu lub w Wenecji. Będziesz miała, kochana Mamo, dwóch tych poczciwych i szanownych księży w Sławucie lub Tarnowie. Wracają oni do Włoch. W domu naszym znaleźć mogą pożądany przytułek i wypoczynek po tak długiej podróży. Oby tylko trafili do Was! Nie znają bowiem żadnego języka, prócz swego ojczystego. Zaprosili mię na obiad, złożony z makaronu, oliwek, sałaty, suszonych owoców — prawdziwy włoski obiad, ale bardzo dobry. Niech ich Bóg szczęśliwie prowadzi, będę o nich niespokojny...".

„Przez całą drogę a zwłaszcza przy jej końcu miałem kłopoty materjalne. Pieniądze, które Piasecki wysłał dla mnie, skierowano do pułku, gdzie mam służyć; na szczęście, tu, jak i wszędzie, Bóg mię nie opuścił: Polak, znajomy Piaseckiego, przyszedł mi z pomocą...".

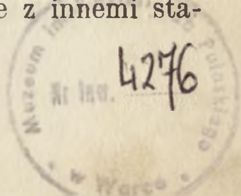
List ze Stawropola, 29 kwietnia 1834 r.

„Przyjechałem tu 26-go. Prosiłem feldjegra, który mię przywiózł, teraz zaś wraca do stolicy, aby zawiadomił

p. Piaseckiego o mojej podróży; sadzę, że nie omieszka on przesłać Wam tych wieści o mnie. Podróż moja była krótsza od poprzedniej; przejazd przez góry zawsze jest nieprzyjemny, i trudno się do tej drogi przyzwyczaić, pomimo groźnej piękności okolicy. Ścieżka z powodu śniegów jest tak wąska, że zaledwie dwóch ludzi minąć się może, a jeżeli ten, co idzie z brzegu, ma odwagę spojrzeć wdół, widzi przepaść tak głęboką, iż dość duża rzeka w głębi wygląda, jak biała wstęga, a dwie wioski gruzińskie, leżące w dolinie, zaledwie są widoczne. Jestem tu od czterech dni i czekam, żeby mię wysłano na miejsce mego ostatecznego przeznaczenia, gdzie chętniebym już stanął. Miejscowość ta, zwana „Niewinnyj Mys", odległa jest stąd tylko o 80 wiorst; ale żeby się tam dostać, muszę naprzód stawić się w kwaterze pułku, do którego należę i gdzie będę musiał jeszcze przejść przez mnóstwo formalności... Mówią, że jest to rodzaj forteczki górskiej, która mało ma komunikacji ze Stawropolem lub innemi znaczniejszemi miejscowościami. Przykro mi będzie nie móc otrzymywać równie szybko i regularnie, jak dotąd listów Waszych, tak drogich mi i potrzebnych. Listy i gazety będą musiały przejść przez kilka rąk, zanim do mnie się dostaną. Poczta tutaj nie dochodzi. Nie mam nawet tej pociechy, żeby mieć swoje książki; zostały w Tyflisie, gdyż nie mogłem ich zabrać z sobą. Mam nadzieję, że mi je odeślą. Dałby to Bóg, bo są to przedmioty niezbędne dla mnie...".

Niewinnyj Mys, 6 maja.

„Nareszcie jestem na miejscu przeznaczenia: jest to wioska, złożona z 150 do 200 domów, nad brzegiem Kubania, wśród pięknego stepu, którego widnokrąg zamykają góry, przedgórze wielkiego łańcucha gór kaukaskich, widocznych z oddali. Mieszkańcy tej wsi, zwanej Stanica Niewinno-myskaja, to Kozacy. Oni to łącznie z innemi sta-



nicami tworzą linję obrony przeciw góralom. Kozacy ci są sformowani w pułki i przewyższają o wiele swych towarzyszy z Cesarstwa, tak co do postawy, jak męstwa.

(Dziwię się, że syn mój odważa się pisać w ten sposób; sądzę, że list ten nie przeszedł przez kancelarję. W całej korespondencji jego czuć walkę między ostrożnością a pragnieniem zapoznania nas z wnętrzem tego cesarstwa, tak niedokładnie znanego).

„Okolica jest dość wesoła, wiosna ożywia wszystko. Czerkiesi i inni górale, zachodzący dość często do dowódcy tego odcinka ożywiają również krajobraz malowniczością ubiorów. Konie są wyśmienite, rącze i mądre...

„Narazie mogę tylko chwalić sobie miejsce swego przeznaczenia, bądźcie zatem spokojni, kochani Rodzice...

(W dalszym ciągu syn mój pisze o drożyźnie, panującej w okolicy).

...Przedwczoraj była Wielkanoc; pomimo starań, nie mogliśmy nigdzie dostać ani jaj, ani masła i wraz z Janem wspominaliśmy z zazdrością nawet o resztkach święconego na stole lokajczyków w Sławucie... Mieszkam u poczciwej rodziny kozackiej. Ponieważ są to ludzie, pochodzący z Małorosji, język ich bardziej jest zbliżony do naszego. Rodzina składa się ze starego siwobrodego ojca, matki, 4 synów rosłych i pięknych, z których najmłodszy jest w moim wieku, 4 synowych i mnóstwa dzieci. Wszystko to mieszka razem. Matka jest to doskonała kobieta, łagodna i przyjemna; co rano przynosi mi część swego obiadu, pomimo głodu, panującego tutaj; wyrzuca mi, że tak mało jem przy stole, i otacza mię największą troskliwością. Wypytuje mnie wciąż o moją matkę, dodając nieraz uwagę, że dzieci nie pojmują, co to jest miłość rodziców, dopóki same nie staną się rodzicami... Czuję, że w listach moich odzwierciedla się nieład podróży. Radbym uporządkować swe spra-



OBRAZEK Z ŻYCIA DOMOWEGO
w SŁAWUCIE w r. 1837
Księstwo Eustachostwo Sanguszkowie, Marynia Sanguszkówna
i karzełek nadworny „Pan Jakubcio"

Malował P. Pizzala

wy, tak pod względem fizycznym, jak moralnym. W Stawropolu poznałem księdza, który przybył tam dla wyspowiadania katolików. Jest to reformat, nazwiskiem Szymański, mieszkał długi czas w Oleksińcach. Nie mam dotychczas książek, gazety przychodzą z opóźnieniem kilku miesięcy.

„A jednak nie jestem tak daleko od Sławuty, zaledwie 1600 do 1650 wiorst. Wiele rzeczy w tym kraju bawi oko oryginalnością, położenie jest urocze; na stepie widać przebiegające sarny, i gdybym miał tu moje charty, brałbym je z łatwością. Władysiowi podobałby się ten kraj — na krótki przeciąg czasu!...".

Niewinnyj Mys, 24 maja 1834 r.

„Drodzy Rodzice. Jestem w rozpaczy, nie mając tak dawno od Was wiadomości. Bóg wie, kiedy korespondencja nasza wejdzie na tory regularne. Pokładam nadzieję w Bogu, że nic się Wam nie stało, ale ciężka to rzecz żyć bez wieści. Wyobraźcie sobie, że od 10 grudnia nie miałem ani słowa od Władysia. Jest to wielka przykrość żyć w miejscu, dokąd poczta nie dochodzi. Piasecki zaprenumerował dla mnie dwa pisma: *„Journal des Débats"* i *„Tygodnik"*, dostałem zaledwie kilka numerów ze stycznia. Książki moje dotąd leżą w Tyflisie. Wszystko to są rzeczy przykre....

„Wróciłem wczoraj z wycieczki 200 — 300 wiorstowej w góry, wzdłuż Kubania... Kraj bardzo piękny pod względem malowniczości, ale prawie pusty. Gdzie niegdzie tylko widać wsi czerkieskie, ukryte w górach, a nad Kubaniem w pewnych odstępach są forteczki z załogą piechoty lub kozaków, czuwające nad bezpieczeństwem okolicy. Czasami spotyka się pomnik z napisami tureckiemi, czasem krzyże kamienne. Widziałem również kościół, zbudowany

z ogromnych głazów, bez śladu jakiegokolwiek napisu. Jedni mówią, że zbudowali go Frankowie, drudzy, że olbrzymi. Ciekawą byłoby rzeczą dowiedzieć się, jaki naród zamieszkiwał niegdyś tę ziemię. Odbyłem tę wycieczkę konno, w porze bardzo gorącej, lecz w ubraniu zimowem. Stale nie wiedzie mi się z końmi, kupiłem dobrego wierzchowca. i okulał mi. Konie są tu wyborne, ale trudno je nabyć; trzeba mieć przyjaciela, po czerkiesku *kunaka,* a wtedy można bez pieniędzy dostać od niego wszystko, i vice versa....

„Władyś bawi zapewne w Wiedniu, na wyścigach. W moim zawodzie zdarza mi się również brać udział w wyścigach, ale innego rodzaju, bardziej męczących, a mniej przyjemnych. Oto najpiękniejszy miesiąc roku, maj, prawie już minął; uważam, że roślinność jest tu mniej rozwinięta, niż u nas, pomimo ciepła... Jestem o 100 wiorst od wód kaukaskich. Dowiedzcie się, czy nie wybiera się tam jaka rodzina z Ukrainy lub Wołynia?...“

Kończę te wyjątki, zajmujące przez swą zawartość i przez to, co w nich jest utajone. Syn mój nie jest w możności opowiedzenia wszystkiego, co mu się wydarzyło, co widział, o czem wie! Jakże wzruszające byłyby te relacje!

W pierwszych dniach czerwca przyszedł do mnie (w Tarnowie) kupiec Węgier i pokazał mi bilet, w którym poznałam z rozczuleniem pismo mego syna. Napisany był po polsku i tej treści:

„17 kwietnia, Roman z Gruzji zasyła Władysławowi w Tarnowie serdeczne, braterskie uściśnienie“.

Zaczęłam rozpytywać tego Węgra: miał on twarz piękną i uczciwą, wszystko co mówił, nosiło piętno prawdy i zgadzało się z tem, co pisał Roman. Opowiedział mi, że po raz pierwszy spotkał się z moim synem w Duszat, małej,

dość porządnej oberży, gdzie spędzili noc razem. Syn mój, dowiedziawszy się, że sąsiad jego jest Węgrem, poczęstował go herbatą i swemi zapasami, rozmawiał z nim długo, a rozstając się, rzekł: „Pochodzimy z bratnich narodów", i uściskał go ze łzami w oczach. Prosił, żeby w przejeździe wstąpił do Tarnowa i odwiedził mnie i Władysława. Kiedy pokazałam mu swoją wnuczkę, bardzo się zadziwił, Roman nic mu o niej nie mówił. Wiem już z relacyj innych osób, które go widziały, że unika wzmianki o dziecku, a jeżeli zacznie o niem mówić, nie może opanować wzruszenia.

Kupiec ten opowiedział mi ważne okoliczności, o których byłoby niebezpiecznie mówić głośno. Był w Tyflisie spisek, który miał wybuchnąć na Boże Narodzenie 1833 r. Najznakomitsi krajowcy weszli w porozumienie z szachem perskim... W całej Gruzji miano wyrżnąć Moskali co do nogi. Wszystko było jak najlepiej przygotowane, lecz fortuna, która do czasu sprzyja jeszcze Rosji, czuwała nad jej ocaleniem. Szach, który przez długi czas popierał zamiary spiskowców, nagle wysłał kurjera do Petersburga z relacją o wszystkich planach Gruzinów. Na dworze zapanowała panika. Chciano odwołać naczelnego wodza, Rosena, ponieważ zawinił brakiem czujności; żeby jednak nie robić rozgłosu, pozostawiono go na miejscu. Natomiast cesarz wysłał do Tyflisu jednego ze swych adjutantów, by Rosenowi udzielił surowej nagany. W nocy uwięziono wszystkich spiskowców i wogóle wybitniejszych krajowców, których uważano za niepewnych, i nikt potem nie mógł się dowiedzieć, jaki był los tych nieszczęśliwych.

Kupiec ten opowiadał mi jeszcze, że niemal codzień toczą się walki między wojskiem rosyjskiem a Czerkiesami i prawie zawsze kończą się porażką Moskali; na jednego Czerkiesa zabitego pada 5 Moskali; Czerkiesi biorą mnóstwo jeńców i wtedy każą Polakom odejść nabok i na-

stępnie wracają im wolność, zapewniając, że uważają ich sprawę za wspólną ze swoją. Wiele mówił mi jeszcze ów Węgier o nadzwyczajnem męstwie Czerkiesów, ich nienawiści do Rosjan, sposobie prowadzenia walki. Wszystko to wyjaśniało przyczyny zniszczenia armji rosyjskiej na Kaukazie i potrzebę zasilania jej wciąż nowemi siłami, ale szczegóły te zwiększyły jeszcze mój niepokój o syna.

[Dopisek księżnej].

Chcę tu nadmienić o rzeczy godnej uwagi. Mój kuzyn, ks. Adam Czartoryski, z którym koresponduję od czasu do czasu drogą poufną i z największemi ostrożnościami, pisze zawsze o moim synu z najczulszą troskliwością. W ostatnim liście z Paryża, pod datą 18 września 1834 r., znajduje się ustęp, którego nie umiem sobie dobrze wytłumaczyć, ale który zwiększa jeszcze niepokój, w jakim wciąż żyję: „Nadszedł czas, aby Romana ratować za wszelką cenę, potem może być za późno".

W maju tegoż 1834 roku odwiedził mię w Sławucie ks. Marceli Lubomirski, który przybywał z Petersburga. Nieszczęśliwe okoliczności zmusiły go do przemieszkania lat kilku w tej stolicy, ale nie zepsuły jego zacnego serca, i pozostał on zawsze oddany swej ojczyźnie. Przywiózł mi list od p. Fiquelmont.

Pisała mi ona co następuje:

„Starszy brat Cecylji (miała na myśli następcę tronu pruskiego) przyjedzie tu w lecie. Możesz być upewniona, droga Księżno, że nie ominę tej sposobności, aby wypróbować, jak daleko sięga jego zainteresowanie się losem Romana. Postaram się wpłynąć nań, aby mówił to, co może największe wywrzeć wrażenie. Byłoby dobrze, gdybyś przedtem do niego napisała!" Zapewne, pobyt ks. pruskiego

na dworze petersburskim powinienby mi dać cień nadziei, znam jednak zanadto dobrze tych, co są obecnie panami naszych losów, aby móc spodziewać się wiele".

Napisałam do księcia, czy jednak list mój doszedł do jego rąk, nie wiem. Na tem kończę swą pracę na rok bieżący. Niestety, lata płyną, smutki rosną a sił ubywa; w tej robocie nawet spostrzegam, że czuję się coraz słabsza. Zdarzają mi się niedokładności, usterki stylu, ale cóż może mieć większe prawo do pobłażliwości nad cierpienia i niedolę?

Tarnów, 5 sierpnia 1834 r.

10 listopada 1834, Tarnów.

Oto nastała chwila powrotu na Wołyń. Moja trwoga macierzyńska dosięga szczytu; przerwała się korespondencja z synem, jedyna nasza pociecha. Od czasu pisma, datowanego 6 maja 1834 r. z miejscowości Niewinnyj Mys, miałam tylko dwa listy od niego. W pierwszym z nich donosił, że ma opuścić N. Mys czyli, jak się wyraża, linję kubańską, ponieważ bierze udział w wyprawie, która odbędzie się w Anapie, w okolicach niedostępnych.

P. Piasecki, który w Petersburgu robi, co może, aby ułatwić naszą korespondencję, przysłał mi list swego przyjaciela, zamieszkałego w Tyflisie. Twierdzi on, że nawet raporty, z armji czynnej nadsyłane, rzadko dochodzą do kwatery głównej.

Drugi list syna mego nosi datę 14 września, miejsce, gdzie przebywa, nie jest wymienione. Pisze on:

„...Aby powiedzieć Wam, gdzie się znajduję, musiałbym tak, jak na pełnem morzu, z busolą w ręku odmierzać szerokość i długość...". Widać z tego pisma, że nie może so-

bie pozwolić na wymienienie żadnego szczegółu o tem, co go otacza, znać również wyczerpanie, spowodowane ciągłemi trudami i brakami.

11 września otrzymałam list od pani Fiquelmont. Był on pisany już po wyjeździe księcia pruskiego.

.,...Osoba, do której księżna pisała, mówiła ze mną o pani z prawdziwą przyjaźnią, wyrażając pragnienie przyjścia jej z pomocą. Nie spuści ona nigdy z oka wiadomej sprawy, która wszakże jest tak delikatnej i trudnej natury, że czas jedynie może ją ułatwić... etc. etc.". Straciwszy już wszelką nadzieję, napisałam do p. F. o swem pragnieniu udania się na Kaukaz, prosząc ją o radę w tym względzie.

„Moja droga i dobra Księżno — odpowiedziała mi — mówiłam otwarcie z gen. Benkendorfem o życzeniu Pani udania się do wód kaukaskich i, rzecz prosta, zobaczenia się z Romanem. Odpowiedział, że gotów służyć Ci wszelkiemi ułatwieniami etc. etc.".

Zachęcona przez osobę, tak wyśmienicie znającą stosunki miejscowe, napisałam do generała z prośbą, aby raczył nie odmówić mi tej pociechy... Pisałam również o swym projekcie do Romana. W liście swym z 14 września taką daje mi on odpowiedź:

„Sprzeciwiam się formalnie zamiarowi, który wyraziłaś, droga i ukochana Mamo, nietylko dlatego, że chcę Ci oszczędzić wielkich trudów podróży, ale i z tego względu, że widzenie się nasze tutaj rozdarłoby mi serce i przygnębiłoby mię z powodu tysiąca okoliczności, jakie byłyby dla mnie nie do zniesienia.

Wolę zatem, droga Matko, napisać Ci otwarcie, co myślę etc. etc.".

W obawie, jaką syn mój odczuwa na myśl mego przy-

bycia, dostrzegam przygnębienie, i świadomość ta wzbudza we mnie jeszcze żywsze pragnienie zobaczenia go. Pewna jestem, że, gdybym tylko mogła go uściskać, po dwóch godzinach rozmowy, pełnej serdecznego wylania, pokrzepiłabym jego duszę, tak mężną, ale znękaną długiem cierpieniem. Syn mój ujrzałby położenie swe w innem świetle. Powiedziałabym mu, że męczeństwo, szlachetnie zniesione za najświętszą sprawę, staje się szczęściem; że podziela on los stu tysięcy rodaków, którzy cierpią, zapomniani od całego świata. Powiedziałabym mu, że jego sława to najpiękniejsza chluba jego ojca i matki, i całej rodziny, i ona to będzie najszacowniejszem dziedzictwem jego ukochanej dzieciny; że należy, aby pobłogosławił to dziecię; że miłość dla ukochanej wnuczki nakazuje mi, abym ważyła się na wszystko, by dać jej poznać ojca, którego jeszcze nie widziała, jemu zaś ukazać te drogie rysy, które zawsze powinien mieć w pamięci. Powiedziałabym, że wyroki boskie są niezbadane, wielkie cierpienia tworzą wielkie rzeczy; sławę nabywa się za wysoką cenę, a sława jego imienia żyć będzie wiecznie wpośród rodaków! Oby tylko Bóg pozwolił mi go zobaczyć!

24 czerwca 1835, Tarnów.

Znów ujmuję pióro, by kreślić obraz mych cierpień: przyjechałam do Sławuty 3 grudnia 1834 r.; 5 grudnia nadszedł list mego syna, pisany do ojca z datą: Gelendżyk 20 października.

Opisawszy miejscowość, gdzie przebywa, i uspokoiwszy nas co do swego zdrowia, które, jak zapewnia, nie doznało szwanku, pisze on:

„...A teraz, Ojcze kochany, muszę Ci nadmienić o wy-

padku, który mi się zdarzył dwa tygodnie temu, nie pociągając za sobą poważniejszych skutków. Jest to rana w nodze, dziś już zupełnie zagojona: dostałem postrzał w ostatnich marszach, które nas doprowadziły do tej forteczki na wybrzeżu morza Czarnego. Chociaż zrazu ta rana wydawała się dosyć ciężka, niema teraz obawy o następstwa, mogę nawet postawić nogę na ziemi. Strzał trafił mię poniżej kolana w lewą nogę; zdawało się, że kość jest strzaskana, tymczasem była tylko naruszona, i nie czułem wielkiego bólu. Przeciwnie, w kilka chwil po tym wypadku, byłem niezwykle podniecony; nadzieja uściskania Was ożyła, i doznałem głębokiej radości. Chciej zatem być spokojny, mój drogi i kochany Ojcze, i uspokój moją Matkę. Nie smućcie się; co się tyczy przeciwności losu, miara ich jest tak pełna i tak różnorodna, że trochę mniej czy więcej, to już mi jest obojętne.... Ostatecznie tylko Bóg rządzi naszym losem, w jego ręce oddaję się z ufnością, nie mając prawa do narzekania na swe cierpienia. Bóg rani i uzdrawia, zabija i z martwych wskrzesza; otrzymałem od Niego w darze życie, pod warunkiem, że będę cierpiał...".

Jakiż ból sprawiła mi myśl, że popłynęła krew mego syna i to za jaką sprawę?! W bezecnej wojnie, prowadzonej w celu zgnębienia w najokropniejszy sposób wolnego narodu. I to Polacy, wleczeni tysiącami z jednej części świata do drugiej, mają być wykonawcami tego bezbożnego dzieła! Nieszczęśliwi! Giną oni w tych dzikich stronach wśród tysiąca udręczeń, ale górskie plemiona Kaukazu nie ulegają zwycięzcy, i zdaje się, że armja rosyjska nigdy nie zdoła ujarzmić ich ani wytępić.

Otrzymawszy wiadomość o ranie, odniesionej przez mego syna, spędzałam tygodnie całe w śmiertelnej udręce, aż wreszcie uspokoił mię nieco list od Romana; w dwa tygodnie zaś później niespodziewana okoliczność dała mi po-

znać gruntownie dzieje wojny kaukaskiej i losy mego syna podczas 10 miesięcy tej wojny.

26 lutego przyjechał do Sławuty p. Szabański, przed dwoma laty zesłany w sołdaty za udział w sprawie Wołłowicza. W maju 1834 r. przybył on do stanicy „Niewinnyj Mys“ równocześnie z moim synem i od tej chwili nie rozstawał się z nim aż do 10 lutego 1835 r. Został on ułaskawiony, lecz dotąd nie wie, czemu ma to zawdzięczać. Z głębokiem wzruszeniem zobaczyłam kolegę mego syna, towarzysza jego losów, który tak niedawno go opuścił. P. Szabański przywiózł mi list tej treści:

Jekaterynodar, 29/10 stycznia 1835 r.

„Najdroższy Ojcze! Oddawca tego listu, Franciszek Szabański, obywatel grodzieński, zrządzeniem losu, podobnego do mojego, podzielał od kilku miesięcy trudy i wspólną naszą niedolę.... Jedzie on dziś pocieszyć starą matkę. Może i moja cierpliwość oraz modły i cnoty bogobojnej mojej rodziny przyśpieszą i dla mnie podobną chwilę. Jednak tkwi ona jeszcze w mrocznej dla nas przyszłości...“ Iluż ciekawych szczegółów udzielił mi p. Szabański! Żałuję, żem nie spisała wszystkiego, zaznaczyłam jednak co najważniejsze:

Przez cały rok trwały wycieczki. Od maja syn mój nie miał chwili spoczynku; żywił się tylko sucharami, wszystkie rzeczy swoje musiał zostawić w Niewinnym Mysie. 15 czerwca Szabański i on wyruszyli z korpusem, przeznaczonym na wielką wyprawę, która miała na celu utorowanie wojskom przeprawy przez wysokie góry, wrzynające się w morze, gdzie przedtem nie postała noga rosyjska, następnie zaś miała powrócić przez Gelendżyk do Anapy. Pierwszy z tych rozkazów wykonano, drugiego jednak nie udało się spełnić,

wskutek czego cesarz rozgniewał się na generała Wasilczykowa, szefa ekspedycji.

Zginęło tam podobno 1500 Rosjan; jedni padli od kuli, drudzy od trudów niesłychanych. Co do Czerkiesów, p. Szabański widział ich zaledwie 8-miu zabitych... Góry są pokryte ciernistemi zaroślami, gdzie ukrywają się krajowcy i z tego niedostępnego schronienia strzelają. Rosjanie prowadzą walkę okrutną, pomijając wszelkie względy ludzkości.

Syn mój i jego kolega nie znali wytchnienia w niedoli, procz rzadkich chwil, kiedy udawało im się usunąć od oczu ludzkich, t. j. znaleźć miejsce, gdzieby ich nikt nie widział, a przedewszystkiem skądby sami nie widzieli okropności, dziejących się wokoło: wystarczał im spróchniały pień drzewa, wtulali się weń i tak spędzali krótki czas wypoczynku.

Przełożeni mego syna niejednokrotnie dawali mu do poznania, że jedynym sposobem uzyskania ułaskawienia jest odznaczenie się w boju. Mój biedny Roman pomimo całego wstrętu, jaki budzili w nim nasi okrutni ciemiężyciele, Moskale, był tak zgnębiony swem położeniem i trawiony tęsknotą za rodziną, że, odsuwając wszelkie inne skrupuły i względy, chciał próbować owego, wskazanego mu, środka.

P. Szabański, który, będąc kilkakrotnie więziony, znał do gruntu Rosjan i ich postępowanie, zaklinał mego syna, by się nie narażał, zapewniając, że nic przez to nie zyska, co najwyżej otrzyma awans na podoficera, a to, zdaniem p. Szabańskiego, byłoby raczej niekorzystne. Tłumaczył mu nieustannie, że pierwszem jego staraniem powinno być zachowanie życia, to życie bowiem może być jeszcze szacowne dla ojczyzny i dla niego samego. Prócz tego, nie ograniczając się słowami, czuwał nad nim i nie opuszczał go nigdy. Gdy wojska stanęły u podnóża gór, które nakazano im przebyć, groza opanowała wszystkich, od generałów do żołnierzy. (W wojnie kaukaskiej można było stwierdzić naocznie,

że odwaga Rosjan jest tylko wynikiem strachu, strachu przed przełożonym i wogóle przed władzą.) Widok tych niedostępnych szczytów ściął im lodem krew w żyłach. Po pięciu dniach niepokoju, weszli w te straszliwe wąwozy; 6-go mieli przekroczyć najniebezpieczniejszy przesmyk. Wiadomo było, że Czerkiesi będą bronili przejścia, i śmierć z ręki niewidzialnego wroga czyha na każdym kroku. Z rana, w chwili, gdy dano rozkaz wymarszu, zerwała się straszliwa burza: deszcz, huragan, wstrząśnienie całej natury. Twarze okryła śmiertelna bladość, języki stanęły kołkiem, zdrętwiały ciała, życie objawiło się jedynie w posłuszeństwie rozkazom. P. Szabański szeptał zcicha memu synowi: „Ojczyzna, ojciec, matka, kochane dziecię...“ przywoływał mu na pamięć wszystkie te przedmioty miłości, aby nakłonić go do oszczędzania się. A przedewszystkiem powtarzał: „Będziesz mógł jeszcze służyć naszej Ojczyźnie i jej świętej sprawie“. Następnego pono dnia, p. Szabański bardzo zmęczony, zdrzemnął się. Obudziły go strzały. Słysząc żywy ogień karabinowy, pyta: „Gdzie jest Roman“? Odpowiadają mu, że poszedł naprzód. Postąpił kilka kroków i napotkał rannych, konających, trupy, które przenoszono. Zimny pot wystąpił mu na czoło; ogarnął go lęk o mego syna, tak przezeń kochanego, tak zasługującego na miłość wszystkich, którzy go bliżej znali. Wreszcie postrzegł go leżącego na ziemi, ledwie miał siły, aby dotrzeć do niego, zbliżył się. „Co ci jest?“ — zawołał. „Jestem ranny, kula przebiła mi nogę“. Pan Szabański obejrzał ranę: nie wydała mu się groźna. „Może ci to przyniesie szczęście! — rzekł — może Bóg chce cię w ten sposób ocalić“! I obaj przyjaciele uściskali się ze łzami.

Zanim przytoczę wyjątki z dalszych listów mego syna, które najlepiej odmalują jego losy, pragnę tu nadmienić o

sprawie, zaprzątającej ustawicznie wyobraźnię osób, myślących o mym synu i o tysiącach towarzyszy jego niedoli i rodaków, znoszących męczeństwo za ojczyznę. Osoby te sądzą, że dla Polaków istnieje możliwość ratunku w ucieczce i przejściu na stronę tych, co wspólnego z nami mają wroga. P. Szabański mówił nam, że myśl ta przez dłuższy czas zaprzątała mego syna, lecz wykonanie jej okazało się prawie niemożliwe. Ci górale czerkiescy — to lud prawie zupełnie dziki, i wydają zbiegów, chroniących się do nich, chyba, że ci zgodzą się na przyjęcie mahometanizmu i na znak tego zgolą sobie głowę i włożą turban.

Kilku Polaków tak zrobiło; najwybitniejszym z nich był major Bronowski. Ten wielkich zdolności człowiek dawał bardzo dobre rady Czerkiesom i przewodził im w bitwach. Rosjanie spostrzegli niebawem, co się stało, i dowiedzieli się o wszystkiem. Nieszczęsny Bronowski, któremu okropnie dokuczyło już przebywanie wśród ludzi półdzikich, ułożył się z Czerkiesami, posiadającymi statki na morzu Czarnem, że go przewiozą do Konstantynopola. Jakaż była jego rozpacz, gdy po krótkiej przeprawie spostrzegł, że go wiozą nie na południe, ale na północ! Wysadzono go na wybrzeżu, gdzie już czekali Rosjanie: sprzedano go im za 300 rubli.

Trudno sobie nawet wyobrazić — mówił p. Szabański — jak okrutnie pastwili się Moskale nad Bronowskim; cała pociecha w tem, że nie mógł on długo znosić podobnych katuszy i musiał znaleźć spoczynek w śmierci. Nie on jeden tylko, wielu Polaków podobnie zdradzono, i podobnego doznali oni losu... Co zaś do syna mego, generał Malinowski, Polak z urodzenia i jedyny człowiek na wyższem stanowisku, zdradzający niejakie uczucia ludzkości, pewnego razu powiedział w zaufaniu Romanowi, że niema dnia, w którymby nie otrzymywał poufnych rozkazów z Petersburga, aby rozciągnął nad nim specjalną czujność i donosił o wszyst-

kich jego postępkach. Ten zdwojony dozór pozostawia memu synowi jeszcze mniej swobody, niż innym, o ile to wogóle jest możliwe.

A teraz przytoczę wyjątek z jego listu, pisanego 7/19 grudnia 1834 r.

„Oto, drogi mój Ojcze, długi list, rozpoczęty w Gelendżyku, małej forteczce na wybrzeżu morza... Bardzo samotnie i smutno spędziłem dwa miesiące w tem miejscu, nigdy bowiem jeszcze samotność moja nie była tak zupełna, bez książek, bez możności wyjścia z nory ziemnej, która służyła mi za mieszkanie. Składały się na to dwa powody: 1-o moja noga, 2-o niepodobieństwo wychylenia się na mury forteczki bez narażenia się na niebezpieczeństwo. Pożywienie harmonizowało zupełnie z warunkami bytu. To też choć niezupełnie jeszcze zdrów, uchwyciłem pierwszą sposobność, t. j. odjazd statku, aby wyrwać się z tego nieszczęsnego miejsca. „Noga moja ma się nieźle, mogę chodzić dość łatwo. A teraz chcę ci udzielić pewnych szczegółów o miejscowości, gdzie przebywałem. Gelendżyk ma klimat południowy, choć trochę ostry z powodu bliskości gór. Ostatnie dni listopada były wspaniałe, zadziwiające łagodnością powietrza. Natura uczyniła wiele dla tej miejscowości, ale ludzie zniszczyli jej dzieło. Możnaby tam sadzić winnice tak samo jak pomarańcze. Stoki południowe są pokryte krzakami jaśminu i drzewami laurowemi. Między górami a morzem jest wąski pas jałowy, bez cienia; tylko ogromne pnie świadczą, że niegdyś był tam las. Widok morza jest wspaniały.

„29 listopada o 9-ej z rana opuściłem tę miejscowość z oddziałem, liczącym około stu żołnierzy, którzy wyszli, jak i ja, ze szpitala.

„Wsiedliśmy na statek wojenny „Castor“... [Następuje dłuższy opis burzliwej przeprawy]. Po 4 dniach wylądowaliśmy w zatoce Anapy... Anapa położona jest dość smutnie,

otoczona murami i wałami, zniszczonemi przez Turków. To, co się zwie miastem, jest wstrętne; domy tłoczą się jedne na drugie, mało co wznosząc się ponad ziemią. O 40 — 50 wiorst od miasta mieści się kwarantanna, gdzie przebywam teraz. Droga do niej osobliwa: wąski paseczek piasku pomiędzy dwiema wodami: morze z jednej, ogromne jezioro, utworzone przez rzekę Kubań, z drugiej strony — oto co nazywają limanem! Woda zalewa ów przesmyk, ponieważ nie wznosi się on ponad jej poziom. Ten pas ziemi kończy się przy ujściu Kubania do morza; w tem miejscu ze strony przeciwnej wrzyna się w wody drugi występ lądu.

„Tam mieści się kwarantanna: jest się, jak na okręcie. Huk fal morskich jest bardzo silny, brzeg piaszczysty, usiany bardzo ładnemi muszelkami. Natura jest zawsze interesująca, nawet w miejscach, gdzie brak jej wdzięku i piękna, dlatego daję Wam tak obszerny jej opis. Obserwuję ją, ile mogę; pozbawiony książek, pozbawiony żywej duszy, z którą mógłbym się wrażeniami podzielić, jedynie w obcowaniu z nią znajduję chwile miłe, tak rzadkie w mem obecnem życiu. Rozważając twory tak potężne w porównaniu z nami a tak drobne w stosunku do Istoty, która je stworzyła, dusza pogrąża się w rozmyślaniach bardzo głębokich. W tych chwilach ekstazy, bądź to podziwiając piękność drobnej muszli, bądź to wzniosłość ogromnego morza, dusza moja przenosi się do Was, myśl moja do Was zawsze podąża... Choć mamy grudzień, czas jest łagodny, śniegu mało tu się widzi. tylko chwilowo. Rok temu przebywałem w klimacie zgoła odmiennym. Oto jeszcze jeden rok, który dobiega kresu. Biegną lata jedne za drugiemi, teraźniejszość coraz cięższa, i nie widać, nawet woddali, gwiazdy spoczynku i ukojenia.

„Za 5 dni skończę kwarantannę; na mnóstwo niewygód. które tu musiałem przenieść, pozostawałem obojętny; za kil-

ka dni zobaczę swego psa, swoje rzeczy, których byłem pozbawiony przez pół roku...“

24 grudnia (10 stycznia) 1834 r.

„Otóż jestem na wsi, koło Jekaterynodaru, gdzie odnalazłem swoje rzeczy. Przez tydzień było bardzo zimno, i mróz, choć nie tak silny, jak na Syberji, wydał mi się nieprzyjemny. Noga moja ma się dobrze, jednak zmęczenie podróżą i brak starań dotychczas nie pozwoliły zagoić się ranie...“

Wkońcu przytoczę ustęp z listu, który syn mój pisał do swego brata:

„...Oto jest list, który piszę na los szczęścia, kochany Władysiu, nie mając narazie okazji przesłania go do Europy, lub do ziemi zamieszkanej, jeśli wolisz takie określenie. Przyjemność pisania do ciebie, pragnienie wyrażenia Ci mego uczucia ku Tobie oto powód tego pisma; życie moje jest tak nieregularne a zarazem tak jednostajne, że nie przedstawia żadnego urozmaicenia, żadnego zdarzenia, któreby mogło pobudzić uczucie lub wzbogacić myśli. Jest to przymusowy sen, dławiący wszelkie zdolności umysłowe, przytępiający wrażliwość, niegdyś tak barwną i żywą mojej duszy; sen ów przerywa tylko wysiłek fizyczny ciała, które wlecze się od przymusowego spoczynku do przymusowego trudu, od nudy do apatji i uśpienia. Czuję, że listy moje są pod tym niszczącym wpływem, tak iż brak mi nawet sił wyrazić to, co czuję tak żywo dla Was. Nieraz jakaś rzecz nieznacząca a wstrętna przerwie wątek mych myśli. Trudno mi na nowo go zawiązać.

„Dodaj do tych kilku szczegółów, tyczących się mej istoty moralnej, rysy, urozmaicone przez miejsca, okoliczności i ludzi. Niegdyś spokój i lektura były mi pociechą; od roku ten kwiat, zdobiący ciernie mego życia, został mi ode-

brany. Lecz teraz, gdy rana moja powinnaby mi zapewnić spoczynek, może mi go powrócą. Ty, kochany bracie, prowadzisz zupełnie inne życie, powinno ono być tyle ożywione, ile moje jest martwe i posępne... Niech Bóg zachowa Ci istoty, które kochasz i posiadasz, oto najgłębsze życzenie samotnika, wystawionego na wszystkie burze rozhukanego morza i gorzkich fal igraszkę. Przystanią, tak niełatwą do osiągnięcia, jest dla mnie łono drogich rodziców i Twoje, kochany bracie. Dusza moja, zniechęcona i zastygła, przyzwyczajona do obrazów śmierci, drży przed tą myślą, gdy wspomni o istotach, które kocha; ich strata zbyt byłaby okrutna. Przechodziłem przez najróżnorodniejsze ostateczności. Dusza moja, wydana na pastwę okropnej agonji, została raptownie wyrwana z pośród tego wszystkiego, czem oddychała i żyła. Tak samo ciało moje, wleczone przez wszystkie stopnie społeczeństwa ludzkiego, poznało pałace, zarówno jak więzienia, buduar najwytworniejszy i szpital cuchnący, stolice najświetniejsze i namiot zezwierzęconego Kałmuka lub nieufnego i nienawistnego Tatara. Umysł mój nabrał powagi, nie wpadłszy jednak w rozgoryczenie i mizantropję, często owładające ludźmi o niepohamowanych namiętnościach, którzy buntują się przeciw wyrokom Boga i ciosom losu. W gruncie rzeczy niewielka to zasługa znosić ciężki los, którego niepodobna uniknąć — do tego wystarczy prosta bierność. Lecz zasługą jest, gdy się to czyni z doskonałą rezygnacją, bez nienawiści, bez zniecierpliwienia, bez szemrania, uwielbiając zawsze rękę wszechmocną, która nas wznosi i poniża, rani i uzdrawia.

„Mnie, któremu świeci przykład moich rodziców, łatwiej przyszło, niż komu innemu włożyć się w tę kolej... Pragnę stać się godnym ich miłości i starań bodaj przez sposób, w jaki zwalczam przeciwne mi losy...“



EUSTACHY ks. SANGUSZKO w r. 1815
na ulubionym ogierze arabskim „Szumka"

Według akwareli przez Helsa

Wszystkie listy, które dochodziły mnie z Petersburga, zgadzały się w jednym punkcie, że rana, odniesiona przez mego syna, powinna pomyślne dlań sprowadzić skutki. Jakże mogłam ryzykować wzbudzenie gniewu cesarza ponawianiem prośby o pozwolenie wyjazdu w momencie, gdy wszystko obiecywało zmianę na lepsze? Postanowiłam zatem czekać bezczynnie. A gdy złudzenia, jakie żywiłam, ustąpiły miejsca okrutnej rzeczywistości, było już za późno!

Niepodobieństwo podróży omroczyło moje myśli, tak już bardzo smutne. Gdyby nie było innego sposobu zobaczenia się, trzeba będzie kiedyś zaryzykować wszystko i spełnić zamiar! Ale Bóg nie dopuści do tego; nigdy nie opuszcza on tych, którzy w nim jedyną położyli nadzieję!

Dziś, 12 lipca 1835 r., jakież jest moje położenie? Nigdy nie było ono bardziej opłakane.

Naczelny wódz armji kaukaskiej, baron Rosen, przybył z końcem kwietnia do Petersburga. Naglony przez niezmordowaną gorliwość pani Fiquelmont, generał ów przedstawiał dwa razy Romana do awansu: dwa razy cesarz odpowiedział mu, że jeszcze nie czas po temu, a ostatecznie rozkazał, aby mu o tem nie wspominał więcej. Piasecki napisał przy końcu maja, że nie da się uzyskać żadnego polepszenia.

Nie mogę powstrzymać się od zaznaczenia tutaj niebywałego faktu. W ostatnich dniach lutego cesarz, pracując z p. Grabowskim, ministrem dla spraw polskich, oznajmił mu, że nowe zaburzenia wybuchły w Galicji, że mój syn Władysław stał na czele spisku, że go aresztowano etc. etc. Rozwodził się na ten temat i w słowach nieumiarkowanych dał wyraz swemu gniewowi. W kwietniu wieść o tym spisku rozeszła się w Wiedniu; zwłaszcza mówiono o nim w ambasadzie pruskiej, i zachowanie się Władysława było przedmiotem korespondencji dyplomatycznej między dwiema sto-

licami. A przecież tak było łatwo stwierdzić prawdę! Syn mój mieszkał w Galicji, prawie wciąż pod dozorem policyjnym, a jednak we wszystkich salonach petersburskich roztrząsano jego przewinienia oraz nieostrożność, którą szkodził swemu bratu. Gdy zaś w maju raporty z armji kaukaskiej przedstawiono cesarzowi, miał on powiedzieć kilkakrotnie: „Jakże wynagradzać starszego, gdy młodszy tak źle się sprawuje!"

(Pani Fiquelmont pisała mi również o tej sprawie; zalecała mi ona, drogą poufną, aby nakłaniać Władysława w interesie jego brata do przezorności, ale nacóż zda się wszelka przezorność, gdy najwyższa wola chce znaleźć winowajcę!) Oto wyjątek z listu pani Fiquelmont, który maluje stan rzeczy:

Petersburg, maj 1835 r.

„...Miałam kilkakrotnie długą rozmowę z Jego Cesarską Mością w sprawie Romana; z rozmów tych oczywiście snuję wnioski pocieszające — na przyszłość. Wiele mię to kosztuje, że nie mam do doniesienia nic, coby mogło zadowolić Twe serce, Księżno. Jeżeli Roman potrzebuje jeszcze leczenia, i rana jego wymaga kuracji u wód kaukaskich, pozwolą mu tam pojechać, gdy wniesie prośbę do swej komendy. Niezaprzeczenie byłoby rzeczą najpomyślniejszą, gdyby nie potrzebował się leczyć i miał nową sposobność do odznaczenia się.

„Słowa te wydadzą Ci się twarde w pierwszej chwili, moja dobra Księżno; ale zastanowiwszy się nieco, pojmiesz, że mam słuszność, ponieważ zaś znajduję się u samego źródła, wiem, co może być pożyteczne a co nie etc. etc.".

Zdziwiłam się zrazu, że osoba, obdarzona tak dobrem wadze, uznałam to za naturalne: stanowisko, które pani ta sercem, mogła napisać do mnie coś podobnego, ale po roz-

zajmuje w świecie, wywiera na nią wielki wpływ, zupełna zaś nieświadomość stosunków, jakie panują w armji kaukaskiej, może jej służyć za usprawiedliwienie. „Nowa sposobność do odznaczenia się!“. Cóż on może jeszcze zrobić!

Jest już kaleką, gdyż prawa noga, wskutek rany, została krótsza... Frazesy, które pióro jej skreśliło, wyszły zapewne z ust cesarza wtedy, gdy rozmawiała z nim o moim synu. Z tego listu i z innych danych widzę jasno, że cesarz chce, aby Roman wziął udział w wyprawie, która się gotuje. W tym stanie, bliskim rozpaczy, będę czerpała siłę w Bogu, będę też często odczytywała list mego syna, w którym ma odwagę pisać:

„...Cóż pozostaje nam innego, nad pomoc Boga i zaufanie w Jego niepojęte wyroki? Trzeba zapomnieć o wszystkiem, co w najżywszy sposób zajmowało duszę, ciało i umysł. Względy serca, względy światowe, wszystko musi się podporządkować, jeśli nie rezygnacji zupełnej, to obojętności, która zaledwie poruszyć zdoła uczucia najbardziej przyrodzone... Ten rodzaj apatji powinien stępić ciosy niedoli. Jedyny to sposób, by zmagać się ze złym losem!“

Kończę, gdyż temat ten zaprowadziłby mię zbyt daleko.

Klementyna Sanguszkowa.

Tarnów, 12 lipca 1835 r.

LISTY

1835 — 1844

Zapiski księżnej Klementyny urywają się w połowie roku 1835. Zupełna beznadziejność położenia wytrąca snać pióro z ręki strapionej matki. Jednakże bogaty materjał, zawarty w korespondencji rodzinnej, pozwala, mimo pewne braki w listach, które musiały zaginąć, snuć dalszy wątek wygnańczych jego dziejów własnemi słowami księcia Romana.

Smutek przebija w nich coraz większy i gnębiąca monotonność życia. Słuszną uwagę czyni stary książę Eustachy: *„Listy nasze nie są czem innem, tylko zaświadczeniem, że żyjemy, rady w nich próżne, trzeba żyć z dnia na dzień."*

Lato przepędził ks. Roman w Piatyhorsku, lecząc się z rany, która dość długo jeszcze nie pozwalała mu chodzić bez szczudła. Tymczasem rodzina nie szczędziła zabiegów, aby uzyskać powrót jego do domu. Ojciec podał suplikę do tronu, nie otrzymał jednak żadnej odpowiedzi.

„Uważałem zawsze tę prośbę — pisał do syna ks. Eustachy — *jako ostateczny środek, ale.. ponieważ niema dotąd mowy o żadnej uldze, czyż mogłem nakazać milczenie memu ojcowskiemu sercu?... Jednakże, mój drogi, nie można rachować na suplikę...*

„Nie spodziewam się, żeby ci kampanję powtórną koniecznie kazano robić, gdy jesteś kaleką, ale jeśli na to

uwagi nie będzie, to wtedy zgodzimy się z wolą Najwyższego...“

Starania w Petersburgu nie odniosły skutku, i książę, po odbytej kuracji, wrócił znów do armji czynnej, jako prosty żołnierz, na nowe trudy i poniewierkę, z perspektywą, od której rodzicom krew w żyłach stygła, nowej kampanji. Mimo wszystko jednak, przewodnim tonem listów syna i rodziców pozostaje, jak przedtem, spokojna rezygnacja i wyniosłe, niezłomne męstwo.

„*Wierzaj mi, najdroższy Ojcze, że nie liczę na nic, a nauczony doświadczeniem, spodziewam się raczej wszystkiego złego, niż czegoś lepszego. Mimo to nie poddaję się przygnębieniu. Jakkolwiek smutne są warunki mojej egzystencji, nie zrozpaczyłem jeszcze*“.

Tak pisze ks. Roman w jesieni r. 1835, a odpowiedź ojca brzmi również krzepiąco:

„*Utraciwszy żonę, podobnegoś życia pragnął — masz go. Czerpaj w nim oprócz cierniów, nie kwiaty, ale balsam pociechy wewnętrznej i korzyść zasług. Nie ten świat wszystko kończy*“.

Ks. Roman do matki.

1 stycznia 1836.

Czyż ten rok, który się rozpoczyna, upłynie tak samo, jak poprzednie, bez zmiany, bez ulgi i bez żadnej nadziei?

Dawno nie pisałem, a teraz odczuwam żywy niepokój, myśląc, jak musieliście się o mnie trwożyć. Doznawałem przeszkód w wysyłce moich listów i, zamiast wznieść się ponad przykrość wymaganych ode mnie formalności, dałem się opanować zniechęceniu, podwójnie karygodnemu, którego sobie teraz darować nie mogę.

Zima gwałtowna rozpoczęła się już od listopada i okryła śniegiem stepy, nadając im jeszcze więcej monotonności...



KLEMENTYNA z CZARTORYSKICH
ks. SANGUSZKOWA

Według portretu współczesnego

Śniegi utrudniają konną jazdę, a polowanie zaczyna mię nudzić. Jako jedyna rozrywka, pozostały mi książki.“

Kwatera moja jednak stanowi utrudnienie dla lektury. Zbyt jest ciasna, zbyt natłoczona, aby móc spokojnie usiąść do czytania i od czasu do czasu rzucić na papier uwagę lub notatkę. Dlatego to uważam, że mieszkanie nigdy nie jest zbytkiem, i należałoby pragnąć, aby wszystkie klasy odczuwały jego potrzebę. Uczucie domu, pokoju, własnego kąta, to uczucie własności, które jest podstawą urządzeń społecznych...

6 marca, 20 lutego 1836. Procznij Okop.

...Wyjazdy a nawet podróże moje przerwały znowu naszą korespondencję. Między innemi byłem w Jekaterynodarze... masy śniegu.

Dziś ostatni dzień karnawału, zaznaczył się on powrotem mrozu i śpiewami, wywołanemi przez wesołość, która w wódce bierze przyczynę, rozlegającemi się w domach sąsiednich dokoła mojej ubogiej sadyby...

Otrzymałem nareszcie liścik ów, tak mały (od córki), a tak wielce znaczący. Serce moje rozdarte zostało tym zbiegiem, tak skomplikowanym, najwyższych uczuć.

Nie wiem, droga Matko, jak mówić z Tobą o tym liście... Zdaniem mojem, za wcześnie go było wysyłać. Nasze stosunki, listowne tylko, które długo jeszcze takiemi jedynie zostać mogą, staną się jałowe; moje odezwania się i napomnienia, raz wraz powtarzane, stracą swój wpływ, a przez to i cel. Był to zaś środek ostateczny do pobudzenia rozwoju jej wychowania, który przy bardziej rowiniętem życiu intelektualnem mógłby mieć największą wartość. Była to myśl moja, oparta na pewnem wyrachowaniu, a nie wybryk wyobraźni, mający na celu efekt romantyczny.

Szczegóły, które Władyś podaje o swojem gospodar-

stwie, zasmuciły mnie. Radbym, żeby ten piękny kraj (Galicja) cieszył się bogactwem i obfitością.

[Tu rozwija ks. Roman swoje projekty co do podniesienia przemysłu i lokowania kapitałów w surowcach, tanio zakupowanych w jednej części kraju, a przerabianych w drugiej].

6 marca 1836. Procznij Okop.

..Nastała wiosna, stepy obeschły, i teraz żadna przeszkoda nie tamuje biegu jeźdźca swobodnego, materjalnie przynajmniej, jak Farys, na spiekłych równinach Arabistanu...

Spodziewam się, że teraz będę miał jakie dwa miesiące spokoju, gdyż generał dowodzący nami (b. płk. Zass) pojechał do Tyflisu, głównej kwatery naszej armji...

[W dalszym ustępie, tyczącym się gospodarstwa, mówiąc o przeniesieniu na emeryturę poczciwego pana Zacheusza Woytkiewicza, długoletniego rządcy dóbr sławuckich, i o trudności znalezienia dobrego zastępcy na to stanowisko, wyraża się książę, jak następuje:]

Czuję, że stałem się surowszy dla ludzi, szukam w nich przedewszystkiem prawdy i bezwzględnej uczciwości. Obym tylko potrafił być równie surowym dla siebie samego!

Jak pięknie i z jaką mocą wypowiada to Silvio Pellico:

„Prawda — to Bóg, kochać prawdę a kochać Boga — to jedno i to samo!“

Jest-to jakgdyby moja własna myśl.

8/21 kwietnia 1836.

...Rezygnacja — oto jest jedyna broń, jaką mogę przeciwstawić złej doli, ale i ta broń zużywa się zczasem i doprowadza do rezygnacji machinalnej, która jest tępem odrętwieniem, a tego obawiam się narówni ze zniecierpliwieniem, jakie jest skrajnem przeciwieństwem pierwszego uczucia.

Prowadzę życie niezmiernie samotne. Bywają dni, kiedy nie widuję nikogo i nawet ust nie otwieram. Ten tryb życia, jaki prowadzę już oddawna i to w wieku, w którym zdolności moje umysłowe mogłyby się najbardziej rozwijać, nie przyczynia się do ich ukształtowania. To też zdaje mi się czasami, że nietylko straciłem zdolność wyrażania swych myśli, ale odzwyczaiłem się od machinalnej czynności mówienia, i teraz męczy mię ono.

Proszę tylko Boga, abym nie stracił zamiłowania w lekturze, zawsze mi przyjemnej, gdyż ona jedna podtrzymuje mię jeszcze.

I pomyśleć, że są ludzie, którzy się nudzą, mając obowiązki i zadania do spełnienia, a w dodatku możność rozrywki. Czytałem gdzieś, że nuda to nieszczęście ludzi szczęśliwych. Pewnie, że to jest nieszczęście!

Dziś, 3 kwietnia, dzień pierwszy Wielkanocy.

Hr. Anna Wąsowiczowa (1-mo voto Potocka)
do zięcia swego Romana.

Monkołów bez daty.

...Wszystko mija: ból zarówno, jak radość, miłość, jak nienawiść. Jedna rzecz pozostaje w życiu, a tą jest Sława, ta zaś bywa udziałem dusz silnych, które umieją cierpieć dla celu wielkiego i szlachetnego. Masz zatem swoją część w życiu i to wielką i piękną. Spójrz wstecz za siebie; pomyśl, że te lata cierpienia przeminęły, aby nigdy nie powrócić — byłyby ubiegły tak samo na łonie szczęścia i pozostawiły tylko żal za sobą.

Iza nazwała syna swego Romanem. Oby mógł odziedziczyć wraz z Twem imieniem wszystko to, co jest piękne i niepospolite w Twojem sercu. Żegnaj mi, kocham Cię i czczę całą duszą...

Ks. Roman do matki.

4/16 maja 1836.

Otrzymałem śliczny list od pani Wąsowiczowej, miewa ona wspaniałe porywy serca i posiada dar ich wyrażania. Być może, że są one przelotne, ale niemniej należy je przyjmować z wdzięcznością.

Od trzech tygodni przebiegam okolice znane mi dawniej i inne, w których nie byłem jeszcze, po drugiej stronie Kubania, u stóp przedgórza pasma kaukaskiego. Być może, iż wnet będę zmuszony opuścić tę miejscowość, do której się przywiązałem, gdyż dała mi ona nieco przytułku i spokojności.

Całuję moją małą. Pukiel jej włosów, zmieszany z Twoim, droga Matko, to istny poemat, którego Ty jesteś główną bohaterką...

7 lipca, 25 czerwca 1836.

Od 22 dni jestem w obozie, w miejscu, znanem mi doskonale, gdyż przebywałem tam 4 miesiące w r. 1834. Na widok jego nie odczułem jednak przyjemności. Zdarza się, że miejsca, gdzieśmy doznali przykrości, stają się w naszej pamięci zajmujące; jednak to było dla mnie zbyt obojętne, aby mówić o jakiemkolwiek wrażeniu. Byłem wtedy jeszcze nieprzyzwyczajony do wielu rzeczy, i pobyt tu wydawał mi się dość ciężki. Teraz doświadczenie nauczyło mię urządzać się wygodniej pod względem materjalnym.

Nękały nas nadzwyczajne upały. Jest to rok ostateczności, i zima była podobna do sybirskiej, a teraz — spieki południowe.

Koło obozu naszego płynie potok. Jest to dla mnie rozrywką, i z wdzięcznością spoglądam na jego przezroczyste wody. Jest to także moje jedyne zajęcie.

Tęskno mi za moim kątem, który mi dawał chwile spokojności, za książkami, za memi psami i końmi...

W Procznym Okopie miałem już swe gospodarstwo: konie, psy i koty na jednem miejscu. Teraz koty potraciłem, psa mam jednego tylko, a i ten jest słaby; konie w różnych rękach, z których wracają chude, zbite i kulawe. Ale cóż robić przeciw konieczności? *C'est mon refrain!*

Część wojska znajduje się już nad brzegiem morza; nasz pułk ma inne przeznaczenie.

Jeżeli przez czas jakiś nie będziecie mieli ode mnie wiadomości, przyczyny tego szukajcie tylko w mem oddaleniu od miejsc, gdzie jest poczta.

Co do niebezpieczeństw, są one tak rzadkie, że tak samo mogą zdarzyć się w życiu prywatnem, a zresztą Bóg jest naszą nadzieją i ochroną.

Pan Franciszek (Majewski) nie uprzedził mnie o swem przybyciu. Byłbym miał szczęście widzieć go przez dni parę, i wiele ran serca mego zostałoby uleczone; zamiast tego otrzymałem jeszcze jedną.

[Kapitan Majewski, Napoleończyk, więzień stanu z r. 1826, po powrocie z wygnania „stary kamrat" żołnierki kaukaskiej ks. Romana, przygarnięty przez jego rodziców, którzy mu wioskę w dzierżawę wypuścili, stał się prawie domownikiem Sławuty. Zdaje się, że pod pozorem handlu końmi, wyprawiony przez księstwo Eustachostwo, dotarł szczęśliwie aż na Kaukaz, przywożąc z domu, prócz różnych podarunków, specjałów domowych (jak konfitury wyrobu starego księdza Piskuldżiana), ważne listy, w których rodzice mogli raz wreszcie bez więzów cenzury wypowiedzieć swoje troski i nadzieje, tyczące się losów syna, a także palącej kwestji ratowania dóbr, stojących od 1831 pod sekwestrem rządowym, oraz zabezpieczenia wnukom ich dzie-

dzictwa, od jakiego obaj synowie wyłączeni byli wskutek swego udziału w powstaniu.

O treści tych listów, których brak w archiwum rodzinnem Potockich (być może, iż z powodu niecenzuralnej treści zostały one zaraz zniszczone), świadczy odpowiedź Romana obszerna, choć naprędce, w chwili wymarszu pisana, a zaczynająca się od oddania hołdu ojcu „nie wiekiem, ale nieszczęściami ugniecionemu, za jego mężne pasowanie się z niedolą:

„Walka ta z obu stron jest wygraną; jedna siłą, druga, wynosząc swą cnotę ufnie do stóp Boga. Przy ostatniej wygrana jest prawdziwa, wieczna i żadnemi wypadkami nienaruszona“.

Niestety, krótko mógł się cieszyć książę towarzystwem „starego pana Franciszka“, zauważył tylko z przyjemnością, że ten sterany niegdyś żołnierką towarzysz niedoli poprawił się i odmłodniał na sławuckim chlebie i pożegnał go, pocieszając się, że drugim razem uda się lepiej. *„Niech uprzedzi mnie wcześniej, a serce moje przyjmie go po przyjacielsku“*].

10/23 lipca 1836.

Ostatni list mój był pisany z obozu Olgińskiego, w momencie wymarszu wojsk. Dziś piszę z Jekaterynodaru.

Posyłam nareszcie odpowiedź na list małej. Napisanie go wiele mię kosztowało, gdyż było to przeciwne memu przekonaniu, i przykro mi myśleć, że ta istotka, tak mi droga, nie jest jeszcze w możności mnie zrozumieć. Proszę Was, nie przyzwyczajajcie jej do pisania do mnie, ja również rzadko czynić to będę; listy moje staną się dla niej tem szacowniejsze, aż nadejdzie pora, że potrafi ona pojąć łączące nas węzły. Dziś wydaje się ten czas daleki, a nadejdzie z

większą szybkością, jak te wartkie wody, na które tak lubię spoglądać.

Ks. Roman do córki Marji.

15 lipca 1836.

Proszę kochanej Marysi być zawsze posłuszną, dobrą, grzeczną z wszystkimi, słuchać Bunię i Dziadzia, być wdzięczną za ich łaski, uczyć się pilnie i z ochotą, dziękować Pannie Paulinie, że tak cierpliwie Ciebie uczy, pamiętać o nieszczęściu i biedzie tylu ludzi, mieć litość dla nich, prosić Boga, aby w swej Opatrzności miał miłosierdzie dla niej i dla Sierot, aby Jego ręka, litując się nad ptaszętami Borów, i Ciebie w Puszczy Świata nie opuściła, a nakoniec wspomnieć, że ma Ojca, który swą Marysię, przez Boga daną, kocha, jak jedyne swe dziecko.

[Napisane w minjaturowym karneciku, przysłanym córce z Kaukazu. Ten pierwszy list ojca do córki przechowywany był w złotem pudełeczku w kształcie kapliczki, zawierającej misterną rzeźbę „Wieczerzy pańskiej", na którem napis własnoręczny księżnej Klementyny:

„Kapliczka z Ostatnią Wieczerzą, darowana Matce przez Romana w strasznej chwili więzienia kijowskiego."]

Ks. Roman do matki.

29 sierpnia, 12 września 1836.

Przez miesiąc nie pisałem i cierpię, myśląc o niepokoju, który Was musiał dręczyć. Ja zaś spędziłem ten czas spokojnie. Namiot mój położony jest wpobliżu rzeki; jej szum wśród nocnej ciszy jest mi nieskończenie przyjemny.

Widok obozu naszego jest malowniczy i ładny; zielone gałęzie osłaniają namioty od skwaru i, zanim zwiędną, przypominają winnice włoskie, takie pozory bywają czasem złudne!

Sądzę, że jutro zmienimy miejsce postoju. Mówiono mi o przybyciu księcia Woroncowa: było to wydarzenie epokowe w monotonności życia obozowego. Mimo, że wszystkie prawie osoby tego towarzystwa były mi znajome, nie byłbym żałował, żem ich nie widział, gdyż od wielu już lat zerwałem ze wszystkiemi znajomościami. Ale kiedym się dowiedział, że w ich gronie była pani Zofja Potocka, miła mi przez pamięć swego męża i przez swe własne zalety, jak również przez tyle wspomnień, zrobiło mi się bardzo przykro, i nie mogłem się powstrzymać, aby nie złorzeczyć losowi, który pozbawił mię wielkiej przyjemności. Dzieliło nas tylko 20 — 25 wiorst; gdyby zamiast góry była równina, pani Zofja byłaby widziała nasz obóz. Mówiono, że napisała do mnie list, ale dotychczas go nie otrzymałem.

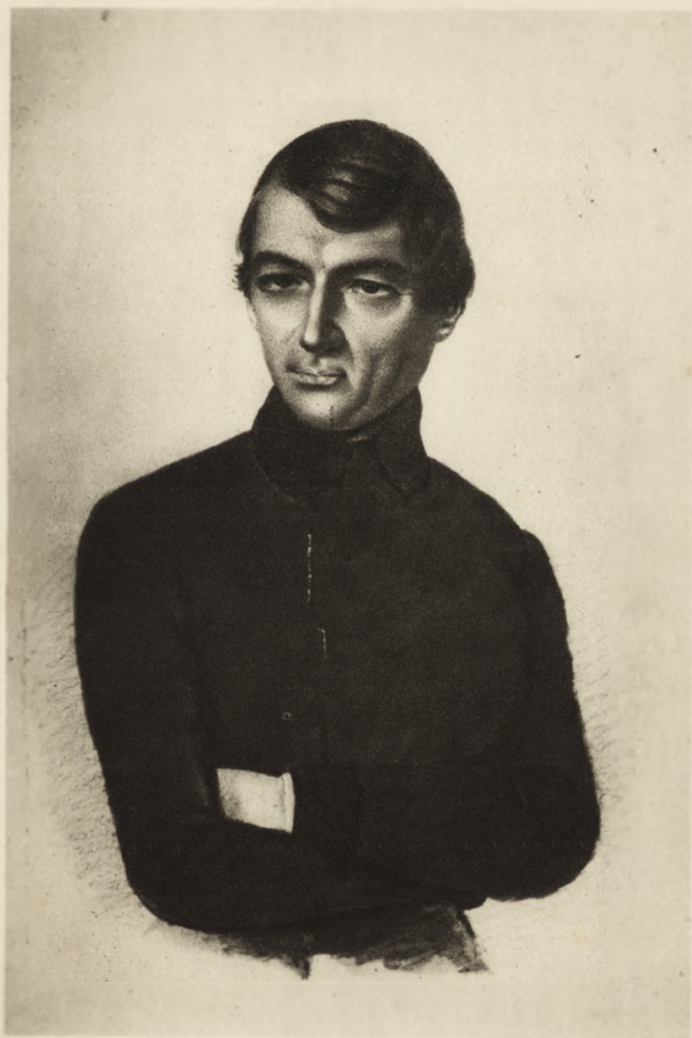
Czytałem ostatniemi czasy księgę Hioba, i to mnie wielce pokrzepiło w przeciwnościach i dolegliwościach fizycznych, które zczasem mogą się tylko wzmagać. Miałem to zadowolenie, żem zawsze chwalił imię Boga, czy jednak potrafię wytrwać na tej drodze?

Powrót nasz z obozu nastąpi zapewne w listopadzie. Nie wiem jeszcze, gdzie zimę przepędzę.

9/21 września 1836.

Zmieniliśmy obozowisko, stoimy teraz w ciasnym wąwozie. Namioty nasze były ustawione w przepysznym lesie dębowym; kilka dni temu podziwiałem wspaniałość tych drzew, a dziś tylko jeden pień świadczy o miejscu, gdzie był las. O 5 wiorst wyżej znajduje się najwyższy punkt tej przełęczy górskiej; o 4 — 5 wiorst stamtąd zaczyna się stok, bardzo stromy i skalisty, wiodący ku morzu. Widok jest piękny i rozległy.

Zdrowie moje jest dobre; nie ma ono już energji młodzieńczej, ale wytrzymuje siłą przyzwyczajenia.



ROMAN ks. SANGUSZKO

Według akwareli
Włodzimierza Borkowskiego
w czasie pierwszego urlopu w r. 1839

[Tu następuje przerwa w korespondencji. Z dalszych listów dowiadujemy się, że z końcem września 1836 r. ks. Roman był znowu ranny, zdaje się, dosyć ciężko, w ramię. Pas skórzany sprawił, że kula nie ugodziła w pierś.

Po trzech tygodniach dopiero, gdy rana goić się zaczynała, syn napisał do ojca. Listu tego, 11 października pisanego, niema w archiwum rodzinnem. Dopisek księżnej Klementyny zaznacza, że został on w Sławucie. Z odpowiedzi matki dowiadujemy się, że niektóre wyrazy tego listu boleśnie ją dotknęły: zdawało się jej, że syn zbyt lekceważąco wyraża się o swojem życiu. „Nie pamiętam już wyrażeń, jakich użyłem — tłumaczy się ks. Roman — możliwe, żem się wyraził, iż zbyt już nawykłem do obrazów śmierci, i nie czynią one na mnie wrażenia...“

„Bolesna mi jest zawsze myśl o tem, że się trwożycie o mnie, i dlatego napisałem Wam o mojej ranie dopiero wtedy, gdy już wyzdrowiałem“.

Rana ta budzi znów nadzieje oswobodzenia się z ciężkiej i nienawistnej służby. Ojciec zapytuje skwapliwie: *„Czy można lub nie, prosić o odstawkę?...*

„Przy tak osłabionem zdrowiu, przy kalectwie na nogę, a teraz być może i władzy w ręku, cóż ty poczniesz w stanie żołnierskim i w tak twardej wojnie?

Zabiegi przyjaciół w Petersburgu odnoszą pewien skutek, gdyż w jesieni r. *1836* ks. Roman otrzymuje wreszcie awans na oficera (podporucznika), co powoduje zarazem przywrócenie mu praw cywilnych i praw szlachectwa.]

Księżna Dorota Czartoryska do wnuka Romana.

Rzym 5 października 1836.

O, jak dawno najżywszem mojem życzeniem jest przypomnieć się Twojej pamięci i affektowi kilką literami mojej ręki, już bardzo wiekiem obciążonej, mój z serca kochany

i szacowny wnuku. Zawsześ mi przytomny, nie masz oddalenia dla serca, przebiega myślą najsmutniejszą odległość, dzieli, czuje żywo, trapi się i ze łzami wzdycha nad troskami i wszystkiemi dolegliwościami tak szacunku godnego Dziecięcia. Bóg dobry zawsze Cię strzegł w najokropniejszych zdarzeniach, niech Cię raczy błogosławić w całym zostającym biegu Twego życia, abyś był konsolacją i zaszczytem Twoich Rodziców i mógł oglądać Marysię piękną i dobrą, jak aniołek. Tego Ci życzy najczulszem sercem Babunia już ośmdziesięcioletnia, która tak uszczęśliwiona była poznać ten krótki czas, co Cię widziała, Kochany Wnuku. Jak wiele Jej serce bolało na to wszystko, coś do tej pory ucierpiał! O Boże dobry i wszechmocny, racz dać memu kochanemu Romanowi szczęśliwszą przyszłość przez przyczynę Matki Twojej najświętszej i wysłuchać moją gorliwą prośbę za nim, prowadź rękę moją, która go Całą duszą błogosławi.

Najprzywiązańsza Babunia
Dorota Czartoryska.

Ks. Roman do matki.

30 października, 11 listopada 1836.

Miałem kilka powodów radości — rzecz, która rzadko mi się przydarza.

Pierwsza: to mój awans, następnie miejsce mego przeznaczenia — wiecie już może o tem — jest to duży krok, wydobywający mię z przykrego położenia, pozbawionego praw cywilnych. Zmienia moje położenie nietylko pod względem osobistym, ale i socjalnym, a także stosunek mój do rodziny.

Zdrowie moje jest dobre, a wody piatyhorskie jeszcze je pokrzepią. Nie było ono zrujnowane, lecz jedynie nieco naruszone przez wypadek, który mógł stać się dlań groźnym.

Bóg ocalił mię w sposób niezwykły, dziękuję mu kornie za tę łaskę, gdyż zarazem rozbudził w mojem sercu nadzieję zobaczenia Was jeszcze.

Powiedziano mi jednak, abym tę nadzieję dla siebie zachował, zamykając się w oczekiwaniu, ścisłem wypełnianiu swych obowiązków i biernej cierpliwości. Piszę Wam o tem, abyście wiedzieli, czego się trzymać.

[Wiadomość o awansie, bez nadziei powrotu do domu, przyjęli rodzice z pewnym smutkiem.

Ojciec przyznaje, że „awans polepsza położenie i nadaje bez wątpienia prawo do więcej wygód potrzebnych zmęczonemu jestestwu". „Żal przecież życzliwemu Ojcu grubego płaszcza Twego i lederwerku, który Ci życie ocalił..., bo i to nie fałsz", że ten gruby szynel prostego żołnierza udzielał świetnej obrony stroniącemu od błyskotek... nieomal przymus do niełączenia się i dogodność samotności.

20 grudnia 1836 r. ks. Roman zabrał z miejsca poprzedniego pobytu: „Procznyj Okop" swoje „gospodarstwo i dwór" na dwa wozy, z których jeden był „wielce ulepszony, niedość jednak, by zasłużyć na szumne miano bryczki". „Dwór" składał się z dawnego, nieporadnego służącego, Jana, i żydka z Wołynia, krawca Mihela, którego książę przygarnął, spotkawszy go gdzieś na Kaukazie, a który okazał się bardzo pożyteczny, gdyż nietylko naprawiał garderobę księcia, ale wobec nieporadności Jana trudnił się zakupami gospodarskiemi, a nawet słał łóżko i przyrządzał herbatę księciu. *„Cóżbyś rzekła, kochana Matko* — pisał Roman — *wiedząc, jak lubię mieć herbatę czysto i porządnie zaparzoną, że robi mi ją żydek i dobrze robi."*

Miejscem przeznaczenia ks. Romana, być może ze względu na jego rany, był Kisłowodzk, słynny ze swych wód żelazistych.]

Ks. Roman do matki.

Stawropol, 12 stycznia 1837.

Spędziłem uroczyste dni Świąt nader przyjemnie, bo sam. Dusza, nastrojona wyniośle, pogrąża się w rozmyślaniach i wspomnieniach, przeżywa ponownie to wszystko, co poruszało ją niegdyś.

Od 7-go stycznia bawię w Stawropolu; odszukałem tu mego przyjaciela, Sabbatyna. Już przeszło od sześciu lat nie byłem w salonie, przytrafiło mi się to zeszłej niedzieli. Generał Taube, u którego musiałem się meldować, uprzejmy staruszek (stał niegdyś w Korcu w r. 1821), zaprosił mię do siebie. Przedstawiano jakieś żywe obrazy. Nie wiem, czyli olśniło mnie tak nowe wrażenie, światła, strojne kobiety, dość, że wszystko wydało mi się bardzo ładne.

Nie odpisałem jeszcze na ostatni list małej, uczynię to dopiero na jej 8-me urodziny.

Kiedy myślę o tej rocznicy, ileż cierpień obopólnych przeżyliśmy już od tej chwili, a jeszcze nie widać ich końca. Niepewność przyszłych losów a niestałość teraźniejszości są jednakie.

W liście małej znalazłem kilka błędów, kładę przeto największy nacisk, aby uczyła się aż do 15-go roku tylko w swoim języku.

Ks. Roman do ojca.

Luty 1837.

Cierpiałem mocno na zęby i uszy skutkiem popsutego zęba i przeziębienia głowy, tak, że musiałem po kilka dni na jednem miejscu zastanowić podróż. Ból jest albo krótki, albo słaby, jak mówi przysłowie łacińskie, więc i to minęło i przeszło. Myśl, ułagodzająca mój ból była, że podzielam to cierpienie z kochaną Matką, która tak cierpliwie i przykładnie cierpienia fizyczne i moralne znosi.

Nie wiem, najdroższy Ojcze, jak zacząć o sobie pisać? Bez rozmyślania trudno, a rozmyślanie do wątpliwości, do rozpaczy prawie doprowadza. Zamiary moje kierowane być muszą okolicznościami i czasem, które się przemienić mogą a ugruntowane być muszą na cierpliwości. Zachodów o uwolnienie od służby samemu nie wypada mi robić, zachody od familji więcej wagi mają...

Piatyhorsk 8 maja, 26 kwietnia 1837.

List, przysłany przez ks. Mansurowa, obiecuje mi przyjazd pana Franciszka.

. . . .

Kołatany tylu uczuciami, nie mogę jednak nie wyznać jedną słabość, ale która mnie mocno obchodzi. Jest to obawa spotkać ludzi ze Sławuty. Podobieństwo, do pewności prawie już dochodzące, że ziemia rodzinna, ziemia Ojców naszych nie będzie w mojem ręku, nawet w ręku naszych dzieci, daje mi uczucie smutku, które wszystkim żądałbym zakryć. Chciałbym być zapomnianym od tych ludzi, tyle wieków imię nasze znających, i już kilka lat czasu to pewnie wielce przysposobiło. Nowe przypomnienie jest więc zboczenie temu przedsięwzięciu.

Konie byłyby mnie przyjemne bardzo, ale nie chciałbym je mieć, aby nie przyzwyczaić się do postępu w ekspensa. Czuję, że zawsze i teraz żyłem i żyję nad możność, choć niewygodnie żyłem, ale bo wszystko jest teraz nad moją możność!

Dziś wygodniej trochę i porządniej mieszkając i żyjąc, przewiduję zawsze konieczność, która może nastąpić. Nie chciej wierzyć, najukochańszy Ojcze, żeby ja sobie żałował to, co mi Twoja łaska udziela.

Myślę i mówię, że to nie z Twojej przyczyny, ale wypadków.

Kończę ten mój smutny list, upewniając Ciebie, najukochańszy Ojcze, o szacunku i przywiązaniu mego serca.

Roman.

19/7 czerwca 1837, Piatyhorsk.

Dziś, najdroższy Ojcze, w dzień Zesłania Ducha Św., a pierwszy raz od kilku lat wiadomość, którą okoliczności zrobiły prawie pomyślną, odświeżyła cokolwiek zagorzałe nasze serca... Według 4 maja najwyżej potwierdzonych prawidel względem majątków, których sukcesorowie (od praw) byli odsądzeni, Twój majątek jest uwolniony od dozoru i odpowiedzialności, przez nas ściągnionej. Pozostały wielkie trudności, aby dopiąć pewny koniec, ale przyszłość Twoich wnuków i potomstwa może być zapewniona, i ziemia Ojców naszych im się dostać. Takowy skutek jest już nadgrodą trudów, które odważnie i statecznie wycierpiałeś, i zdaje się, jest konieczność korzystać z tego, jedynie nam zostawionego środka.

Piatyhorsk, 21 czerwca (3 lipca) 1837.

Poczciwy nasz przyjaciel (kpt. Majewski), nie uważając na kobyłki i konie, które miłością prawdziwą kocha, stanął tutaj dnia 19-go.

Piękność koni jest zachwycającą. Oko moje, od tak dawna nieprzyzwyczajone do czystej rasy, zdziwione zostało szlachetnością ich krwi. Podniosą one wielce upadłą, dawną moją chęć do koni...

[Pan Franciszek wyjechał znów z Wołynia na Kaukaz „z całą karawaną“, prowadząc konie dla ks. Mansurowa, a ze Sławuty, jako podarunek od Ojca, kilka pięknych ko-

ni ze słynnego stada: jeden z nich nosił imię Kanarisa, drugi Botzarisa, nazwiska bohaterów greckich w walce o niepodległość.]

Czuję mocno to, co mi w swojem tak pięknem piśmie wspominasz, iż nie można zrównać moje dolegliwości, cenione i wspominane przez najdroższe mi osoby, z dolegliwościami tych, którzy godnie nędzę znoszą, a są bez nadziei, bez ratunku, bez wspomnienia od swoich. Ile jest ich udział sroższy od mojego — ile oni są wyżsi ode mnie!

Pierwsze żądanie moje, Szanowny Ojcze, przekonać Cię, że nie zniżyły się moje siły. Nie tak czuły do widoku nędzy, nie doświadczając teraz cierpień fizycznych, jestem mniej pociągniony do egzaltacji, a dawniej każde chwilowe doświadczenie mnie utrzymywało w nienaturalnej drażliwości, lecz śmiem Ciebie zapewnić, że nie przestanę dążyć, aby być godnym Twojej krwi; wytrwałość, przez Ciebie wpojona, nie opuści mnie aż do końca, i z Tobą powtarzam modlitwę:

— Boże, we wszystkich wypadkach i względach bądź pochwalony, a jeżeli zaś cierpimy bez celu, Boże, zmiłuj się nad nami! —

. . . .

Wyjeżdżam teraz jeszcze raz na wyprawę, opuszczam nawet tu starego naszego przyjaciela. Odbędę przegląd Monarchy na ziemi nieprzyjacielskiej...

W większym hurcie będę niewidziany albo zapomniany, tu zaś byłbym w trudnem położeniu, wystawiony na widok przy jednej tylko kompanji...

22 sierpnia (3 września) Jekaterynodar.

Pan Franciszek został w Kisłowodzku, z nim 16-go rozstałem się, dążąc do miejsca, gdzie teraz wojsko się

znajduje. Jest to Gelendżyk, werst ze sto, nad rzeczką Wontar, na pobrzeżu morza. Około 15-go ma być przegląd wojsk wszystkich przez Monarchę. Siwego Kanarisa mam tu ze sobą...

Jeśli wyrobię sobie pozwolenie urlopu..., będę wynagrodzony za wszystkie trudy i cierpienia....

Piatyhorsk, 23/6 października 1837.

Otóż jestem szczęśliwie zpowrotem. Nie wiem, czy długo tutaj pozostanę. J. C. Mość rozkazał, jak powiadają, przenieść mnie do jednego z pułków naszej dywizji. Łaska ta spotkała mnie *za otliczje*, t. zn. za odznaczenie się. Radbym jednak kwatery obecnej na zimę nie zmieniać...

Całem mojem dążeniem jest dostać urlop. Dopiero teraz wolno mi rozpocząć urzędowe kroki w tym celu...

Mój Boże, wysłuchaj mię, daj mi dostąpić tej łaski...

Bolą mnie trochę oczy, kąpałem się bez potrzeby w wodzie żelazistej, i to mi uderzyło do głowy.

Piatyhorsk, 16 grudnia 1837/1 stycznia 1838.

Siedem lat temu byłem rozłączony z Wami tak jak na zawsze, z małem prawdopodobieństwem, byśmy mogli zobaczyć się jeszcze; dziś rozpoczynam rok nowy w nadziei, opartej, coprawda, tylko na prawdopodobieństwie, że będę mógł przycisnąć Was do piersi...

. . . .

Wróciwszy do Piatyhorska, znajduję wielką przyjemność we wpatrywaniu się w przysłany mi przez Was obraz: *Ecce Homo*. Odkąd nie widuję obrazów, czuję właśnie wielki do nich pociąg, i jeżeli zdarzy mi się czasem spotkać jaką starą włoską rycinę, spędzam długie godziny przed nią nietylko dla rozerwania umysłu, ale z powodu uczucia podziwu dla genjuszu człowieka, który to dzieło stworzył.

Czyż nie odczuwałbym tych samych wrażeń, gdybym z podziwem oglądał płody genjuszów podobnych, ale w innym tworzących rodzaju i w celach bardziej pozytywnych? Nigdy człowiek myślący i piszący nie był silniejszy, niż w dobie dzisiejszej! Nigdy człowiek, przystosowujący naukę do swej twórczości, nie był bardziej przedsiębiorczy. Czyż budowa obecnych kanałów, dróg żelaznych, wszelakich przedsiębiorstw mechanicznych nie przewyższa tysiąc razy prac, dokonanych w starożytności, które tak podziwialiśmy a które dziś tak błahe się wydają!

. . . .

Jakich olbrzymich przedsięwzięć dokonywa się w Stanach Zjednoczonych bez żadnej innej siły prócz skupiania środków. Jest to kraj, kipiący pracą. Naszem wielkiem nieszczęściem jest, że nie działamy zbiorowo; każdy traci siły, pracując samotnie...

W Ameryce jeden i ten sam człowiek po kilka razy w życiu rujnuje się, ale też po kilkakroć dorabia się fortuny. My się nie rujnujemy, ponieważ nic nie robimy.

Jeżeli mówię *My*, to dlatego, że utożsamiam się z ziemią, która mię zrodziła, i z tymi, co ją zamieszkują.

Wiele rozmyślałem nad tym przedmiotem, radbym z Wami o nim rozmawiać i pogłębić go.

Istnieje jeszcze ciekawszy rozwój, a mianowicie rozwój inteligencji człowieka; postęp czyni tu kroki olbrzymie. Kiedy czytam dzieło jakiego znakomitego pisarza naszego wieku, rozumiem je, ale czuję niższość swoją wobec ludzi, mających tak potężne myśli; wydaje mi się, że jestem z innej, niż oni, epoki. Rozwój ten jest pocieszający dla ludzi nieszczęśliwych. Daje on możność udoskonalenia ich przyszłości i przyszłości ich dzieci. Wszystko powinno dążyć i dąży w istocie do udoskonalenia się.

Oto prawdziwy cel ludzkości — jakże piękny i jakże pocieszający!

Jeżeli czuję, że pozostałem w tyle, i wielu innych tak samo, czyż nie widzimy tylu głów o budowie jeszcze dla nas niepojętej, jak Guizot lub St. Marc Girardin, niosących pochodnie postępu, aby nas oświecać.

Gdybym się nie hamował, napełniłbym cały swój list i wszystkie swe listy tym tematem, tyle widzę w nim pociechy!

Całem mojem pragnieniem jest nie pozostać zanadto w tyle za moją epoką. Nie chcę i nie mogę odgrywać w niej roli, ale chcę przynajmniej ją rozumieć.

W tym celu staram się nabyć trochę wykształcenia.

Wypisałem sobie książki, rzecz to kosztowna, ale są mi one potrzebne nie dla rozrywki, lecz do życia. Uważam je za tak niezbędne, jak powietrze dla płuc, jak strawa codzienna dla ciała.

7 lutego 1838.

List od pani Dolly [Fiquelmont] w sprawie mego urlopu brzmi niepomyślnie. Przypuszcza ona, że nie uzyskam na swoją prośbę przychylnej odpowiedzi.

Ostatecznie *możliwość* istnieje, i jeszcze nie straciłem nadziei. Ponieważ nigdy nie dawałem się unosić nadziei, ugruntowanej jedynie na prawie, przysługującem mi, do wniesienia prośby, odmowa nie byłaby dla mnie ciosem, gdyby nie to, że będzie nim dla Was, bo zdaje mi się, że liczyliście na to zbyt pewnie, więc Wasz smutek smuciłby mię najbardziej.

12/24 lutego 1838.

...Możliwość jest wciąż jednakowa. 1 na 10 procent najwyżej. Wspominasz już, kochana Matko, o podróży w razie odmowy, by mię odwiedzić. W tym razie jed-

nak nie sercem powinnaś się powodować, lecz rozsądkiem. Jeżeli nie dostanę urlopu w tym roku, mam prawo prosić o niego w roku przyszłym.

Serce moje, otwarte dla nadziei, żyje przyszłością; przekonanie wewnętrzne każe mi ją przewidywać, i to jest moja pociecha; ale nie umiem tego wytłumaczyć, ani ubrać w ramy dość rozsądne, by móc dyskutować na ten temat. Dusza mi to mówi, rozum musi ustąpić. A jednak sądzę, że nie jestem takim szaleńcem, jakim mogę się wydawać.

Miałbym mnóstwo sposobów, aby przekonać Cię, droga Matko, która zasady swe czerpiesz w religji. Postęp — to nie maszyny parowe, nie drogi żelazne — te są tylko materjalnemi wynikami, stwierdzającemi pewną cząstkę postępu.

Rezygnacja twoja jest silna, ale jakże smutna, jak trawi ona twoje biedne ciało! Światło nadziei, choćby słabym jaśniejące blaskiem na widnokręgu ludzkości, pozwala mi przeczuwać przyszłość i unosi duszę ku Bogu, w którego ręku są nasze losy.

Stawropol, 7/19 marca 1838 r.

Oto pierwszy dobry list po tylu, tylu latach, w którym mogę donieść Wam o swoim przyjeździe. Bóg w miłosierdziu swem pozwolił mi nareszcie dostąpić tej łaski. Nadzieja zobaczenia Was każe mi zapomnieć o wszystkich mych cierpieniach.

Muszę opowiedzieć Wam, w jakiem położeniu byłem od dwóch tygodni. 22 lutego, wracając pewnego razu z polowania, przeczytałem w rozkazie dziennym o udzieleniu mi urlopu, ale tylko do 30 kwietnia, a więc na miesiąc, jeżeli odliczyć podróż tam i zpowrotem. Byłbym wyjechał zaraz, choć na tak krótko, ale zaryzykowałem, chcąc się doczekać przyjazdu nowego komendanta.

Ten zaś udzielił mi natychmiast 4-miesięcznego urlopu, datującego się od dnia wyjazdu. Wyobraźcie sobie, co się ze mną działo przez ten czas.

Donieście, kochani rodzice, o tej dobrej nowinie Władysiowi. Nie mam nadziei zobaczenia się z nim, i to jest jedyna gorycz, która zakłóca radość moją.

List ten wyprzedzi mię zaledwie o kilka dni. Ponieważ będę jechał przez Zasław, starajcie się, abym tam zastał słówko od Was. Nie wiem, gdzie chcecie się ze mną spotkać. Gotów jestem przyjechać nawet do Sławuty, aby przebyć odrazu wszystkie wzruszenia.

Bywajcie mi zdrowi, drodzy i kochani rodzice. Po tylu latach i tylu przejściach mogę Wam nareszcie napisać: do widzenia — Roman.

[Dopisek].

Doszły nas w tej chili listy Romana z dnia 7-go marca. Możemy Bogu za nie dziękować. Starajcie się tylko, aby w tej chwili szczęścia, ze zbytku radości nie ucierpieć.

J. Z [amoyski].

[Na tym liście kończy się, tak starannie dotąd przez matkę składana, korespondencja ks. Romana z zesłania. Niewiadomo, czy dalsze listy przepadły, czy też, jako przesyłane przeważnie przez okazję, a więc szczersze, z przezorności ulegały zniszczeniu.

Myśl o nieuniknionem rozstaniu się mąciła wielką radość rodziców i syna. Matka zwłaszcza nie mogła oprzeć się gorącemu pragnieniu, aby już syna z domu nie wypuścić i, powołując się na jego zniszczone zdrowie, zanieść prośbę, aby mu udzielono ostatecznej dymisji. Doświadczona przyjaciółka, pani Fiquelmont, przemawiała, jak zwykle, głosem trzeźwego rozsądku i tłumaczyła Romanowi, że, aby otrzymać zupełne zwolnienie, trzeba jeszcze

zrobić „bolesny ostatni wysiłek“ i wrócić na Kaukaz. Obiecywała, że następstwem tego będzie niewątpliwie polepszenie losu. Jednakże pół roku jeszcze spędził książę Roman na Kaukazie, wróciwszy w lipcu z urlopu; w styczniu zaś r. 1839 przyszła wiadomość, że został przeniesiony do Moskwy.

Pobyt tam jeszcze przykrzejszy się wydawał, niż niebezpieczna na Kaukazie służba. Teraz jedno tylko życzenie wypełniało serce i odbijało się w ustach: powrotu! Listy księżnej Klementyny do syna pełne są troski i szczegółów, dotyczących coraz to kłopotliwszych spraw gospodarskich i finansowych oraz wychowania dorastającej już córeczki. Wyjmujemy z nich te tylko ustępy, które uwydatniają starania o uzyskanie upragnionej dymisji i dają obraz głębokiego strapienia z powodu choroby syna i spowodowanego przez nią kalectwa.]

Księżna Klementyna Sanguszkowa
do syna Romana.

12 marca 1839 r.

...Jesteś jeszcze na Kaukazie. Jakąż podróż mieć będziesz [do Moskwy] *strach pomyśleć! I tak z biedy w biedę, z nudów w gorsze jeszcze nudy, z męki w mękę!*

Jeżeli uważasz, że trudno o dymisję, proś o urlop. *Pracuj, pracuj szczerze i żywo koło tego, bo my starzejemy się oboje, i niewiele już nam czasu zostaje.*

5 kwietnia. Wielki Piątek.

Mam nadzieję, że w Moskwie jest kościół katolicki... *Gdy myślę o twoim tam pobycie, jak mi go wczoraj stary pan Franciszek wystawił, to mi aż włosy na głowie stanęły: w twoim wieku i z twojem zdrowiem trudno wytrzymać;*

niech się Bóg zmiłuje! Boję się o twój humor; prawda, trudno, aby takie życie nie drażniło...

Niech Ciebie Opatrzność wspiera swą ręką mocną i łagodną, niech się zmiłuje nad nami. Wróć do nas, wróć, synu, niema innego środka biedę osłodzić.

7 kwietnia 1839.

Rocznica [zapewne przyjazdu do domu syna w r. z.] rozdarła mi duszę... ten pierwszy wieczór naszego spotkania była to bardzo uroczysta chwila w naszem życiu...

...Od tej pory postarzałam się o 10 lat..., wielkie wzruszenia sprawiają ten skutek...

Twój opis Moskwy bardzo nas zajął... Cieszymy się, twój ojciec i ja, że zamiarem twoim jest żyć w samotności. Masz ten dar (Bóg udzielił Ci wielu darów), że wiesz zawsze, jak sobie postąpić...

Najistotniejsza pociecha, to połączenie się nasze, *więc moja rada jest, aby Twoją dymisję uważać za pierwszy interes familji, trzeba się do niej wziąć powtórnie i Boga prosić, aby się udało, bez złych skutków.*

27 kwietnia 1839 r.

...Nie wymieniasz miejscowości, gdzie się znajdujesz; piszesz tylko, że to 30 — 50 wiorst od Moskwy.

Twój list z 31 marca sprawił mi wiele smutku. Bardzo Cię proszę, wytłumacz mi swój stan. Co znaczą te *„dwie bolesne nerwowe choroby"*, *o których wspominasz i obawiasz się, żeby nie wróciły?*

Łatwo spostrzec, że żółć się w tobie burzy. Jakże po tylu latach cierpień opanować tę żółć? Dziękowałam Bogu za spokój, jakim tchnęły listy twoje po naszem spotkaniu.

Zdziwiliśmy się, czytając w ostatnim liście:

„Smutno myślę, że, jeśli Córka moja do zamęźcia swego przez tych kilka lat nie doświadczy dowodu moich chęci, nigdy już niczem nie będę mógł wypłacić dług życia swemu dziecku!..“.

Oj Boże, co za myśl fałszywa! Gdzie na świecie jest dziecię, które tyle Ojcu winno, co Marynia? Z twojej łaski tyle osób za nią się modli, i stała się ozdobą naszej Familji, to nakłada na nią obowiązki.

Ks. Roman do Piotra Moszyńskiego.

Moskwa, 24/V 1839 r.

...O sobie mogę Ci pisać, żem się wiele zestarzał i ciałem, i duszą odpóki Cię widziałem. Trzymam się dawnem mojem zatwardzianem zdrowiem, ale ślady wieku i lat niepomyślnych są już mocno na mnie wyryte. Charakter mam dosyć równy jeszcze, ale daleko mniej wesoły, jak kiedy mnie znałeś. Jeżeli utrzymuję się, winienem to wymaganiom nad sobą.

Przyszłość mi się więcej odkrywa, jak kiedykolwiek, trwam w nadziei i w zamiarze uwolnienia się od służby i poświęcenia się dla drogich mi osób...

Przeniesienie moje do Moskwy, pod widokiem politycznym położenia, jest mi korzystnem, ale nie jest mi przyjemnem w codziennem pożyciu. Służba i wymagania jej są dla mnie cięższe, jak marsze i niebezpieczeństwa....

Przyszłość robi nadzieję z tobą jeszcze się widzieć, na tej ziemi Cię jeszcze powitać. Tymczasem zachowaj mi swą przyjaźń, którą się chlubię, i bądź pewny, że na wieki jestem Ci przywiązany. Roman Sanguszko.

Księżna Klementyna do syna.

15 listopada 1839 r.

Powrót twój jest niezbędny dla nas. Twój ojciec nie może już trudzić się interesami... Gnębiące ciosy losu znosi

on z siłą ducha nadzwyczajną a wpada w nieznośny humor z powodu rzeczy drobnych: *o takie bzdurstwa, że i mówić o czem niema!*

Jestem w tej nadziei, którą w Bogu pokładam, że przyjedziesz.

[Ks. Roman, po odbyciu manewrów pod Borodinem, uzyskał urlop półroczny, przyjechał do domu w grudniu 1839 i bawił aż do połowy czerwca 1840].

7 lipca 1840.

...Nie pisałam jeszcze do Ciebie po naszem rozstaniu. Mała po wyjeździe Twoim była trochę niedysponowana; być może, że silny smutek, który odczuła, był tego przyczyną.

8 sierpnia 1840.

...Służba twoja przygnębia Cię i męczy, zdrowie masz nadwerężone; spokój jedynie może naprawić to, co trudy i cierpienia gruntownie zrujnowały...

Taki deszcz i wicher, pocieszam się myślą, że może to spowoduje Twój powrót z obozu.

19 listopada 1840.

Moszyńscy przyjechali do Sławuty. Nigdybym nie była poznała Piotra, wypiękniał przez nieszczęście, wygląda młodziej od Ciebie; niestety, więcej jest cierpienia na Twojej twarzy.

Józefina bardzo mi się podoba, nie jest ani ładna, ani brzydka, jest niezwykła. Twarz irlandzka... dusza ognista. Piotr, to człowiek ewangeliczny. Mało mówi, ale wszystko, co powie, zawiera myśl albo uczucie. Martwi mię jego głuchota, wielka to przykrość.



MARJA z SANGUSZKÓW ALFREDOWA POTOCKA
jedyna córka ks. Romana
1830 — 1903

Według portretu przez Blaasa

18/27 stycznia 1841.

Trzeba mieć odwagę, aby ująć za pióro po takim ciosie. Największą męką jest to pragnienie, to życzenie: *ratować*, a wszystko, co wokoło nas się znajduje, przygnębienie tylko obudza.

Ukryłam prawdę przed Marynią, powiedziałam jej tylko, że urlop odłożony. Twój ojciec przewyższył sam siebie. *Kiedy on, kiedy ja krzyknąć do Boga możemy: Niech się dzieje wola Twoja, to wiele czynimy.*

. . . .

Mówisz o 3 decyzjach. Ty jeden możesz wybierać najmniejsze nieszczęście w tem wielkiem nieszczęściu.

Oszczędź nam niepokoju, jaki sprawiłyby nam klimat i kule. *Trzeba się ratować! Ale jak?* Bogu to oddaję.

23 marca 1841.

Dzisiaj Sabbatyn przysłał nam list, w którym donosisz, że jesteś przeniesiony do służby cywilnej, z siedzibą stałą w Moskwie. W tem nieszczęściu to jeszcze najlepsze, co mogło się stać, ale rzecz zasadnicza to twój powrót.

Chcesz podać się o urlop. Proszę Cię, nie rób tego przed terminem ślubu [Następcy tronu]. To stałe zainteresowanie, jakie zawdzięczam mojej ukochanej córce, która jest aniołem, odniesie, być może, szczęśliwy skutek.

2 sierpnia 1841.

Zdaje mi się, że ganisz krok, który uczyniłam. Odpowiedzi są wymijające. Przyjaciółka nie może się już mieszać do niczego, jednak urlop zdaje się zapewniony. W naszej nędzy urlop ten będzie osłodą, potrzebną dla zranionych serc. Bądź zdrów, najukochańszy Synu, oświadczę wdzięczność moją Augustostwu [Potockim].

6 października 1841.

Drogi Synu, w dzień imienin twego Ojca oddano mu twój list. Wywarł on na nas bardzo bolesne wrażenie, nie wiedziałam o Twojej głuchocie.

Należy się spodziewać, że będzie ona przejściowa. ale mnie to bardzo martwi.

Coraz bardziej przychodzę do przekonania, że potrzebaby Ci towarzyszki, która osłodziłaby jesień twego życia po lecie niszczącem.

Młoda panna, która los swój postanowiła niedawno, nie była dla Ciebie stosowna. Tobie potrzeba towarzyszki dojrzalszej i starszej...

Ukrywam twoją niedyspozycję przed Marynią: miała ona w ostatnich dniach kilka przykrości, mogłoby jej to zaszkodzić.

2 listopada 1841.

O mój synu, jakże mię smuci Twoja głuchota; ile wysiłku mi potrzeba, aby ugiąć się przed koniecznością. Myśl jednak, którą wyrażasz w swym liście, i mnie przychodziła do głowy: może Bóg zesłał tę chorobę, aby spowodować twój powrót do domu?...

Rzadko kiedy odczuwałam gwałtowniejszy ból, niż wtedy, gdy czytałam list Twój z listopada. Wiedziałam że jesteś cierpiący, ale nie sądziłam, że aż tak bardzo.

Rozmawialiśmy z doktorem Gablerem, jaka to może być choroba, co oprócz odjęcia słuchu, nie pozwala Ci chodzić....

On przypuszcza, że to hipochondrja. *Najstraszniejsza to jest choroba,* bo podkopuje samo istnienie człowieka.

Mam nadzieję w Bogu, że ta słabość przejdzie, nie zostawiając śladów, ale głuchota Twoja sprawia mi bolesne uczucie...

Piotr [Moszyński] teraz lepiej słyszy, niż gdym go pierwszy raz widziała!

Nie mówię o wychowaniu, ani o żadnych kwestjach, które poruszasz w swym liście, *zdjęta jestem jednym przedmiotem, Bogu Cię oddaję, Boga za Ciebie raz wraz błagam, aby Twoje cierpienia się skończyły, abyś wrócił do nas i podparł Twoją rodzinę.*

30 grudnia 1841.

Nasz kochany Zacheusz Woytkiewicz wrócił z Żytomierza, aby nam przywieźć list od ks. Konstantego [Lubomirskiego], który donosi nam, *żeś dostał roczny urlop, z pozwoleniem bawienia w domu.* Była to chwila radości dla mnie, i pytałam się sama siebie: cóżto za uczucie, od którego już odwykłam! To też list, nazajutrz od Ciebie otrzymany, zniszczył je niebawem. Oznajmiasz nam, że z powodu stanu zdrowia dopiero w lutym przyjedziesz. Czy nie możesz otrzymać pozwolenia wyjazdu do Paryża lub Wiednia? Tak wybornie leczą głuchotę, a także to oko, na które nie widzisz!.. List twego doktora budzi zaufanie ku niemu, bezwątpienia pisał go człowiek uczciwy... Wierzę mocno w chirurgję, a choroba uszu i oka wchodzi w zakres chirurgji...

Kończę, błogosławiąc Cię na rok, który się rozpoczyna.

10 stycznia 1842.

Za wszelką cenę należy się starać o wyswobodzenie Ciebie.

Kalectwa czynią Cię całkowicie niezdolnym do jakiejkolwiek służby, co więcej, skazują Cię na śmierć za życia.

Kto wie, może Bóg zsyła nam tę drogę ratunku. Cały Petersburg mówi o Twojej chorobie. Ta słabość może Cię

uwolnić na całe życie. To się powinno teraz rozstrzygnąć. Myśl o tem, kochanku, i napisz do szwagra.

2 lutego 1842.

Drogi Synu, piszę do Ciebie w chwili radości, z powodu przyjazdu Róży Sob (ańskiej). Niebardzo jest zdrowa, odbywa podróż z szybkością kurjera, aby mię odwiedzić. Przyjaźń jej jest dla mnie balsamem. *Bóg da, aby taka była nasza Marynia!*

. . . .

Pisałam do siostry Dolly [Fiquelmont], dołączyłam bilet do dawnej przyjaciółki Twojej siostry; prosiłam, aby go oddała dopiero w stosownej chwili. Przedstawiłam Twój stan i pragnienie naturalne u matki przyjścia Ci z pomocą; w rezultacie proszę, abyś mógł być ostatecznie powrócony moim staraniom, i żeby Ci wolno było pojechać tam, gdzie, wedle orzeczenia lekarzy moskiewskich, jedynie możesz spodziewać się wyleczenia.

Bądź mi zdrów, najdroższy Romanie, przyciskam Cię do mego krwawiącego serca. *Boże, zmiłuj się nad nami. ulecz Romana!*

5 marca 1842.

...Cóż są kłopoty majątkowe w porównaniu z Twem zdrowiem? Bogactwa nie warte są przemawiać z siłą do duszy, tak wyniosłej, jak Twoja. Nie martw się interesami; jak Bóg zechce, tak wyjdzie.

Ty teraz na doktorów chorujesz i na gwałtowne lekarstwa; jeżeli wrócisz do zdrowia, cud to będzie.

18 marca 1842.

Doznałam radości na widok listu, który Woytkiewicz pisał do Sabbatyna, *że poczynasz słyszeć dźwięk miednicy, mocno uderzonej, coś pierwej nie słyszał. Byleby było po-*

lepszenie, to słuch wróci. Niech Najświętsza Panna uprosi to u Syna Swego!...

W tobie tylko ufność pokładam, pragnę Twego powrotu *nie dla zachowania bogactw, któremi się brzydzę, ale dla ratowania honoru i sprawiedliwości familji.*

[Gdy księżna Klementyna zabiegała o powrót syna i pozwolenie wyjazdu do Paryża celem leczenia się, hr. Augustowa Potocka również prosiła o wyjazd, lecz wymieniała Berlin. Tymczasem nadeszła decyzja, która, według wyrażenia księżnej, spadła „jak kamień z nieba": wezwanie, aby ks. Roman przyjechał do Petersburga.]

4 kwietnia 1842.

Z jakąż bolesną trwogą towarzyszę Ci myślą w Twej podróży, we wszystkich Twoich postępkach. Ten pobyt w złym klimacie! *O, jak się wpływu klimatu boję! Myśl o Greiffenbergu. Jakąby dla mnie, podupadłej na siłach, byłoby rozrywką przejechać się z Tobą choć na 2 miesiące!*

23 kwietnia 1842.

Myśl moja towarzyszy Ci. Jakże długie są nasze cierpienia!

Niestety, straciłam już nadzieję, żeby Ci do Greiffenbergu pojechać dozwolono. Niemasz innej nadziei, niż dostać się do Sławuty. Życie nasze jest niezmiernie ciche, ale tu przynajmniej miałbyś dość czasu i wygody do pielęgnowania Twego zdrowia...

25 kwietnia.

List Twój donosi nam, żeś przybył do Petersburga; czytaliśmy go z sercem, ściśniętem bólem. Bóg włożył ciężki krzyż na Twoje i nasze ramiona. Napisałam do Twojej bratowej; wdzięczna im jestem, że mają o Tobie

staranie. P (iasecki) mówi, że ona ma tam wielkie wpływy. Zdaje się, że to ona o Berlin prosiła; najlepsze chęci czasem biedę sprowadzą... Staraj się, abyś mógł przyjechać w dzień 1-szej komunji Maryni. Nic nie piszę więcej. Czekam na Twój przyjazd.

[Tu kończą się listy ks. Klementyny].

ZAKOŃCZENIE

1844 — 1881

Długo jeszcze czekano w Sławuckim dworze na upragniony powrót wygnańca, długo jeszcze rodzice nie mogli pogodzić się z bolesnym faktem, że kalectwo ukochanego syna uleczyć się nie da. Kuracje, zalecane przez rozmaitych lekarzy - specjalistów, zawiodły, a mimo to upragnionej dymisji nie udzielono księciu. Uzyskał jedynie pasport zagraniczny i skorzystał zeń, aby szukać pociechy, a może uzdrowienia tam, gdzie go pociągało głęboko wierzące serce, u grobu Chrystusowego.

Z uczuciem „żałosnej radości", oglądał święte miejsca i, mimo trudy podróży, czuł się dziwnie pokrzepiony i wzmocniony na siłach, co matka nazywała istotnym cudem. Ciężkie kalectwo jednak go nie opuściło i już nie miało opuścić do śmierci. Obawiano się w domu, że widok syna - kaleki zanadto boleśnie rozedrze serce starego ojca, który, rzeźki jeszcze fizycznie i krzepko dosiadający konia pomimo swych 77 lat, moralnie zmienił się w latach ostatnich i wielce posmutniał. „Ciężki stan kraju go przygnębił — pisała żona w swym pamiętniczku". — „Wstydem jest dla Polaka żyć, i wstyd mi, że żyję jeszcze!" — mawiał. — Z końcem listopada zaniemógł, nikt nie mógł określić jego choroby; zgodzili się potem lekarze, że starca strawił smutek i tęsknota za dziećmi.

W powrotnej drodze z Ziemi Świętej, książe Roman otrzymał list od swej córki, ulubienicy dziatka, z żałobną wieścią o śmierci starego księcia.

List księżnej Klementyny, w kilka dni później otrzymany, opowiedział synowi resztę szczegółów o tej „poważnej śmierci ostatniego polskiego wielkiego pana". Gorzki żal z powodu nieobecności przy łożu umierającego łagodziła smutna uwaga matki: „Lepiej może, iż ojciec nie widział Cię kaleką".

Na skutek świadectwa lekarzy, iż choroba jego jest nieuleczalna, książę Roman otrzymał wreszcie uwolnienie ze służby rządowej i pozwolenie powrotu do domu, jako opiekun małoletniej córki, jednakże bez prawa do posiadania osobistego majątku. Na „ziemi ojców swoich" pozostał, ściśle biorąc, aż do końca życia, człowiekiem bezdomnym. Mógł jednak dla tej ziemi pracować pomimo zrujnowanego zdrowia, pomimo kalectwa, które oddzielało go od świata, pomimo tysiącznych przeszkód, krępujących ręce, stanął do tej pracy tak, jak niegdyś do boju — *z przekonania.*

Aby opowiedzieć drugą połowę życia ks. Romana, ten „żywot niestrudzonej myśli i pracowitego czynu", potrzebaby nato monografji, skreślonej piórem ekonomisty. Trudno jednak będzie wskrzesić dziś, gdy tradycja ustna już prawie zagasła, całokształt owej pracy, której żywe echa znajdziesz tylko w okruchach wspomnień ludzi współczesnych. „Jaką była jego służba obywatelska, w r. 1846 rozpoczęta, świadczą jej owoce, najpiękniejszem zaś i najpierwszem świadectwem tego rozumu i zacności był, sporządzony w r. 1848, akt zniesienia pańszczyzny we wszystkich dobrach sanguszkowskich..." (Adam Pług.)

Rząd nie dopuścił wprawdzie do wykonania projektu tego w całej pełni, ale mimo to książę Roman reformę prze-

prowadził zwolna, a gdy uwłaszczenie włościan w cesarstwie nastąpiło w wiele lat później, w Sławucie nie zmieniło już niczego.

Owe teorje postępu, zbiorowej pracy, udoskonalenia i uszczęśliwienia ludzkości, przemyślane niegdyś w głuchej pustce wygnania, wprowadzał on teraz w życie z owym niezłamanym niczem optymizmem i uporem, które sam nazywał dominującemi cechami swego charakteru. „Wszystkie wynalazki ogromnie go zaciekawiały; dopóty się nie uspokoił, dopóki nie wprowadził innowacji, o której słyszał, zwłaszcza w dziedzinie cukrowni. On pierwszy zaprowadził cukrownictwo w prowincjach zabranych, cukrownia w Klembówce była pierwszą w kraju, a rafinerja w Szepetówce wyprodukowała pierwszą głowę cukru w r. 1846. On pierwszy zaczął regulować i uczenie reformować gospodarstwo leśne... Fabryki sukna, papiernie, odlewnie żelaza najwymowniej świadczą o jego wprost zadziwiającej ruchliwości przemysłowej. Wszystkie te prace uważał za rodzaj powołania obywatelskiego, które spełniał z zaparciem się nieraz własnych interesów.“ (Józef Dunin Karwicki.)

To też „imię ks. Romana i fanatyczną czcią od starych i od młodych wymawianem było!“ (Henryk Stecki: Wołyń). Historyk Wołynia w latach 60-tych kreśli barwny obraz dobrobytu włościan i tysięcy rodzin, które w zarządzie dóbr i fabryk pracę i dostatek znajdowały; kreśli chaty, śnieżną bielą błyskające wśród płodnych sadów, rącze konie, piękne bydło, znaczące okręg „kniażyny“.

Ale zarówno ważny był wpływ w moralny: „Za powrotem Sanguszki z wygnania ustały hulaszcze zjazdy, poziom duchowy i moralny się podniósł. Zato zabrano się do pracy...“ (Ludwik Dębicki.) Sama postać księcia jego kalectwo, o przebytych świadczące cierpieniach, spartański sposób życia, z długich lat wygnania wyniesiony, działały

na umysły — „była to jakby ciągła afirmacja, dźwignia i jakby miara wielkości sprawy, co taką daje moc wytrwania. (Ten sam). Nawet tak uszczypliwy nieraz Tadeusz Bobrowski mówi ze czcią o mężu „niezrównanej dobroci i niezłomnego charakteru“ i o ogromnym wpływie, jaki wywierał „nie dlatego, że magnat, ale pomimo, że magnat“.

„Mimo wielkiej miłości dla swej dzielnicy, nie zasklepiał się w niej, droga mu była cała ojczyzna“. (Romanowski.) Stroskanemu coraz to smutniejszym stanem swej prowincji, nękanej represjami po r. 1863, Galicja wydawała się „krajem swobody i swobodn go rozwinięcia się“. Namawiano go wtedy, aby osiadł w Krakowie, dla odpoczynku po życiu trudów i cierpień. Odpowiedział na to smętnie: „Gdybyż to można z sobą zabrać groby?“ (L. Dębicki).

Do grobów owych w Sławucie, gdzie spoczywali żona, siostra i ojciec, przybyła w ostatku trumna Matki, która zmarła w Gumniskach w r. 1851. Syn, tak bardzo przez nią ukochany, przeprowadził zwłoki do Sławuty i całą drogę im towarzyszył.

Na straży grobów i pamiątek pozostawszy, coraz to bardziej osamotniony, coraz mniej rozumiany od ludzi, „znaczył jednak w Polsce wiele“, aż po sam koniec długiego żywota.

„Bohaterstwo w nim było — mówi St. Tarnowski — była ta głowy i karku nieugiętość, która podłazić nie umie. A tacy ludzie, do zręcznego spraw prowadzenia niezawsze zdatni, stworzeni są nato, by wyobrażać sprawę i ideję przechowywać.

„To też, jak na wcieloną ideję, patrzyliśmy na niego, i kiedy zabłąkani w zabiegi, kompromisy — słuszne i potrzebne — ale podłażące, chcieliśmy wiedzieć, czyśmy się w nich nie zabłąkali, szukaliśmy igły magnesowej we wielkiem sercu i polskiem sumieniu niemylnem tego, w którym

była godność taka, że nie zaprzeć, ale tylko zataić jej nie mógł, choć wiedział, że idzie o wolność i życie.

„Młody był, kiedy się dostał do niewoli, a kiedy z niej wrócił, był głuchy; nikt nie zgadnie, jakby się był rozwinął, gdyby był żył, jak drudzy...“

„Ten jeden szczegół jednak wystarcza, aby się stał chlubą narodu... Nie był ani księciem hetmanem, ani księciem wojewodą, ale był Księciem Niezłomnym.

ANEKSY



OFICYNA PRZY STAJNIACH w SŁAWUCIE
mieszkanie ks. Romana po powrocie z wygnania do śmierci

Według akwareli współczesnej

KS. EUSTACHY SANGUSZKO DO SYNA ROMANA

Listy, pisane w czasie służby ks. Romana w kawalergardach.

[Bez daty].

Mój kochany synu!

Widzę nieco niespokojności w Twoich listach i że dajesz się obarczać nudom — mówiłem Ci i pisałem, i z doświadczenia przekonałem się — iż karjery młodych ludzi, które się różowo i kwiatami usłane poczynają, bywają nadal płoche — pochlebiam sobie i polegam na gruntowności Twego charakteru, że Cię początkowe ciernie odstręczać nie będą. Nie masz nic przykrzejszego, ani nie wydarza Ci się nic gorszego, jak i drugim młodym. I owszem, masz awantaż i pomyślność, których drudzy nie mają, a jeszcze powinieneś być zapewnionym, że z Ciebie oka ani w dzień, ani w nocy nie spuszczam. Jakbym tylko widział jakieś cierpienie nad Twoje siły — tobym Ci je bez żadnej uwagi skrócił. Zatem nie przypuszczaj do siebie tych Filantropjów wszelakich, nieszczęść jakowych i zmartwień idealnych — utrzymuj się w swoim dobrym humorze — bądź poczciwym i bogobojnym — a gdyby nawet wydarzyły się jakie przykre kawałki, których dotychczas nie widzę, to Ci je nasz Pan, wysoko mieszkający, sowicie wynagrodzi. Taki to jest bieg rzeczy i świata, wierz memu doświadczeniu i przywiązaniu, które nigdy nie zawodzi.

Bywaj mi zdrów, mój Romanie.

E. S.

Żytomierz, 3 février 1820.

...Vous ne vous trouvez à Pétersbourg dans aucune autre intention que de faire votre service et de marquer à notre Souverain la reconnaissance que nous lui devons en famille. S'avancer par intrigue, par protection, par tous ces moyens, préférez plutôt de rester sous-officier trois ans, s'il le faut.

17 febr. 1820, ze Sławuty.

Twój list, kochane Dziecię, bardzo mnie ucieszył, posłałem go też Matce. Niespokojny byłem, by Ci nieprzyjemność Twej momentalnej pozycji nie dała miętkości w charakterze, lecz z niego uznałem, żeś tylko dobry, szczerze nas kochający, ale nie miętki. Mało na świecie jest ludzi dobrych, trzeba żyć między znajomymi, jakoby w ostrożności wojennej, bo jak tylko pomiarkują, że człowiek jest *Dobrutki,* to starają się go zrobić *Głupiutkim.*

Jeżeli do Septembra byś nie zaawansował, to podasz się w odstawkę, a teraz bądź cierpliwy.

Posłałem Ci wczoraj 5930 rubli. Szanuj pieniądze, gdyż golizna u nas niesłychana.

5 maja 1820.

...Co do gospodarstwa Twego, byłbym za tem, gdy się nie spodziewasz prędzej, jak w 7-brze zostać oficerem, dwa konie wierzchowe i dwa piękne do dorożki powinny wystarczyć do Twojej zabawy. Choć 4 konie tylko potrzebujesz, posyłam Ci 7, a to dla przypadku, iż może się który skaleczyć, 3 na sprzedaż możesz sobie wyłączyć; jeślibyś też myślał, że trzeba komu uczynić ofiarę z konia albo z koni, to te trzy gniade, zostawione od czwórki, możesz na to użyć. W tem wszystkiem rób, jak Ci się podoba, bo, dzięki Bogu, masz rozsądek i miarę roztropności, staraj się ochraniać pieniędzy, które bardzo rzadkie u nas.

Rady ojca przywiązanego skracają wiele czasu w nabyciu doświadczenia, więc i owszem czytuj i odczytuj te listy, w których wypadło mi dawać rady moje, a strzeż się najmocniej miętkości charakteru, któren wadą jest powszechną narodu naszego. Bez poufałości przy grzecznych postępkach czuj się zawsze.

Napisz mi tedy jasno i czysto, co masz i czego Ci potrzeba... bez trudów w początkach trudno przyjść do czegoś na świecie, i dlatego tyle jest Ichmościów niedopieczonych ani niedowarzonych...

14 Julji 1820, z Żytomierza.

Od kilku niedziel nie mam od Ciebie ani jednego listu, mój Panie Romanie.

...Ilem prawie widział Polaków naszych czyto w ruskich, czy niemieckich służbach, przez niedostatek narodowego charakteru zawsze biorą krój i zażywają mowę tego wojska, gdzie służą; unikaj takiego halsztukostwa!...

28 januar 1821. Żytomierz.

Woytkiewicz jedzie do Petersburga, traktuj go, jako domownika i człowieka z familji, którą lubię i szanuję. Posyłam Ci przez niego 5000 rubli. Szanuj pieniądze ile możności, zawsze przystojnie się obchodząc, gdyż ich trudno zebrać.

Jestem punktem teraz pośredniejszym między prawie dwoma biegunami świata, pod któremi moja kochana familja jest rozsadzona — myśląc o Rzymie, nie możesz ominąć Sławuty, ja zaś obosiecznie strzelam, wnosząc prośby do Boga za Was.

. . . .

Zawsze pisać Ci będę, że puszczenie się z biegiem losu — bez wielkich zalotów — jest najpewniejszem szczęściem człowieka. Co się zaczęło robić, to w tych przedsięwzięciach trwać trzeba — *ibant ubi poterant — et quam non poterant, stabant.*

Jakby było nadto źle, to się jakoś stamtąd wydobędziesz.

. . . .

Największą dogodnością Twojej edukacji jest, że się znajdujesz między ludźmi nieznajomymi, w gronie swoich byś zmiętczał, sflaczał, a wstręt i ostrożność w obcujących daje człowiekowi twardość, miarę ostrożności i większą moc charakteru. Baraszkować się i bawić jest zawsze dosyć czasu, lecz do baraszkowania i zabawy trzeba czuć w sobie tę radość i pewność, żem człowiek tęgi, nie flak; grubość, niedelikatność nie wchodzi

w tęgość człowieka, i owszem ją szpeci, ale ubiegać się za manjerą i za frazesikami czyni, iż nie będziesz nigdy innym, tylko *un moment, dans un cercle* błyskotką. Flecik Apollina cienko śpiewa przy pałce Herkulesa.

W metrach, których słyszałem z ukontentowaniem, iż bierzesz, miejże kogo do matematyki: — tą jedną nauką różnimy się od bab, bo wreszcie to one do wszystkiego przemyślniejsze.

Niechże Cię Bóg błogosławi, mój kochanku, tak, jak Ci z serca życzę i Cię ściskam.

E. S.

Posyłam Ci przez Woytkiewicza 5000 r(ubli), żebyś nie był obligowany tam się zapożyczyć. Już to dawno, jak ja byłem młodym; pamiętam tylko, że człowiek młody powinien być jak chart głodny osypki, tak on pieniędzy, by dobrze ścigał i by był wołczarzem, a Waść coś mi się zdaje, że groszyk troszki trwonisz!... Żart na stronę. Pragnę abyś żył przystojnie, ale i oględnie. A gdy nie możesz mniej ekspensować, wolałbym sam suchy kawałek chleba jeść w domu, jak Ciebie widzieć między ludźmi w nienależytem *sostojanju.*

[Bez daty].

Mon bon Enfant, il y a une teinte de tristesse dans tes lettres, ce qui prouve, que tu n'es pas trop content... Il faut toujours avoir le bon esprit et le courage de prendre le temps comme il vient... Songe à ta santé... suis à la lettre ce, que je te dis, car je suis un père qui t'aime beaucoup et qui n'ayant pas été mené — a en toute chose acquis beaucoup d'expérience, que l'on aurait très bien fait à m'épargner.

Ménage où tu peux et sois *przystojnie* là où il faut.

[Bez daty, ale, jak z treści wynika, pisany po śmierci ks. Doroty, zgasłej w Rzymie 3 maja 1821 r.]

...Couché vis à vis de l'image de notre Ange, ma seule idée consolante est qu'elle est plus heureuse que nous — elle ne peut être que notre Ange Tutélaire. Quand je te verrai, je te dirais une apparence(?) que j'ai faite. Il faut que cela reste entre nous — mais cet aperçu me ravigote.

Je ne doute pas que tu demandes un congé pour venir nous voir. Nous mêlerons nos larmes ensemble, cela adoucira notre misère. Fais attention à ta santé, la vie de ta Maman et peut-être la mienne en dépend...

En te sachant malade je ressens à des vibrations de mon âme que je n'ai pas encore tout perdu en 1821...

[Bez daty].

Mimo iż się spodziewam i mam nadzieję w Bogu, że przy Twoim kaszlu, kochany Romanie, nie cierpisz jeszcze na piersi, lecz mając na pamięci, że złe uprzedzać należy w materji zdrowia, posyłam Ci Maliszkiewicza, ażeby Cię zdecydował do podania się w odstawkę i starał się o najwygodniejszy dla Ciebie powrót, dlatego piszę do G(enerała) Uwarowa, prosząc o przyśpieszenie Twojej odstawki.

Nie mając żadnego teraz widoku, nie masz mieć tylko największą uwagę na zdrowie i byś chyrlaniem nie pozbawił rodziców reszty szczęścia, które w Was pokładają. Niech Cię Bóg błogosławi.

E. S.

[Bez daty — pisany do synów w podróży 1824 r.]

J'approuverai toujours ce qui pourra contribuer à vos lumières, à Votre avenir, à vos moyens. Malgré que nous soyons dans une position, où tout ce qui relève l'âme est presque nuisible à la jeunesse et qu'il serait à propos qu'elle ne sache que son signe de croix et savoir être passive dans la campagne. Cependant, si la connaissance du monde peut Vous inspirer de l'envie pour la seule vocation qui Vous est ouverte en la prenant sous un point de vue sage, elle contribuera plus philosophiquement le sort de n'être rien et de végéter. Car elle débarasse l'âme de la couche à laquelle l'ignorance, la sottise et l'inexpérience l'assujettissent — et incline son penchant vers le petit bien, qu'on peut faire. Mon raisonnement vise donc que si Vous croyez que les voyages Vous développent, continuez les — en Vous gardant cependant des préventions contre Votre pays, tel qu'il soit.

[Bez daty, lecz, jak z treści wynika, z początkiem roku 1831.]

Przy Twojej zgryzocie choroby łatwo się mieszają. Zlituj się nad nami i myśl o Twojem drogiem dla nas zdrowiu...

Przy tak okropnej pladze (klęsce głodu) Bóg Ci daje sposobność wielkiej zasługi, ta Ci nagrodzona będzie nawet w szczęściu tej, którą opłakujesz i my opłakujemy. Bądź dużo na powietrzu: na nerwy pierwsze lekarstwo, i staraj się wypić zawsze cokolwiek wina...

Ulituj się, jeszcze raz proszę, nad nami.

20 stycznia 1831. Sławuta.

Proszę Cię, mój Romciu, bez ważnej przyczyny nie zapominaj o mnie, i nie rozpędzając żalu swojego tak słusznego, przekonywaj się, że bez woli Boga nic się nie dzieje na świecie.

Jesteś jednym z najuczciwszych ludzi, których kiedy zdarzyło mi się widzieć w życiu, więc Cię Bóg przy naszych modłach i Twojej cnocie będzie błogosławił, a nie odmawiaj rodzicom blisko ich końca szczęścia tak krótkiego, które na Tobie i bracie Twoim zasadzali. Brata uściskaj ode mnie, żonę jego i Jadwisię i pamiętaj o najprzywiązańszym ojcu.

E. S.

Listy, pisane w czasie zesłania ks. Romana na Sybir i pobytu tegoż na Kaukazie.

Pour mon fils Roman Lubartowicz Sanguszko.

Dt. 9 avril 1832, Sławuta.

Mon cher Roman! Par un ordre suprême la possibilité t'écrire est accordée, je suppose qu'il est de même de tes lettres pour nous, pourvu que la correspondance passe par l'entremise de S. E. le général Benkendorf. Je profite de ce bienfait avec d'autant plus de reconnaissance, que je ne puis me dispenser de t'écrire à cause d'un certain individu à la *Kazienna Pałata* de Kijów... qui avec le *skarbowy* Lipowice m'ont déclaré mort, dans ma terre

d'Ilińce... m'ont confisqué la terre, bouleversé l'économie... L'écho de cet éclat peut parvenir, mon pauvre garçon, jusqu'à toi et surcharger d'un nouveau poids ton paquet de peines. Je désire donc de pouvoir te rassurer au plutôt sur l'existence de ton père. Ta mère et la petite se portent bien...

Ton chien, *Łysio,* se promène avec moi et du reste il est toujours sur le banc le *l'officyna,* pour voir, si tu n'arrives pas. Ton Paul est ivre dès le matin à ce qu'il dit de regret après toi... Adieu, mon cher Roman, je te bénis et t'embrasse, de tout mon coeur.

Ton affectionné père

E. Lubartowicz Sanguszko.

30 juin 1832.

...J'ai eu de tes nouvelles par R[udnicki]; l'assurance que tu te portes aussi bien que ta complexion et tes malheurs le permettent m'a beaucoup consolée et ta mère. Elle se porte bien, Dieu merci, et la petite aussi. Elle est charmante, spirituelle et bonne. Papa est chez elle en vénération, elle prie Dieu devant ton portrait, elle l'embrasse si gentiment et si cordialement.

Je te donne ces détails non pour t'attendrir; du courage, mon Enfant, et de la fermeté sans roideur, voilà ce qui convient à l'homme, et cette qualité qui te distingue fait l'orgueil de tes parents et les console...

14 juillet 1832.

On a la bonté de me faire passer de la Chambre de S. E. Mr. de Benkendorf ta lettre datée de 8 juin de Kasań. Mon cher Roman, il faut prendre le temps comme il vient; te sachant malade à Kaługa, sans avoir aucune nouvelle directe de toi, je t'ai cru fini et j'en ai même rendu grâces au Ciel, car à choisir entre deux maux, je préférerai pour toi un repos imperturbable à la passe d'un hôpital à l'autre. Par ta dernière j'apprends que ta santé est en partie rétablie, j'en rends grâce pareillement au Ciel. On aurait beau donner la tête contre le mur, que l'on ne trouverait d'autre parti à prendre que celui d'être soumis à ce qui nous arrive...

Je t'écris en français, ce qui est presque ridicule mais c'est en considération d'un examen plus facile...

Je quitterai le pays avec répugnance. Certes c'est de l'imagination, vu l'immensité de distance mais il me semble, qu'en passant en Galicie je me sépare davantage de toi...

Dt 7 Août 1832. Sławuta.

Cher Roman, je pars à l'instant pour la Galicie; malgré que je compte de m'y retrouver au sein de ma pauvre famille, je quitte Sławuta avec bien du regret... Certes c'est de l'imagination ...vu l'impossibilité, dans laquelle je me trouve de porter le moindre secours à ta misère, mais il me semble, quand je chemine vers l'Occident, tandis que tu te traînes vers l'Orient, il me semble, dis-je, que nous nous isolons encore davantage. Si la Providence te fait arriver jusqu'à ta destination, et il ne faut rien moins que son appui pour que tu y arrives avec cette manière accablante de cheminer, nous nous trouverons à peu près en antipodes.

Depuis 15 mois tu es prisonnier, nous voilà seulement à la préface des peines que tu dois subir. Oh mon cher Roman, il faut de la persévérance pour toi et pour tes parents afin d'envisager une position comme celle-là, sans se laisser abattre, mais nous ne sommes pas les seuls. Songe que le bonheur n'est pas de cette terre, le malheur en est l'élément. Le bonheur forme des poules mouillées et le malheur des hommes.

. . . .

Mon cher enfant, il faut partir, il faut te tourner le dos diamétralement, au lieu de te suivre, s'il m'était permis, au fond des enfers pour te porter quelque soulagement.

Du courage, cher fils, et de la persévérance, je ne suis pas sur des roses non plus et malgré mon âge je me ferre à glace, pour ne pas devenir plat pied. Tout vacille autour de moi, tout ce qui m'environne est une reminiscence ou à ta soeur, ou de ta femme, ou un souvenir de ma famille absente et pas heureuse, ou un appel à toi, mon cher enfant que j'embrasse et je bénis de tout mon coeur.

Eustache prince Sanguszko.

Rjadowomu 1 Liniejnawo Bataljona Sybirskawo połka,
Romanu Sanguszkie
w Tobolskie
na Zacharskoj ulice, w domu kupca Strelcowa.

Dt 8 octobre 1833.

...Tu me dis que tu as été au camp durant deux mois, j'aurais voulu savoir, si tu t'y plaisais mieux qu'en ville. Le grand air... la simplicité de bonne foi du soldat, quand il est bon, doivent être une antidote contre les soucis et, un changement dans une situation pénible est toujours une espèce de distraction supportable. Je connus dans le régiment Baur autrefois plusieurs officiers et soldats sibériens, c'étaient des gens aussi beaux de figure qu'attachants. L'absence au camp a dû faire tort à tes légumes? pourquoi ne m'en dis tu pas un mot? En général, nos lettres se ressentent de ton nom de Roman, mon cher enfant, tout y est âme; il n'y est jamais question de ce que tu manges, ni, outre l'eau, de ce que tu bois; je parie bien qu'il n'y a pas de luxe à tes repas, si du moins tu avais un verre de *Ierafiejka;* quoique échauffante elle est bonne. J'aurais voulu t'envoyer quelques bouteilles du vieux vin hongrois, mais comment m'y prendre? Je l'ignore...

16 mars 1834.

J'ignore, mon cher fils, si c'est pour ton bien ou non, que tu as eu le sort d'être transféré à l'armée de Caucase. Mes pensées avaient contracté l'habitude de te joindre à Tobolsk, cependant la nouvelle de ta translation ne m'a point atterrée. L'effet qu'elle a fait sur moi est comme si tu avais passé d'un horizon sombre à un horizon plus clair...

Rjadowomu Tenginskawo połka,
Romanu Sanguszko
br. Gorod Stawropol.

...Je ne pouvais prendre sur moi de t'écrire avant que je te savais sur place; il me paraissait pour le moins, que tu gisais dans un hôpital, et avec ta pauvre santé et un changement si

subit de 30 degrés de froid et plus contre un même nombre de chaud pourrais-je concevoir une autre idée?

Il est sûr que t'avoir vu à 23 ans poitrinaire, ne pas ignorer que la faculté de Pétersbourg t'a declaré étique et savoir que tu respires encore après les fatigues les plus pénibles-est au-dessus de mes conceptions. Je n'en rends que plus les grâces ferventes au Père de tous les pères...

10 Juin 1834.

Mon cher fils, j'ai fait passer à ta mère ta lettre du fort de Niewinnyj Mys: j'y ai lu avec plaisir que ton âme n'est pas abattue. Ferre toi à glace contre la faiblesse et l'abattement qui dégrade l'homme et le rend effectivement malheureux. Dieu merci, tu n'as pas ce caractère, et quant à moi, grâce à l'armée active où tu te trouves, je ne redoute plus pour toi cette apathie, cette agonie apathique qui aurait pu à la longue te gagner dans le néant de Tobolsk. Car dans ces parages la rigueur du climat empêche l'homme presque pendant toute l'année de pouvoir fixer la voûte azurée et là, par ce manque de contact de la Créature avec son Créateur, l'homme doit être à moitié privé de l'élan de la pensée que donne cette vue sublime...

25 Août 1834, Sławuta.

Il y a longtemps que je ne t'avais écrit et que je ne t'ai pas donné même cette pauvre marque de mon intêret, mais ma bénédiction t'accompagne à chaque instant du jour, ainsi que le voeu que ta patience et ta résignation ne s'affaiblissent pas à mesure du temps et de l'épuisement de tes forces. Songe que c'est tout ton bien pour le présent et une propriété sacrée pour la garder dans l'avenir, c'est par conséquent aussi le bien le plus précieux de tes parents et de ton enfant. Songe, que c'est la religion dont tu remplis le culte par ce sacrifice. Sans doute l'ennui, le manque d'aisance, mille privations en tout genre, plus que pénibles peuvent réussir à te présenter parfois cette sublimité de vertu sous un jour aride et peut-être humiliant, mais songe toujours, mon cher fils, que l'idée d'un abandon pusillanime n'ait jamais prise sur toi, et tu attacheras même encore ton vieux père à la vie...

Ces jours - là j'ai été à Kijów... à la grand-garde la chambre où tu étais enfermé, la terrasse qui te servait quelquefois pour prendre l'air, m'ont intéressé bien vivement. Adieu, mon cher enfant, que Dieu veille sur toi, qu'il te donne la force pour supporter les fatigues autant que l'en prie le plus affectionné des pères, adieu

E. Sanguszko.

Septembre 1834.

...Il y a à peu près deux mois que je suis réuni à ta mère et à ta fille, mon cher Roman. Ce n'est pas pour flatter ton amour paternel, je te dis la pure vérité qu'il est impossible de voir un enfant plus jolie et plus agréable que ne l'est Marie... Dieu te l'a accordée, le sort t'en prive — ce sort, qui te poursuit et elle par conséquent dès le berceau. Peut-il être douteux que Dieu ne t'en tienne compte un jour et à cette chère enfant.

Le sentier de la vertu est hérissé d'épines, tu l'as foulé le long de la moitié de l'hémisphère pour atteindre d'autres peines encore. De la patience donc, mon cher enfant; pareil sacrifice fait de coeur, et l'exemple ne s'effacent jamais. Que Dieu te bénisse et qu'il continue à te donner une âme à l'épreuve des revers. — Adieu.

E. Sanguszko.

[Dopisek matki:]

L'après dîner j'étais chez moi occupée à t'écrire, mon Mari dans sa chambre faisait la même chose, tu vois que les coeurs de ton père et de ta mère sont pleins des mêmes sentiments: nous ne pensons qu'à toi. Tu peux toi-même faire ce calcul: nous avons toujours aimé nos enfants si tendrement — tu conçois combien cet amour a augmenté par ce qui est arrivé. La petite est déjà tout-à-fait bien, le petit ruban rose c'est la mesure de la petite, dis-moi s'il y a une grande différence avec la dernière que je t'ai envoyée. Elle me semble très grande pour son âge.

[Bez podpisu].

Sławuta, 11 Novembre 1834.

...Je t'ai parlé des nos affaires clairement, j'ai assez de confiance dans ton moral pour être assuré que ma narration n'empire pas ton triste état... Je compte sur l'espoir qui ne doit pas t'abandonner, ni tes parents non plus: que, lorsque le calice d'amertume sera vidé par nous au fond, peut-être nôtre tour viendra-t-il?...

[Dopisek p. Zacheusza Woytkiewicza, długoletniego rządcy dóbr sławuckich i przyjaciela domu].

Dawny sługa pański nogi całuje i pracuje w nadziei, że jeszcze będzie miał szczęście oglądać Szanowną Osobę Jego.

22 Stycznia 1835.

...Tyle mam umysł zatrudniony Tobą, mój kochany Synu, że przez ogrom myśli, nabłądziwszy się po stepach, gdzie jesteś, zaledwo spocząć mogę, gdy poświęcam Bogu niedolę twoją, którą my, Rodzice, wspólnie dzielimy... Adresuję do Piatyhorska; niewiadomość moja podwojona zostaje wątpliwością, czy masz jaki zapasik, tyle Ci konieczny z przyczyny kalectwa. Na podaną prośbę, o której donosiłem ci w ostatnim liście, nie mam jeszcze odpowiedzi. Cieszą mnie nadzieją, lecz nadzieja moja cała, po Bogu, jest w Tobie i w duszy Twojej; chociaż ze drżeniem, zdaje mi się zauważyć, iż czas i cierpienie zaczynają brać wpływ na niej, ale precz ta myśl ode mnie!...

25 Jan. 1835.

...Żyd, który się widział z Tobą w Stawropolu, przybył do Woytkiewicza... Widok tych, którzy się w tamtych stronach z Tobą spotkali, tylko mnie smuci.

Rady żadnej dać Ci nie mogę względem Twojej destynacji i kampanji powtórnej, bo ta rzecz nie od nas zależy. Raz Cię Bogu oddałem przy naszem ostatniem rozstaniu się i na tem poprzestaję. Tuszę jednak, że moja ofiara przyjęta została, gdy tylko żyjesz. Nie spodziewam się, aby Ci kampanję powtórną koniecznie kazano robić, gdy jesteś kaleką. Oko już jedno straciłeś w dziewięciomiesięcznych etapach, drugie jest osłabione. Pomnij, że, choćby Ci wody ulżyły na nogę, to trudy wojny, kli-

mat pewnie Ci pogorszą Twój stan, i wzrok zupełnie stracić możesz, a wtedy co poczniesz? Lecz jeśli na to uwagi nie będzie, to wtedy zgodzimy się z wolą Najwyższego...

11 Mars 1835.

...Tes scrupules au sujet de l'arrêt qui entrave ma fortune, sur les petites dettes qui n'existent plus et autres scrupules pareils... cela n'est pas si tragique, il faut bien souffrir quelques contrariétés, celles-ci sont moins que rien, pourvu que tu te portes bien et que tu ne sois pas abattu.

Depuis ta blessure... mon avis serait que tu demandes la permission de prendre les eaux, sans cela, mon cher Roman, tu risques d'être estropié pour le reste de tes jours... Crois-moi, car l'instinct d'un père attaché est toujours à suivre — tes yeux aussi doivent être dans un grand délabrement et tout ton corps éclopé a besoin d'un repos radical, sans cela ta machine viroterait trop sensiblement pour pouvoir jamais être relevée.

14 Julii 1835.

...Odebrałem list Twój z Piatyhorska... Nie zamilczę Ci, kochany Synu, że ten list i parę poprzednich srogo mnie zmartwił; widzę, iż Twoja dusza zaczyna się poddawać przeciwnościom, które nas gromią. Pomnij, że tego ciosubym nie wytrzymał. Bo w co się wtedy obróci przybytek wpływu boskiego, którego pobyt każda istota szlachetna czuje w sobie?

Nie przypuszczaj, że nauka łatwo się daje... posag biedy zwiększa się w oddaleniu i przywiązanym rozmyśle. Pomnij od lat tylu na ciosy, które wytrzymuję bez zmarszczenia czoła. Wygody, jakie mieć mogę, nie mieszczą się na szalach stosunkowych duszy, i owszem, jej hart niweczą.

Tak, kochany Synu, poddawajmy się z pokorą, nawet życzliwie, wyrokom nam przeznaczonym, cierpmy spokojnie, wtedy i zasługa ma miejsce przed Bogiem i światem...

8 Aug. 1835.

...W Twoim (liście) z 11 Julii radzisz mi życzliwie jechać do wód badeńskich...; do wód piatyhorskich nie pojechałbym, ale poleciał...

Listy nasze nie są czem innem, tylko zaświadczeniem, że żyjemy, rady w nich próżne, trzeba żyć z dnia do dnia.

Względem prośby mojej, wysłanej w wilją Świąt Zielonych, rezolucji nie mam żadnej.

Pismo Twoje, dawniej tak czytelne, bardzo się zmieniło; niespokoi mię silnie, jak Twój wzrok idzie? Listy Twojej Matki, długie i drobno pisane, a odczytywane z chciwością, przy mizernem światełku, doreszty Ci go zgubią. Niech Cię Bóg pociesza i błogosławi...

...Le 26 ce Mai c. a. j'ai écrit une supplique à sa Majesté... Elle est contenue dans des termes très courtes qui disent que jusqu'à présent depuis quatre années je n'ai jamais osé implorer Sa Majesté, mais puisque maintenant tu es estropié et que ta santé est tout-à-fait délabrée, je mets au pieds du trône ma très humble requête.

J'ai regardé toujours ce procédé comme une dernière ressource mais puisque tu es estropié et qu'il n'était question d'aucun allégement, pouvais-je faire taire mes entrailles de père et Dieu sait si j'en ai pour toi! Cependant, mon cher, il ne faut pas bâtir sur une supplique, une fois même je voulus te la cacher, mais c'eût été de te faire du tort...

6 Oktobra 1835.

...Na prośbę moją, podaną 25 maja, nie zyskałem odpowiedzi, przedstawienia twoich naczelników szczęśliwszemi nie były, zatem cierpmy, mając ufność w miłosierdziu boskiem.

Pierwszy raz od rozstania się naszego, wyznałem Ci, że los mój nie jest znośniejszy od Twego, bo jako Ojciec, nie mogę nie dzielić niedoli Twojej, a zgryzoty, interesa, widok rozstroju, z którym pasuję się prawie bez celu, na jednej szali nas obydwóch mieści.

Nie mogę Ci zamilczeć, że listy, które Ci piszą przyjaciele Twoi, wplączą Cię mimowoli w tuzinkowy sposób myślenia. Strzeż się tego, Dziecię moje. Mało kto ciebie objąć powinien. Niech nie ciało duszą, ale ta nim włada... Ty nie masz czasu być dobrym, bądź tylko wytrwałym, jak nim do tej pory byłeś. Myśl się szczęśliwym, chociaż w biedzie, nie ten świat wszystko kończy.

Utraciwszy żonę, podobnegoś życia szukał, masz go. Czerpaj w niem, prócz cierpienia, nie kwiaty, ale balsam pociechy wewnętrznej i korzyść zasług.

1836.

...Mon cher enfant, ce qui me fait bien de la peine ce sont tes maux de tête: suite de quelque refroidissement, tu n'en as eu que trop d'occasion...

C'est bel et bon de persuader à un malheureux d'être calme et tranquille, c'est exiger que l'on soit brute. Il faut sans doute faire ce que l'on peut pour n'être pas abattu, mais comment soutenir la misère sans santé? Ne nous enfonçons pas dans ce dédale — souffrons et que la volonté de Dieu soit faite!

Réponds-moi au sujet de ton semestre: je crois que l'on n'en donne qu'en hiver et je tremble à la préposition d'un voyage si long, pour un homme dont la santé doit être usée. Que Dieu t'éclaire, mon cher enfant, je n'ai pas le coeur de te donner un conseil à cause de l'extrême éloignement et de la brièveté des urlopy. Adieu, sois assuré de ma tendresse.

...Un camarade à toi, soldat démissionné, raconte qu'il t'a vu au mois de Juin. Il me dit que tu te portes bien, que tu remplis ta carrière avec courage, que tu es très *basané,* mais il ne manque pas d'ajouter que ce n'est que ta teinte extérieure, qui est noire, mais que ton intérieur est pur et sans tâche.

. . . .

Ta fille est très heureuse de ta lettre, elle commence très doucement à s'orienter dans ce monde, dont l'entrée n'a pas été semée des roses pour ce cher enfant...

14 Novembre 1836.

Odebrałem list Twój, kochany Synu, 18-go octobra pisany. Donosisz mi, że znowu w ramię jesteś rannym, i że po dwudziestu dniach rana goić się zaczyna, który dowód twojego odznaczenia się podchlebia sercu Ojcowskiemu i starego żołnierza — a uszczęśliwiałby, gdyby był wsparty pewną nadzieją poprawy losu Twojego. Lecz dziś w nader smutne tylko wpędza myśli: przy osłabionem zdrowiu Twojem, przy kalectwie na nogę, przy

stracie oka, teraz, może być, i władzy w ręku, cóż Ty dalej poczniesz w stanie żołnierskim i tak twardej wojnie?

Nie wiem, jakie są zamiary Najwyższe względem osób w położeniu Twojem, czyli można lub nie prosić o odstawkę? Jakiś czas wyczekawszy, napisz mi, jakie mogą być Twoje zamiary?

Skarżysz się, że rzadko do Ciebie pisuję, kosztuje mnie wprawdzie wielce to częste milczenie, bo Ty jesteś najdroższym darem z tych, co otrzymałem od Boga, ale przez to samo, że Cię tyle kocham, będąc w położeniu, że żadnej rady dać Ci nie mogę, w niczem Ci podać ręki, gwałcę się poniekąd, pisząc próżne do Ciebie słowa. Nie mam nic tyż dobrego donieść o sobie... Każdy krok mój jest osaczony przeciwnościami. Lecz mniejsza o to, gdy pomnę o Tobie, o innych moich dobrych dzieciach — i że tu nic nie jesteśmy winnymi, zapominam biedy...

Twoja Marysia jest przecudowną dziewczynką... względem Buni, Ciebie i Dziadzi jest istnym aniołkiem...

Skarżysz się także, mój Synu, że zapomniano tu o Tobie; chyba mówisz o tych, co nie warci o Tobie pamiętać. Ręczę Ci, że wielu prosi Boga za Tobą, ale że pamięć gładzi przeszłość, cóż tu jest złego? — Któżby z nas udźwignął inaczej tę masę niedoli, przybarczającą w ciągu życia — ile Ty tylko dobrze się prowadzisz, to odświeżysz nawet obcym pamięć o sobie...

Ściskam Cię, mój kochany Synu, najserdeczniej prosząc Boga, ażeby Ci ta rana nietylko nie zostawiła bólu, złych skutków, ale żeby ci na dobre wyszła.

22 Januar, 1837.

Kochany Synu! Opóźniłem się z pisaniem w nadziei, czyli nie usłyszę coś dla Ciebie pomyślnego; lecz gdy głucho, zatem dalej odnówmy w sobie zobopólne pociechy, które Twoje prowadzenie się nam sprawia, a zostawujmy nadzieję przyszłości... Nic tu na tej ziemi nie uiszcza się bez celu, choć wszystko na niej próżnością się być wydaje. I te chwile, które przepędzasz w boleści, daleko od Twej rodziny, i inne przygody liczą się niezawodnie w obrachunku sądów boskich, nagrodzonemi będą i być muszą. Tak, mój Synu, im więcej zbliża się człowiek do portu zbawienia, tem jaśniej rozpoznaje szczęśliwą przyszłość, którą nam upewnia ta zacisz obiecana i uśmierzająca burze, tu z nami walczące.



KOŚCIÓŁ w SŁAWUCIE
Groby rodzinne ks. ks. SANGUSZKÓW

Według akwareli współczesnej

Położenie Twoje niniejsze znacznie powinno być ulepszone przez awans i nadaje Ci bez wątpienia prawo do użycia coś więcej wygód potrzebnych zmęczonemu Twojemu jestestwu. Podwoiłbyś zgryzotę naszą, gdybyś przez niedorzeczną delikatność nie żądał od nas pomocy, którąby Twój byt poprawić mogła, i co nam jedyną przyjemność sprawia.

Masz skłonność od dzieciństwa do rad dawania; dowodzi ona dobroć Twoją. Lecz w takiej odległości, po sześcioletniem przeszło oddaleniu, daremnie się niem trudzisz. Co chwila trzeba innego obrotu; gdyby nie wyraźna łaska Boga, dawnoby w naszym domu nie było się poco schylić! Natomiast donoś mi, co troski ojcu ulży: o polowaniu, o koniach i o pustelniczem Twojem gospodarstwie.

. . . .

Nigdym Ci nie donosił, że Twoja Matka jest skirem zagrożona, dopiero gdy się wielu doktorów zgodziło, że niema tego niebezpieczeństwa, pisałem do Ciebie o Jej słabości...

Marysia Twoja jest cudowna dziewczynka. Gdybyś ją był znał przed rokiem, byłbyś rozpaczał nad jej natrętną żywością i chimerami. To wszystko ustało, żywość w najlepszym sposobie użycia, czułość i rozsądek wielki, bez okazywania, iż poznaje doskonale swoje położenie. Ty nigdy z Jej myśli nie schodzisz, szpieguje, podsłuchuje, aby słyszeć o Tobie. Bunię i mnie kocha i szanuje, a P. Franciszek (Majewski), że niedawno Cię widział, z uszanowaniem widziany.

11 Febr. 1837.

...Chlubna była Twoja służba żołnierska, jako i blizny Twoje. Żal przecież życzliwemu ojcu grubego płaszcza Twego i lederwerku, który Ci życie ocalił. Składając te narzędzia a przywdziewając okazalsze znaki, zachować tę prostotę i prowadzenie się, które Cię szlachetniło w grubym mundurze — prawda, jest to sposób życia nader trudny dla istoty, w innym stopniu urodzonej i wychowanej, ale i to nie tuszę, że udziela świetnej obrony stroniącym od błyskotek. — Bo w przeszłem Twojem położeniu nieomal przymus do niełączenia się i dogodność w samotności chroniły Cię od pokus fałszywych.

[Dopisek matki:]

Życzyłam sobie przypisać się do Ciebie, ale odczytawszy list męża, nie zostało mi, jak tylko go pochwalić i prosić Ciebie, abyś go dobrze przeczytał; nie rozum, abyśmy wątpili o Twojej wytrwałości i cnocie, jest ona najdroższym i jedynym skarbem naszym, może być dla tej przyczyny nadto się o nią lękamy.

24 marca, 1837.

Jedną tylko mam styczność z Tobą, to jest korespondencję. Kocham Ciebie, mój Synu, i szacuję nad wszystko, wszelako zebrać mi się do pisania najtrudniej, pochodzi to stąd, że nigdy nie mam czem Cię pocieszyć, nigdy kropli ożywczej rosy. Bo gdybym Ci mógł przynajmniej donieść o Twej Matce i o sobie, że nam tu nieźle, byłbyś uradowany, ale zwodzić Cię nie chcę. Bieda Twoja, blizny, nędzny sposób życia nawet wyobrażają mi, że lepiej jeszcze w Stawropolu, niż w Sławucie. Już na tej ziemi pomyślność odwinęła się od domu naszego, może na tem lepiej wyjdziemy w przyszłości, a teraz bądźmy tem, czem jesteśmy: poćciwymi i bogobojnymi ludźmi. Porzuć zaś mniemanie, które, jak widzę, Ciebie dręczy, że ja za Ciebie cierpię: byłoby takowe cierpienie bardzo mi miłe, lecz przeciwnie. Rady Ci żadnej dać nie umiem. Niech Cię Bóg w tem oświeca: widzieć Ciebie pragnę nad miarę powiedzenia, lecz czyż to od nas zależy? Bo gdybyś nawet od służby mógł się uwolnić, Rosja pół świata zajmuje, a są gorsze kraje, jak ten, w którym teraz mieszkasz.

Przytem uważaj mnie za dawno obalone drzewo, po którem nietylko ludzie, ale i kozy depczą. Połączenie się z nami, poznanie Twojej Marysi dla Ciebie, jak dla nas, byłoby chwilą najszczęśliwszą. Za urlopem to zdarzenie mniej, jak kiedy, w tym roku, podobnem, gdyż tamte okolice mają mieć szczęście przez Pana być odwiedzonemi.

. . . .

Niepodobna, żebym czasem nie uczuł boleści, nas dotykających, ale gdy się zwracam do istoty mojej wewnętrznej, szczęśliwszy jak wielu innych zaraz zostaję. Ty masz, mój kochany Synu, większy i właściwszy zapas podobnego dostatku. Nim żyj,

nim się utrzymuj, a zkolei oko litościwsze i na nas kiedyś spojrzy. Marysia zdrowa. Niech Cię Bóg błogosławi.

Ludzi tu dosyć choruje. Konie zdrowe, z chartów dużo potraciłem. Sukna istotnie teraz piękne, a owce bardzo idą w górę. Trzy wałachy są tu niesiadane, po lat cztery, i przystojne, i tęgie, stada nie splamią. Skarogniady Bocarys ma nogi, jak z drutu..., ale nie będzie przyjemnym; na ostatniego wybrałem kasztanowatego, bardzo czerbiesowaty, jak dawniej u nas były. Lecz pewnie i czwarty pójdzie, ogier miły i, jak ty, w swoim rodzaju — poćciwy.

Najprzywiązańszy ojciec

E. Sanguszko.

21 Juin, 1837.

C'est une époque de l'année qui me fait penser à toi plus vivement encore qu'à l'ordinaire, car il y a cinq ans nous nous sommes rencontrés à Żytomierz tous deux dans une situation pénible et qui depuis ne s'est pas améliorée. Quant à moi j'en ai eu des beaux jours durant ma vie — malgré une négligente carrière — mais toi, né pur et vertueux, car je dois et me plais de te rendre cette justice, tu aurais dû mériter un autre sort, au contraire, tes moments casaniers de bonheur ont été courts et tu as payé bien cher leur éclipse. Mon cher enfant, rien ne se perd dans la création, encore moins ce qui émane de l'âme. Donc patience, fixe le ciel et console - toi.

. . . .

Le paysan est en bon état, et quand je réfléchis quel est le motif, qui me fait battre les flancs, je me console, car j'ai rempli mon devoir et payé mes dettes. Cela fait rire les rieurs à mes dépens mais j'aime mieux leur servir de divertissement que de tirer les larmes d'un orphelin, d'une veuve, d'un créancier.

. . . .

Ce qui rapproche quelquefois une larme de ma paupière c'est le dévoument de tes quatre lévriers favoris. Vieux comme les rues ils se portent bien encore. On dit, que les chiens ont de l'instinct — ménagent-ils peut-être leur vie dans l'espoir de te revoir?...

27 maja, 1837.

...Co piszesz o Twojej wewnętrznej wesołości, jeszcze niezupełnie nieszczęściami zwarzonej; masz ją ode mnie w spadku, bo, gdy w ciosach sam sobie byłem zostawionym, a te były rodzaju materjalnego, to obijały się o mnie, jak groch o ścianę.

. . . .

Ogród (w Antoninach), mimo chwil paskudnych, jest tyle pięknym, jakim go sobie wystawić nigdym nie zdołał; w gospodarstwie pracuję silniej, jak dawniej, inaczejby wszystko w tych czasach upadło.

Nie opuszcza mnie myśl nadgrody za pracę moją, na pewności jest opartą, na wielkiej zasadzie sprawiedliwości, że na tym świecie nic niema bez celu...

26 Novembre, 1837.

Tes parents remercient Dieu, mon cher fils, de la santé que tu as regagné et dont nous apprîmes la nouvelle par la lettre de 6 octobre v. st.

Je suppose que ton espoir se bornera à bien peu de chose et je ne désire pas que tu quittes Piatigorsk pour un autre quartier qui peut être moins salubre et plus enfoncé.

De nos affaires je n'ai rien de bon à te dire... J'ai un million en drap que je ne puis réaliser, peut-être le choléra y a été pour quelque chose — la misère est extrême...

Mais, mon cher enfant, il ne faut pas se chagriner... le bon Dieu y pourvoira comme à autre chose.

Ta mère va bien, ta petite aussi et voilà l'essentiel.

3 mars, 1839.

Aujourd'hui nous avons reçu la troisième lettre datée de Moscou.

Il faut tâcher d'être, si on le peut, un peu tranquille, moins t'exposer aux fatigues excessives que tu ne peux plus physiquement supporter.

Tes vertus et ta conduite ont souvent procurés des rosées à mon coeur... aujourd'hui, que j'ai l'espoir de te revoir et que

nous venons de recevoir une lettre moins sombre de toi, je me sens rajeunir.

Pourtant j'ai envie de te chercher querelle, jamais tu ne m'écris si tu as besoin d'argent, et l'incertitude sur tes besoins ne convient point à un père dont tu es le principal objet de tendresse.

Marie s'est renforcée, Dieu merci, elle n'a point enlaidie, son coeur est excellent, de l'esprit jusqu'au bout des doigts, mais sa vivacité est cause qu'elle n'est pas très appliquée.

21 stycznia, 1839.

Mon cher Fils, je m'attendais à te voir à peu près dans le semestre...

Nous revoir momentanément dans notre vie orageuse est une époque que je redoute autant que je la désire.... car quelques semaines sont bientôt passées, nous serions continuellement vis à vis de l'instant qui t'arrachera de nos bras — cet épisode nous rendrait faibles et mous et aurait nécessairement une influence sur la trempe de ton âme qui est ton bien unique et par conséquent le nôtre aussi.

. . . .

Tâche, mon bon ami, de vivre commodement mais défais-toi de ceux qui te plument, car les temps sont bien durs... et lorsque je multiplierais ces dons que ferais-je des centaines des familles, qui sont à mon service?...

Sławuta, 13 mars 1841.

Ta lettre, mon cher Fils, m'a tellement abattue et bouleversée que de quelques jours je n'ai pas osé répondre.

Je vois dans cette malheureuse lettre une laisse remarquable en toi de patience et de résignation qui ne m'étonne pas, car tout a son terme et rien ne résiste à la persévérance et aux rigueurs du temps, mais néanmoins cette lettre plonge tes parents dans la plus vive affliction.

En mon âge et en absence de ton frère tu es à toi seul le pivot de la famille, c'est certes à tes vertus que nous devons ce confort des bénédictions du ciel, sans le secours desquelles nous n'aurions pu résister dans notre position — position qui devient

de jour en jour plus critique, car ne t'imagines pas telle que tu l'as quittée; depuis même ce peu de temps elle est plus enguignonnée, tes parents sentent que leurs propres disgrâces sont pour beaucoup dans tes malheurs, aussi une fois que tu t'affaisses, tout l'échafaudage est vermoulu. Réfléchis là dessus et fais-en ta part.

Un second article de ta lettre nous a aussi un peu chipoté, tu ripostes à un reproche que je ne t'ai jamais fait, c'est celui de tes dépenses.

Comment, quand tu étais encore un blanc bec et nul, je ne t'ai jamais rien regretté, ni à ton frère non plus, je peux dire même, que j'allais en avant de ta fantaisie et au-dessus de mes moyens et ce même moi irais maintenant lésiner avec toi?! — Je ne suis pas d'avis, il est vrai, que ta pauvre bourse soit denouée pour le premier venu... mais je veux et je Vous l'ordonne de ne rien Vous regretter de ce qui Vous est convenable et Vous ne m'apaiseriez, qu'en me faisant une demande en argent et en chevaux que ton séjour à Moscou exige. Ne me refuses pas cette réparation, car autrement je ne te ferais pas grâce de l'outrage.

Il y a deux jeunes chevaux gris, deux alézans pour en équipage et un cheval noir de monture qui pourraient Vs. faire plaisir et que je Vs. enverrai au premier avis. La privation d'un cheval de monture peut avoir une influence, même très forte, sur ta santé dont dépend notre bien-être à tous...

Księżniczka Marja Sanguszkówna do ojca.

Grudzień 1844 r.

Kochany Papo! Wiele już okropnych rzeczy stało się, odpóki ja do mego kochanego Papy nie pisałam.

. . . .

Dnia 2 grudnia podług polskiego stylu stało się to nieszczęście. [Śmierć ks. Eustachego]. Sześć godzin przedtem kazał nas zawołać, błogosławił Papę, Stryja, Ciocię Izę i wszystkich swoich wnuków... Potem Bunię, Pelisię, a mnie kazał przysunąć się więcej do łóżka, wyciągał do mnie rękę, którą pocałowałam, i zro-

bił mi krzyżyk na czole, ścisnął mnie za rękę dosyć nawet mocno, mówił do mnie dosyć nawet długo, bo kilkanaście słów, lecz nieszczęściem nie mogłam zrozumieć, tylko słyszałam te słowa: „Twój ojciec“, a potem „kontent jestem“. Dopiero potem spytał, czy wszyscy są tu zebrani, i ksiądz dał mu Ostatnie Pomazanie.

Potem jeszcze gadał o koniach, modlił się długo, gadał jeszcze coś do siebie samego, często bardzo wołał: Roman! Roman! Przykro mu było, że nie było Papy. O godzinie 5 min. 6 wieczorem skończył, ostatnie jego słowa były do X. Marcelego: „Myśl o mojej żonie — błogosławię, błogosławię, błogosławię wszystkich“.

X. Marceli ukląkł, on podniósł rękę, która zaraz opadła, i tak skończył.

PRZYPISY

Pamiętnik ks. Klementyny z Czartoryskich Sanguszkowej pisany jest własnoręcznie drobnem, lecz bardzo wyraźnem pismem. Księżna spisywała go w chwilach swego pobytu w Tarnowie i tam go pozostawiała, wyjeżdżając w granice zaboru rosyjskiego, stąd pochodzi forma jego, pośrednia między pamiętnikiem a dziennikiem. Jest oprawny w formie książeczki (20×13 cm.) w zieloną wytłaczaną skórę.

Dopisek, na pierwszej karcie umieszczony, brzmi:

„*Mam sobie za powinność tu uwiadomić, dla jakiej przyczyny nie użyłam w pisaniu tego pamiętnika ojczystego języka. Jest to zbiór różnych listów, które wszystkie były po francusku pisane. Przetłumaczenie tych listów było nadto uciążliwą pracą dla osoby w moim wieku i znękanej zmartwieniami — przytem listy powinne być zachowane w tym języku, w którym pisane były*".

Pamiętnik ten i cała korespondencja osobista ks. Romana Sanguszki, to najważniejsza część archiwum antonińskiego, która drogą spadku przeszła na Alfredową hr. Potocką, jedyną córkę ks. Romana, następnie zaś na jej syna Józefa, właściciela Antonin.

Listy matki i ojca, pisane do syna w czasie jego wygnania, dochowały się prawie w całości, jak również większość jego listów do rodziców. Te ostatnie przechowywane były przez córkę w osobnej szkatule. Poza tem znajduje się w archiwum po ks. Romanie diarjusz podróży jego do Ziemi Świętej i Grecji w r. 1844, obszerna korespondencja, prowadzona po powrocie do kraju z wieloma wybitnemi osobistościami, a wreszcie ciekawe materjały, tyczące się stada arabskiego, jego losów przez cały niemal wiek dziewiętnasty.

Archiwum antonińskie zostało wywiezione w grudniu r. 1918, w chwili, gdy Wołyń, po ustąpieniu okupacji niemieckiej, objęty został po raz drugi pożogą rewolucyjną. Uratowane szczęśliwie wraz z bibljoteką antonińską (którą w r. 1920 miejscowi włościanie przed samem nadejściem bolszewików dobrowolnie do stacji kolejowej wywieźli), znajduje się obecnie w Warszawie i stanowi własność Romana i Józefa hr. hr. Potockich, prawnuków ks. Romana Sanguszki.

(Do str. 1.) Roman Stanisław Adam Lubartowicz Sanguszko, syn Eustachego, urodził się 24 kwietnia 1800 r. w Antoninach na Wołyniu. 14 stycznia

1820 r. umieszczony w gwardji cesarskiej w Petersburgu. Uwolniony 26 stycznia 1823 r. W latach 1824—6 odbywa wraz z bratem Władysławem podróż po Europie. W r. 1826 obejmuje zarząd dóbr wołyńskich.

Ożeniony z Natalją Potocką 14 maja 1829 r. Owdowiał 2 listopada 1830 r. Opuścił Sławutę 10 stycznia 1831 r. i wstąpił do głównego sztabu kawalerji polskiej. Ujęty w niewolę pod Łysobykami i skazany na wygnanie do Syberji, następnie przeprowadzony na Kaukaz od 22 października walczył na linjach bojowych i wysłużył rangę oficerską. Dopiero 9 kwietnia 1841 r. uwolniony od służby wojskowej, lecz obowiązany do cywilnej i moskiewskich jurysdykcjach, otrzymał w r. 1844 pozwolenie na wyjazd zagranicę i odbył pielgrzymkę do Ziemi Świętej. Zwolniony z powodu kalectwa, wrócił na Wołyń w roku 1845. Jedyną córkę Marję wydał zamąż za Alfreda hr. Potockiego w r. 1851.

(Notatka genealogiczna, spisana w r. 1860 przez Leona Romanowskiego, archiwarjusza sławuckiego).

(Do str. 1.) Natalja z Potockich Sanguszkowa (1807—1831), córka Aleksandra i Anny z Tyszkiewiczów (2-o voto Wąsowiczowej) budziła już od wczesnego dzieciństwa podziw swą klasyczną urodą (por. „Mémoires de la C-sse Potocka (1784 — 1820) publiés par C. Stryjeński, Paris, 1924 p. 141 — 4). O osiemnastoletniej Natalji pisze słynna francuska poetka, pani Delfina Gey. *„Elle m'est apparue au milieu d'une fête Comme l'être ideal que cherche le poète... Ah, pourquoi, m'écriais-je dans ma pitié profonde, Descend-elle des cieux pour habiter ce monde?...“* (C-sse Anna Potocka: Voyage d'Italie (1826—1827). Paris, 1899 p. 50—51). Z wymienionej powyżej książki dowiadujemy się również, że pierwszą swatką młodej pary była królowa Karolina, wdowa po Muracie, siostra Napoleona (str. 215 i dalsze); dalej znajdujemy tam listy, świadczące o szczęściu młodej pary. Natalja, prócz urody, posiadała również dużo inteligencji; wykształcenie otrzymała staranne, nawet w dziedzinie języka i literatury ojczystej, co było w epoce ówczesnej rzeczą dość rzadką; zawdzięczała to, jak stwierdza ks. Roman, „szanownemu, staremu przyjacielowi“, Niemcewiczowi, który kierował jej wykształceniem.

(Do str. 2.) „Przyniesie on pożytek mojemu ojcu“. Słowa te, w zestawieniu z dalszemi planami, dotyczącemi roli ks. Eustachego na terenie wołyńskim, świadczą o pragnieniu, aby nowe czyny zatarły w pamięci patrjotycznego ogółu owo zbyt wczesne opuszczenie sztandarów napoleońskich w r. 1813 przez Sanguszkę, które wywołało surowy sąd ks. Józefa, serdecznego niegdyś druha księcia (por. Pamiętniki ks. Eustachego Sanguszki, wydane przez J. Szujskiego, Kraków, r. 1908. *Dodatki:* Nr. 2, zwłaszcza piękny list ks. Klementyny do p. Bignon, w którym usprawiedliwia ona czyn męża, ale głęboko boleje nad jego koniecznością). „Gdy ojczyzna upadła, chciał ratować ojczyznę—pisze Ludwik Dębicki—zwłaszcza, że utracił wiarę w gwiazdę napoleońską. Dziś przyznajemy słuszność temu postanowieniu, ale krok ten był źle zrozumiany od współczesnych. Wspominamy o tem, gdyż nie minęło to bez odwrotnego

wpływu na umysł syna. Gdy na niego miała przyjść godzina poświęcenia, chciał je spełnić do końca i wypić czarę do dna". L. Dębicki, Ks. Roman Sanguszko. Kraków, Czas, r. 1881. Nr. 72.

(Do str. 2.) O gniewnem przyjęciu Sanguszki przez gen. Chłopickiego, który, jak wiadomo, był niesłychanie przeciwny rozszerzeniu powstania na „prowincje zabrane", opowiada między innymi: Niemcewicz. Dziennik mego pobytu zagranicą. Starzewski Michał. „Czas", Kraków, r. 1881, Nr. 82.

(Do str. 3.) Prawdopodobnie ks. Adam Czartoryski prezes Rządu Narodowego, a brat stryjeczny matki ks. Romana, wysłał ks. Romana dla pertraktacyj z gubernatorem Galicji, ks. Lobkowitzem. Książę Adam łudził się jeszcze w tym czasie nadzieją, że uzyska od Austrji interwencję w sprawie Polski. Lobkowitz cieszył się sympatją w kołach szlachty polskiej, starał się ją utrzymać i nie szczędził uprzejmości; nawet podczas wystąpień urzędowych przywdziewał strój polski.

(Do str. 3.) Służba wojskowa ks. Romana w r. 1831.

Mianowany przez Skrzyneckiego, natychmiast po objęciu przezeń naczelnego dowództwa, adjutantem przybocznym w randze kapitana (ze służby rosyjskiej wyszedł w stopniu korneta, t. zn. podporucznika), następnie, odkomenderowany do boku gen. Chrzanowskiego bije się pod Kockiem i Lubartowem, otrzymuje krzyż „Virtuti militari".*)

Przydzielony potem do generała Jankowskiego, któremu Skrzynecki oddał dowództwo naczelne w fatalnej wyprawie łysobyckiej, został wysłany z rozkazami do gen. Bukowskiego, dostał się do niewoli w dniu 19 czerwca. [Następują wyjątki z pamiętników współczesnych].

Władysław Zamoyski do matki

Warszawa, Marzec. 1831.

Leon (Sapieha) przybył, ale sam życzy sobie powrócić do Zamościa. I on, i Roman Sanguszko czują, że dla ciągłych stosunków z Wołyniem są tam pożyteczniejsi, ale na Wołyń zapewne tak prędko nie pójdą. Więc też niema powodu do większej o nich, jak o nas, obawy. Generał Władysław Zamoyski. Poznań, 1910, tom II, str. 247.

„...Jen. Prądzyński wezwał mnie i Romana Sanguszkę do siebie. Tam począł mówić o jen. Dwernickim, który już jest na Wołyniu... że my jako tam znani moglibyśmy zbawienny wpływ wywierać na obywatelach a z drugiej strony jako adjutanci naczelnego wodza mielibyśmy prawo gen.

---

*) *Virtuti Militari.* Nr. krzyża 1181 — Xiąże Sanguszko Roman — kapitan, adjutant polowy naczelnego wodza — krzyż złoty — nadany dn. 25 maja 1831. (Xięga pamiątkowa w 50-letnią rocznicę powstania roku 1830, zawierającą spis imienny dowódców i sztabs-oficerów, podoficerów i żołnierzy armji polskiej, w tymże roku krzyżem wojskowym „Virtuti Militari" ozdobionych. Lwów, 1881).

Dwernickiemu wypowiedzieć nasze zdanie i wymódz na nim zręczniejsze postępowanie z obywatelami. Oświadczyliśmy, że jeśli sądzi, że tam najwłaściwiej nam służyć, gotowiśmy wykonać rozkazy naczelnego wodza. Prosił nas wtedy, abyśmy sami zaproponowali to Skrzyneckiemu, bo on, chociaż sobie tego życzy, nie śmie nam tego rozkazać, bo to wyprawa bardzo niebezpieczna.

Poszliśmy więc do jen. Skrzyneckiego. Wdzięcznie przyjął naszą propozycję i obiecał, że wskaże nam czas, kiedy mamy wyruszyć.

Wróciwszy do jen. Prądzyńskiego uwiadomiliśmy go o zgodzeniu się Naczelnego Wodza. Wówczas on powiedział, że komunikacja z jen. Dwernickim zupełnie przerwana i że nie możemy się inaczej dobrać, jak przebrawszy się po cywilnemu przekraść się przez wojska rosyjskie. Nie mogliśmy się już cofnąć ale bardzo niemiło się nam zrobiło, bo była to wyprawa, w której prawdopodobnie czekała nas szubienica. Czekaliśmy rozkazu ale jen. Skrzynecki odwlekał aż była zdecydowana wyprawa gen. Chrzanowskiego, któremu nas przydano. Wyprawa ta miała na celu pójść do Zamościa, stamtąd na Wołyń aby odwrócić wojska rosyjskie od gen. Dwernickiego i w razie możności z nim się połączyć".

Leon ks. Sapieha: Kraków. Wspomnienia z lat 1803—1860. Str. 130.

„...Oficerowie z korpusu Dwernickiego chcieli nas przekonać, że to był czyn bohaterski, że się nie Rosjanom, ale Austrjakom poddali. Raz w kawiarni rozpoczęła się o to gorąca dyskusja między świeżo przybyłym majorem... a Romanem Sanguszką, który utrzymywał, że to przejście do Austrjaków da się koniecznością wytłumaczyć, ale świetnym czynem wojskowym nie jest. Major się uniósł i, jako wyższy rangą, Romana aresztował. Roman, który był nadzwyczaj służbisty, wyszedł z kawiarni, jenerałowi Chrzanowskiemu zameldował, że jest aresztowany, a więc służby pełnić nie może, i wybierał się na 12 godzin na odwach.

Jen. Chrzanowski rozgniewany ... majora kazał do siebie zawołać i, dobrze go zburczawszy, posłał na 24 godzin na odwach".

Ibid. str. 139.

„...Po bitwie pod Lubartowem dnia 4/5 1831, gdzie nas napadł Kreutz o brzasku dnia nieprzygotowanych, i gdzieśmy się bili, jak kto umiał, bo starszyzna spała w mieście, cofnęliśmy się w porządku i zawsze groźni drogą, do Łęcznej wiodącą. Brakowało nam jednej kompanji 1-go płk. piechoty... a także jednego bataljonu 5 p. p., zostawionego w mieście na straży głównej kwatery; dowodził nim Józef Zbyszewski..., świeżo mianowany major, na szefa bataljonu w wojnie niezdatny. Kazano mu się cofać po zwinięciu kwatery drogą do Łęczny. Zbyszewski przeoczył, że bataljon strzelców Grotusa już wyszedł z miasta, a dowiedziawszy się, że klasztor, stojący blisko drogi, którą miał iść, jest otoczony przez nieprzyjaciela, sądził, że jest odcięty; przeszedł Wieprz, lecz po tamtej stronie drogi do Łęcznej nie było, tak że Zbyszewski z bataljonem włóczył się darmo, pytając chłopów o drogę, aż wreszcie zaskoczyła ich ulewa i nieprzeniknioną ciemność. Tymczasem korpus popasł konie w Łęcznej i odpoczywał ze

dwie godziny. Artylerja nieprzyjacielska atakowała, lecz ustąpiła, i korpus ruszył dalej ku Krasnostawowi. Wojsko uszło jaką milę lasem, lecz zaskoczone ulewą i ciemnościami stanęło. Kanonjerzy rozniecili z suchych gałęzi ogień zapomocą rzymskich świec.

Do ognia zbliżył się jen. Chrzanowski ze sztabem. Kaczanowski (st. brat Zmartwychwstańca), Potkański, Zdzisław Zamoyski, Napoleon Orda, adjutant Ramorina, Gostkowski, Ledóchowski, Stadnicki i Roman ks. Sanguszko. Jenerał prowadził jakiś dyskurs, i usłyszałem słowa życzenia, by któryś z obecnych pojechał odszukać i sprowadzić bataljon, który, jakkolwiek waleczny, nie da się wziąć, lecz nie wie, gdzie nas szukać. Ledwie tego domówił, wysuwa się z grupy Sanguszko i oświadcza basowym głosem, że to zadanie jemu się należy, on pójdzie i bataljon na pewno znajdzie i przyprowadzi. Jenerał odrzekł: Ale pan, p. kapitanie, dużo mniej się kwalifikuje do takiej służby, niż każdy inny oficer; pamętaj pan przecież, żeś był oficerem w kawalergardzie, żeś kwitował z charakterem; jak złapią, to rozstrzelają lub zamęczą gdzie pod ziemią..." Sanguszko powtarzał swoje i dodał, że młodzieńcem bywał w Lubartowie u ciotki (z Sanguszków Ostrowskiej) i że zna każdy kąt. „Na co się zdała znajomość w ciemnościach" — zarzucił jenerał, ale Sanguszkę, choć z żalem, puścił.

Sanguszko znikł, jenerał poszedł pić herbatę, został Ramorino ze swoimi. Stadnicki mu wykładał przebieg tej sprawy, z której on nic nie rozumiał. „C'est une prouesse princière, mais il sera pris et on lui fera voir du monde" — mruknął przebrzydły Francuz (!) (le Ramorino était un ours mal leché, très antipathique pour nous autres). Jak sobie odszedł, wsunąłem się do szałasu, za mną wtłoczył się Jan Skracha, nasz płatnik, Galicjanin, mój kolega z tarnowskiego gimnazjum. Okryty mokrym płaszczem, byłbym zasnął może, ale Skracha ciągle się kręcił; napomniany odrzekł: „I ja radbym zasnąć, ale Sanguszko ciągle w oczach mi stoi. Słyszałem, że żonaty, a może i dzietny, nadto pan nieladajaki, no i proszę ja kogo, puścił się na pohybel, i może go już nie zobaczymy. Radbym wiedzieć, czy wśród naszych demagogów znalazłby się choć jeden, coby podjął się załatwienia takiego sprawunku".

[Rano wojsko ruszyło w drogę. Stopnicki, pod którego komendą było czoło artylerji, jechał przy swym oddziale, jenerał Chrzanowski jeździł tak przy nim, by każdy wiedział, gdzie go szukać].

„...Z poza ostatnich rot, maszerujących przed baterją 1-go pułku strzelców konnych wysuwa się *coś*, mówię *coś*, bo tego ktosiem nie godziło się nazwać, ot, posąg konny, z błota ulepiony; dopiero gdy się zbliżył i ozwał głosem *sui generis*, poznaliśmy, że to kochany nasz chwat, Sanguszko. Jenerał skwapliwie zapytał: „A bataljon?" — „Bataljon jest stąd niedaleko". Na taką odpowiedź posunął jenerał konia ku niemu i uścisnął mu rękę. Zjawił się i major Zbyszewski, a choć go z błota oskrobano co zwiększa, niepodobny był do żołnierza, raczej do kanonika lub gwardjana. Rzeczywiście, po kilku minutach pochodu zobaczyliśmy na niewiel-

kiem wzgórzu bataljon w zwartej kolumnie, broń u nogi... Otoczyliśmy Sanguszkę i rozpytywaliśmy się ciekawie o szczegóły jego wyprawy. Naprzód zgóry przyznał, że wykonanie zadania okazało się w praktyce dużo trudniejszem, niż się zdawało. Ciemności były nie do przebycia, jaki taki ruch zacierał wiedzę, z której strony się przyszło i w którą dążyć wypada. Ale *„sententia dicta, cerevisia bibenda erat"* — powiedział Sanguszko. Jedna okoliczność mu sprzyjała: wicher dął stale ze średniego zachodu, służyło to za rodzaj busoli, posuwał się przezornie w kierunku północnym, bo w tej stronie spodziewał się znaleźć bataljon. Raz posłyszał jakby pomruk stłumionych głosów ludzkich; skierowawszy w tę stronę konia, wkrótce nadeptał na baon. Stali na łące, oparci o karabiny i czekali zmiłowania bożego. Potrąceni koniem żołnierze zaczęli wołać: — Co to? kto to? — Snaguszko głośno oświadczył, kim jest i poco przybył; na tę wiadomość wrzasnęli: hurra! (za co ich oficerowie zgromili). Żołnierze ściskali raz konia, raz Sanguszkę, jaki taki splunął potem błoto, które liznął. Po komendzie: „Na lewo zwrot! krok podwójny, marsz!" ruszyli za Sanguszką, i tak — mówił — szli za jego koniem, jakby po wypoczynku i traktamencie.

„Ale cóż się działo z kapitanem, żeś tyle błota nabrał na siebie?" — „Nie mogłem tego uniknąć; mój koń dzielny wierzchowiec, ale że rasowy, nie umie sobie znaleźć drogi pociemku, jakto konie podlejszych ras prawie zawsze potrafią. Jechałem często naprzełaj, na chybił-trafił, po polach, świeżo zoranych lub zasianych i zawleczonych. Zwaliłem się parę razy wraz z koniem, bardzo ciężko było potem obranemu w rozmokłą ziemię dźwignąć się znowu w siodło. Raz leżałem w jakimś rowie, czapkę zgubiłem, już miałem z gołą głową ruszać dalej, kiedym ją poczuł pod nogą, musiałem ją czem prędzej zdjąć i wytrzepać, bo nabrane w nią błoto oczy mi zalało. Ot i wszystko".

„Inną razą, tak szczęśliwy nie był zacny i dzielny ks. Roman. Rozwożąc rozkazy między Turnem, Jankowskim a Bukowskim, wpadł w zasadzkę wraz z drugim oficerem, podobno Brezą [mylne]. Wiadomo, jak się nad nim znęcał Niezabuwiennyj.

Stobiński Feliks: Wspomnienie osobiste o ks. Romanie Sanguszce w korpusie Chrzanowskiego. „Czas" z dnia 6 kwietnia 1881. Nr. 82.

„...Po drodze do Warszawy (Roman S., Z. Zamoyski i ja) spotkaliśmy oficera, wiozącego rozkazy do Zamościa.

Miał dla nas trzech ordery wojskowe Virtuti militari. Niemała to była dla nas radość i żdziwienie, bośmy nie wiedzieli, że do tej odznaki przedstawił nas generał Chrzanowski. Z wielkiem zadowoleniem przypięliśmy sobie te ordery. Od tegoż oficera dowiedzieliśmy się o bitwie pod Ostrołęką. Bolesne to było i o wiele zmniejszyło naszą radość z orderów.

Skrzynecki oddał komendę Jankowskiemu. Z jego adjutantów od komenderował do Jankowskiego: Roman S. i ja".

Leon ks. Sapieha op. cit. str. 148.

„Małachowski odkomenderowany był do Turna, ja i Roman S. mieli śmy zostać przy Jankowskim.

W nocy obudził mnie Małachowski z prośbą czybym nie chciał się z nim zamienić, gdyż Jankowski miał maszerować w Lubartowskie, gdzie były dobra jego żony, i on bardzo radby tam zajrzeć. Gdy na to zgodził się i szef sztabu, ja, zabrawszy moje manatki, poszedłem do kwatery Turna. Odchodząc, namawiałem Romana S., aby także prosił o przeniesienie do Turny; przedstawiałem mu, że od początku wojny byliśmy zawsze razem i teraz nie rozłączajmy się. On mi na to odpowiedział, że czuje się słabym i potrzebuje trochę spoczynku. Prędzej będzie go miał przy Jankowskim, który stoi tylko w odwodzie, gdy Turno ma zaraz wpaść na nieprzyjaciela.

Tymczasem inaczej się stało. Jankowski, słysząc mocną kanonadę od strony Turny, posyłał adjutanta po adjutancie do Bukowskiego, aby ztyłu atakował nieprzyjaciela i zbliżył się do miejsca bitwy. Trzech wysłanych: Butrym, Sanguszko i Małachowski, nie dojechawszy, wpadli w ręce dragonów moskiewskich

...W urzędowym raporcie z 24 czerwca do Rządu Narodowego, w dodatku do Gazety Warszawskiej z 25 czerwca r. 1831 Nr. 108, jenerał Skrzynecki pisał: ...Oddziały nieprzyjacielskie, wkradłszy się między rozrzucone kolumny Jankowskiego, pojmały dwóch adjutantów, wiozących jego rozkazy..."

Jen. Zamoyski, Poznań, r 1910, str. 247.

Jen. Zamoyski do ks. Adama Czartoryskiego.

„...Kochany wuju, śpieszę z przesłaniem wiadomości o Romanie Sanguszce, ażeby wuj nie myślał, że on zginął, jak myśmy sądzili. Wzięty był w niewolę na gościńcu, gdy niósł rozkazy 19 rano przed naszą bitwą.

Kapelan 3 pułku strzelców konnych, który był jednocześnie pojmany, ale któremu udało się umknąć tegoż rana, mówi, że widział Romana zdrowego, chociaż na razie nie wiedział, kto to jest, bo go do tej chwili nikt jeszcze nie poznał. Roman, nie mówiąc kapelanowi swego nazwiska, oddał mu ukradkiem swój pulares i polecił powiedzieć, gdyby go przy nim znaleziono, że to była własność oficera, przed dwoma dniami zabitego. Kapelan zaraz potem się wymknął; robi nam nadzieję, że Romanowi uda się zataić swoje nazwisko. Z oficerami tego pierwszego dnia przyzwoicie się obchodzono.

... Wuju, jaka to hańba ta nasza wyprawa!"

Ibid. str. 261.

„M. B. słyszał od wziętego pod Janowem do niewoli kapitana dragonów kargopolskich, Rybickiego, następujące szczegóły o pojmaniu ks. Romana: „Rybicki objeżdżał posterunki korpusu Rüdigera, gdy nad ranem zbliżył się do niego oficer sztabu Skrzyneckiego i pytał go: „Czy tu jen. Jankowski?" „Tu" — odpowiedział mu kapitan i, skinąwszy na żołnierzy, chciał go rozbroić. X. Roman, postrzegłszy, że omylił się na białych kołnierzach kargopolców, których wziął za drugi pułk ułanów,

pomknął konia i chciał uniknąć niefortunnego spotkania, ale już kilkunastu pogoniło za nim. „Oto są“ — mówił kapitan — „pistolety księcia. z których strzelił, a potem rzucił je za sobą. Ale pęd konia zbawić go nie mógł, ujrzał bowiem przed sobą stojące pułki rosyjskie“. Kapitan Tadeusz Przyborowski, który dowodził oddziałem polskim pod Janowcem, wziął te pistolety na pamiątkę ze sobą.

Michał Budzyński: Wspomnienia z mojego życia. T. I, str. 81

(Do str. 3.) W „Kronice stada Sanguszkowskiego“, spisanej własną ręką ks. Romana, znajdujemy interesujący szczegół, tyczący się owego dnia fatalnego: 19 czerwca.

Książę (pisząc w r. 1859) dodaje do zapisek o swych ulubionych koniach uwagę o „dziwnych losach, jakie spotykały właścicieli tego stada“. Wspomina, jak ks. Eustachy, powołany raptownie do boku Napoleona w r. 1812, nie miał ze sobą swoich koni, przebył kampanję na wierzchowcu kupionym, do trudów wojny niezdatnym, i o mało przez to życia nie stracił w odwrocie z pod Moskwy.

„Również piszący tę kronikę — dodaje ks. Roman — sam wpadł w szereg nieszczęść, gdy w r. 1831 przez młodość i niedoświadczenie nie umiał zdolnych koni do służby wojennej wybrać, a dwa dzielne, jakie miał, bratu swemu oddał. Więc odbywał kampanję na jednym dobrym, lecz nieszanowaniem poprzedniem kilkoletniem za wilkami zjeżdżonym koniu, wnuku Gorczycy po Króliku, jednym z pierwszych przyprowadzonych arabskich ogierów, i chcąc go szanować, kupił od generała Wąsowicza lichą kobyłę kasztanowatą, dość ładnej postaci, ale wcale niezdolną do biegu dłuższego. Na niej los niefortunny go spotkał.

Dziwnem więc przeznaczeniem dwóch właścicieli stada, o które tyle dbali, gdy nadeszła potrzeba, koni nie mogli lub nie umieli dla siebie mieć własnych i ucierpieli tyle, że ich nie mieli!

(Do str. 3.) 14 maja r. 1831, w sam dzień bitwy pod Daszowem, Chróścikowski, agent Rządu Narodowego na prowincje zabrane, przesłał ks. Adamowi Czartoryskiemu memorjał... w którym radzi mianować ks. Eustachego Sanguszkę prezesem rządu trzech województw i regimentarzem Wołynia i Podola. (August Sokołowski. Wyprawa Dwernickiego na Wołyń. Rozprawy Akademji Umiejętności. Kraków, 1918. T. XXXVI).

(Do str. 4.) Narcyz Olizar charakteryzuje Sackena nader ujemnie, nazywając go „szkaradnym starcem“.

„Zrazu ustanowione były (w Kijowie) komisje specjalne do sądzenia powstańców. Baron Sacken rozstrzygał w ostatniej instancji. Starzec ten osiemdziesięcioletni... znajdował przyjemność, mnożąc żałoby całych rodzin. Każdy, mający najmniejsze uczucie ludzkości, byłby się cofał przed wykonaniem poleceń, które Sacken wykonywał z całą surowością, jeźli ich nawet nie przesadzał“. (Pamiętniki kasztelana Narcyza Olizara. Warszawa, 1907. Część I-sza, str. 38).

(Do str. 5.) Niewiadomo dokładnie, w jaki sposób *incognito* ks. Sanguszki zostało wykryte. Jedna wersja (podana przez L. Dębickiego) twierdzi, że gdy konwój, prowadzący jeńców, przechodził przez dobra sanguszkowskie, ludność miejscowa poznała księcia, i kobiety zaczęły zawodzić żałośnie: „Kniazia naszego wiodą!" Tadeusz Bobrowski w Pamiętnikach swoich pisze:

„Florjan Rzewuski żył pod najokropniejszym zarzutem, jakoby wykrył prawdziwe nazwisko wziętego do niewoli ks. Romana, swego przyjaciela dzieciństwa. Ks. Roman najkategoryczniej zaprzeczał wersji o zdradzie Rzewuskiego (co mi sam opowiadał w r. 1869), tłumacząc cały wypadek bardzo prosto. Kiedy go w liczbie innych przyprowadzono do głównej kwatery oddziału, którego Rzewuski był adjutantem, ostatni, zobaczywszy księcia, tak się zmieszał, że zawołał: Romanie, to ty! O zdradzie mowy być nie mogło... (Pamiętniki Tadeusza Bobrowskiego. Lwów, 1900, tom I-szy, str. 132).

Florjan Rzewuski i tak cieszył się złą sławą. Zmoskalił się zupełnie, a zmarł jako policmajster w Wilnie. (Wspomnienia polskich czasów przez Eu... Heleniusza [Iwanowskiego]. Lwów. 1894, T. II, str. 151.

(Do str. 5.) Maliszkiewicz Roch. Syn jego, Adam, był czas jakiś quasi sekretarzem przybocznym ks. Romana i towarzyszył mu w podróżach. Przybrał do nazwiska rodowego przydomek „Mieleszko" i pod nazwiskiem Mieleszki-Maliszkiewicza znany jest w literaturze, jako autor poezyj i prac historycznych oraz tłumacz Heinego (najlepszy może). Zmarł w r. 1899 w Żytomierzu.

(Do str. 6.) *„Z przekonania"* — te słowa stały się dewizą herbową rodziny i pięknie ozdobiły tarczę jagiellońskiej Pogoni. „Z przekonania" stało się hasłem całego kraju. Wołyń cały nosił pierścionki z tym napisem. (L. Dębicki, „Czas", r. 1881, Nr. 82); p. Wąsowiczowa, pisząc do ks. Romana, swego zięcia, w r. 1836, wspomina o pieczątkach *„avec Votre devise"*

(Do str. 6.) Ks. Karolina pruska, siostra Wilhelma, późniejszego cesarza Niemiec, zaślubiona W. Ks. Mikołajowi Pawłowiczowi, późniejszemu Mikołajowi I-mu, przyjmując obrządek prawosławny, zmieniła imię: zwano ją Aleksandrą Teodorówną.

(Do str. 12.) „Skazani do robót byli ostrzej traktowani, niż „posieleńcy"; szli ciągle w kajdanach, prócz tego skuwano ich razem. Gdy jednemu więźniowi nałożą okowę żelazną (z dziurą dla przetknięcia pręta) na prawą rękę, to drugiemu takąż okowę zakładają na lewą rękę i t. p. Tym sposobem 20 lub 30 więźniów jest zadzierzgniętych do pręta żelaznego lub łańcucha, który w jednym końcu jest zaopatrzony poprzecznem żelazem, a w drugim zamknięty na kłódkę. Taką część sczepionych razem więźniów nazywają wiązką. Pochód w takiej wiązce był okropną męczarnią, gdyż za każdym fałszywym krokiem lub niezatrzymaniem się z innymi, pręt przedzierzgnięty targał okowy na ręku..." (Wspomnienia K. Wolickiego. Lwów, 1876. str. 98).

Ks. Roman, oszczędzając zawsze rodziców, milczy o tych najboleśniejszych szczegółach, zwąc je powściągliwie „przykremi formalnościami". Pani Sobańska we wspomnieniach, opowiadanych znajomym, zaznacza, że gdy spotkała się z księciem, miał rękę zranioną od łańcucha. Blizny od kajdan na nogach widział u księcia Józef Karwicki w r. 1859 i zaznacza wrażenie, jakie odniósł, młodym będąc chłopcem, gdy przypadkiem, kąpiąc się razem z księciem, wujem swoim, w Horyniu, dostrzegł te „niezatarte ślady drogi sybirskiej". (J. Dunin Karwicki. Wspomnienia Wołyniaka. Lwów, 1900, str. 268).

(Do str. 13.) Jan Zamoyski, trzeci syn ordynata Stanisława, w chwili wybuchu powstania bawił od kilku dni w Petersburgu, jako urzędnik ministerjum spraw zagr. Jak wiadomo, w rodzinie Zamoyskich nastąpił tragiczny rozłam. Po wybuchu powstania ordynat wyjechał do Petersburga, uważając powstanie „za ruchawkę pospólstwa i studentów" i łudząc się nadzieją, że w ten sposób zdoła „ułagodzić niektóre gromy, nieszczęsnemu krajowi zagrażające". Żona natomiast, Zofja z Czartoryskich i 4 synów, gorącym ożywieni patrjotyzmem, stanęli całą duszą przy sprawie powstania. „Jan pozostać musiał nieczynny w porze, o jakiej zawsze marzył — pisze brat jego, Władysław. Nie pytałem go nigdy, co go skłoniło poddać się tej niewoli; domyślam się, że głównym powodem był pobyt ojca pod bokiem cara i widoczne tegoż dążenie do wywołania jakoby drugiej Targowicy. To wskazało Janowi pole do czujności". Władysław pisał do Jana w dniu 25 stycznia 1831 r.: „Co się w Twojej duszy dzieje, o tem aż smutno mi wspomnieć. Twój pałasz towarzyszy mi do boju. Ty nas musisz przeżyć, biedaku". (Jenerał Zamoyski. Poznań, 1910. Tom II, str. 69, 95, 309).

(Do str. 13.) Hr. Dolly Ficquelmont, z domu Tiesenhausen (spolszczona gałąź tejże samej rodziny zwie się Tyzenhauzami); dziadkiem jej ze strony macierzystej był Kutuzow, zwycięzca Napoleona w r. 1812. Matka jej, Elżbieta I-mo voto Chitrowo, zapisała się w literaturze, jako opiekunka Puszkina, któremu i pani Ficquelmont wielce była życzliwa; dzięki niej poeta otrzymywał zakazane w Rosji książki, jak n. p. Heinego. Dom pp. Ficquelmont słynął w Petersburgu, jako punkt zborny ludzi oświeconych i postępowych. (M. A. Pawłowskij. Puszkin i grafinia D. T. Fikelmont, w czasop. „Gołos Minuwszawo", 1922, Nr. 2, str. 108—133).

(Do str. 15.) Marceli Lubomirski (1810—1863), ożeniony z Jadwigą z Lubomirskich. Człowiek niezwykle ujmujący, zamłodu „ulubieniec całego Wołynia", lekkomyślny jednak do ostatecznych granic, zmarnował tyle świetnych przymiotów. Zmuszony, z powodu długów, do wyjazdu zagranicę, opuścił żonę, którą przez długi czas z podziwienia godną troskliwością pielęgnował, gdy została sparaliżowana.

Władysław Mickiewicz kreśli barwnie sylwetkę księcia, którego znał w Turynie i w Paryżu, prowadzącego życie ekscentryczne wśród emigracji polskiej i „cyganerji" francuskiej. (Władysław Mickiewicz. Pamiętniki. Tom I, str. 315—23, Warszawa, 1926).

(Do str. 16.) Niechęć W. Ks. Konstantego do ks. Eustachego, jako do starego napoleończyka, wzmogła się jeszcze, gdy stary książę, nie chcąc dać syna pod jego brutalną komendę umieścił go w pułku kawalergardów w Petersburgu.

Korzystając z błahego powodu, iż książę obraził oficera rosyjskiego, Strzelnickiego, i skarcił jego niestosowne zachowanie się, Konstanty kazał wywieźć księcia do Żytomierza i tam na odwachu przez tydzień osadzić. Zdarzenie to wywołało wielki rozgłos, doszło do Romana, bawiącego właśnie w Neapolu i dotknęło go tak żywo, że się rozchorował. Epizod ten zajścia swego z „tygrysem" opisał ks. Eustachy humorystycznie (Archiwum antonińskie), jednak żywo niem dotknięty, wyniósł się do Galicji i przez 5 lat nie pokazywał się w granicach Wołynia.

Wzmianki o tem zajściu są dość liczne, ale nieścisłe, zwłaszcza u pamiętnikarzy rosyjskich.

(Do str. 17.) Aleksander Benckendorf (1783—1844), z rodziny niemieckiej, osiadłej w Estonji; matka jego, Anna Schilling, pozostawała w wielce przyjaznych stosunkach z dworem pruskim, t. j. rodziną cesarzowej Aleksandry Teodorówny, księżniczki pruskiej. Uczestnik bojów napoleońskich, wyszedł z nich w randze generała kawalerji, tytuł hrabiowski otrzymał w r. 1832.

„Oko i ucho" cesarza Mikołaja I-go, zajmował on od r. 1826, aż do końca swego życia stanowisko szefa żandarmów i tajnej policji, czyli szefa 3 wydziału własnej Jego C. Mości kancelarji. co dawało mu władzę prawie nieograniczoną. Światowiec, sybaryta, cynik, nie był jednak okrutnikiem z zamiłowania, co w okropnej epoce mikołajowskiej wystarczało, aby mu zyskać opinję człowieka humanitarnego. Oficjalne podręczniki historji rosyjskiej powtarzają legendę, iż Mikołaj, mianując go, wręczył mu chusteczkę, mówiąc: „Będziesz ocierał łzy nieszczęśliwym". Porównać świetną charakterystykę B. w „Dekabrystach" Mereżkowskiego, gdzie przytoczona jest jego dewiza: *„Glissez mortels et n'appuyez pas!*

(Do str. 18.) Braćmi pani Józefowej Moszczeńskiej byli: Sobański Gotard. syn Michała, długo więziony, a następnie zesłany na Sybir; zginął tragiczną śmiercią w Jałutorsku, koło Tobolska, zamordowany dla rabunku, gdy otrzymał od matki znaczniejszą sumę w r. 1841; Sobański Ludwik, brat poprzedniego, dziedzic klucza Ładyżyńskiego, marszałek szlachty gubernji podolskiej, ożeniony w r. 1823 z Różą z Łubieńskich, został przez Łukasińskiego mianowany prezesem Komitetu Tow. Patrjotycznego na prowincje zabrane. Aresztowany w r. 1826, zaliczony do I-ej kategorji oskarżonych o porozumiewanie się z tajemnemi Towarzystwami rosyjskiemi, był więziony u Karmelitów w Warszawie, potem przez 3 lata w Petersburgu, wreszcie uwolniony w r. 1829, aresztowany ponownie w wilję powstania i zesłany do Permu. W r. 1833 powrócił, zdrowie jego jednak było zrujnowane, i zmarł niebawem w r. 1837.

(Do str. 21.) „Najwinniejsze są damy!" Podobnie wyraził się cesarz Mikołaj I przed panią Kisielew. córką Szczęsnego Potockiego: „Nie mam

powodu kochać Polaków, ale co do Polek, to ich ścierpieć nie mogę". (List pani K. do Wł. Zamoyskiego, pisany w r. 1836. Jenerał Zamoyski. Poznań, 1910, tom II, str. 168).

(Do str. 23.) Piotr Moszyński, ur. r. 1800 w Łoniowie w Sandomierskiem, ożenił się z Joanną Moszyńską, synowicą podskarbiego, dziedziczką wielkiej fortuny, której był tylko imiennikiem, a nie krewnym. W r. 1823 wybrany marszałkiem gubernjalnym, odegrał wybitną rolę w zawiązaniu Tow. Patrjotycznego na Ukrainie, aresztowany jeden z pierwszych wskutek zeznań A. Jabłonowskiego, skazany na 10 lat osiedlenia na Syberji, mieszkał w Tobolsku; „prawdziwy ojciec i opiekun wszystkich wygnańców i uszanowany przez nich mianem św. Piotra" (Wolicki, op. cit.). Gdy w r. 1834 pozwolono mu mieszkać w Rosji, w Czernihowie, córka Józefina przyjechała do niego. Po dwóch latach przeniesiono go do Kijowa, tam w r. 1839 ożenił się z panną Malinowską. W r. 1840 ułaskawiony, wrócił do domu, czas jakiś mieszkał w Dolsku, potem przeniósł się wraz z rodziną do Krakowa. Tam czcią ogólną otoczony, mieszkał aż do śmierci (um. w r. 1879). Syn jego, Emanuel, zginął pod Miechowem w r. 1863.

(Do str. 26.) Branicki Władysław, senator, wielki łowczy dworu rosyjskiego, ożeniony z Różą Potocką, córką Szczęsnego, ojciec Elizy (Krasińskiej), Zofji Arturowej Potockiej i Ksawerego. Braniccy i Sanguszkowie, mimo że dobra ich sąsiadowały z sobą, nie utrzymywali przyjaznych stosunków: za wielka była rozbieżność zapatrywań. Starego ks. wojewodę, ojca Eustachego, zabiła wiadomość (zresztą fałszywa) o śmierci syna w r. 1812, przywieziona przez panią z Engelhardtów Branicką.

Ksawery Branicki, który tak odmiennemi od ojca poszedł drogami, żywił gorące uwielbienie dla ks. Romana.

(Do str. 27.) Obawy księżny Klementyny co do przeniesienia ks. Romana do Krasnojarska lub Irkucka. Odległość od Tobolska do Krasnojarska — 2072 wiorsty, od Tobolska do Irkucka — 3068 wiorst.

(Do str. 30.) Lubomirski Konstanty służył w armji rosyjskiej. W pamiętnikach ks. arc. Felińskiego spotykamy pochlebną o nim wzmiankę, a mianowicie, że w chwili wybuchu powstania podał się do dymisji, woląc narazić się na gniew cesarza Mikołaja, niż walczyć przeciw rodakom. Nieścisłe jednak jest twierdzenie, jakoby potem: „noga jego w nadnewskiej stolicy nie postała aż do śmierci cesarza Mikołaja". (Pamiętniki ks. arc. Z. Felińskiego. Kraków, 1897. Część 1-sza, str. 89—90).

(Do str. 36.) MODLITWA, przepisana ręką ks. Romana na luźnych karteczkach, przechowanych w skórzanym portfelu. (Archiwum antonińskie)

Panie, Ty wiesz, jak lepiej będzie, niech się stanie to lub owo według woli Twojej.

Daj co chcesz, kiedy chcesz, wiele chcesz.

Czyń ze mną, jak sądzisz, jak się Tobie bardziej podoba i jak wymaga większa chwała Twoja.

Postaw mnie, gdzie chcesz, i czyń ze mną we wszystkiem swobodnie. W ręku Twoich jestem, obracaj mną, jak Ci się podoba.

Oto ja, sługa Twój na wszystko gotowy, bo nie dla siebie, lecz dla Ciebie, oby tylko godnie i doskonale, żyć pragnę.

. . . .

(Następuje „Litanja", ułożona jako modlitwa za duszę żony).

Jej i moi patronowie i patronki, przyczyńcie się za nią.

Śś patronowie i wszyscy święci narodu polskiego,

przyczyńcie się za nią.

Wszystkie dusze spoczywających w Bogu krewnych, powinowatych i bliskich Jej i moich,

przyczyńcie się za nią.

Bądź miłościw, odpuść Jej, Boże.

Abyś ją do chwały swej wiecznej przyjąć raczył.

Abyś promieniem jej Cnoty, łaskawie Tobą, o Boże, przyjętej, mnie prowadzić raczył.

Abyś mocą Twoich świętych sakramentów związek nasz małżeński w sercu mojem duchownie zachować raczył.

Abyś córkę naszą dla większej chwały swojej zachować raczył.

Abyś mnie, modlącego się za Nią, duchem pobożnym natchnąć raczył.

Abyś kapłanom na Mszy Św. pamiątki za Jej duszę przyjąć łaskawie raczył.

Abyś tę niegodną modlitwę moją miłościwie przyjąć raczył.

Chryste, usłysz nas, Chryste wysłuchaj mnie,
Kyrie Elejson...
Święty Boże, Święty Mocny, Święty Nieśmiertelny.
Odpuść jej, Panie.
Święty Boże...
Wysłuchaj mnie, Panie.
Święty Boże...
Zmiłuj się nad nią.

. . . .

(Do str. 37.) Władysław ks. Sanguszko, syn Eustachego, ur. 1802 r., major wojsk polskich w r. 1831, ozdobiony krzyżem Virtuti Militari. Odziedziczył klucz tarnowski w Galicji i brał żywy udział w życiu publicznem tej prowincji. Zmarł w Cannes w r. 1871.

(Do str. 38.) (Dopisek księżnej): „Wiersze, które syn mój w tak wzruszający sposób przytacza, wyjęte są z wiersza „Dudarz" Adama Mickiewicza..." — O zamiłowaniu ks. Romana do poezyj Mickiewicza świadczą również echa „Farysa", w listach z Kaukazu. W liście do ojca z r. 1834 pisze zaś: *„Matka moja pisze mi o naszym poecie, który Danta przeszedł... może i ja go kiedyś będę mógł czytać"*. Księżna pod tem omówieniem wspominała

zapewne o 3-ej części Dziadów. Ks. Władysław Sanguszko, bawiąc z żoną we Włoszech, poznał się z Mickiewiczem. (p. Listy Odyńca, tom III).

(Do str. 38.) Ciekawą wzmiankę o owym kubku spotykamy w znajdującej się w Archiwum Akt Dawnych sprawie hr. Wąsowiczowej (teściowej Romana).

Powodem do tej sprawy było podanie hrabiny o zdjęcie sekwestru z jej dóbr. Między różnemi świadectwami, mającemi udowodnić „niebłagonadiożnost'“ (nieprawomyślność) pani W. były raporty konfidenta tajnej policji, Serno-Sołowjewicza, składane Paskiewiczowi. Lektor języków słowiańskich na uniwersytecie krakowskim, następnie dyrektor poczty, człowiek ów uchodził za życzliwego polskiemu społeczeństwu i był przyjmowany w najlepszych domach w Krakowie. Wystawił on pani W. świadectwo jak najgorsze; między innemi pisał: „Hr. Wąsowiczowa ...córkę, z pierwszym mężem spłodzoną, wydała za ks. Romana Sanguszkę, który w czasie ostatniej polskiej rewolucji w plen wzięty został. Szczegół ten przytaczam nie bez powodu, ponieważ Roman Sanguszko niewiadomo jakim sposobem zdołał, idąc na Sybir, z Kaługi przysłać ojcu swemu kubek, antyk z 17 wieku, który znajdował się u jubilera Lipińskiego w Krakowie. Tenże oprawił go w drewniane etui, w którem znajdowała się również kula karabinowa z Olszynki grochowskiej. Na pudełku tem znajdował się napis polski tej treści: Król polski, Władysław IV-ty, jako królewicz jeszcze podbił Moskwę 1610 r. Bojarzy, ujęci postępowaniem swego zwycięzcy, ofiarowali mu koronę carską. Władysław, na pamiątkę ich ku sobie oddania, ofiarował znamienitszym wielmożom moskiewskim srebrne kubki pozłacane i rzeźbione. W półtrzecia wieku potem, w kwietniu r. 1832, książę Roman Sanguszko, zesłany w Sybir, odnalazł takowy kubek w Kałudze i, aczkolwiek był w skrajnym niedostatku, kupił go jako drogą dla ojczyzny pamiątkę i przesłał swemu ojcu, ks. Eustachemu Sanguszce. Ten zaś ów szacowny upominek młodszemu przekazał synowi“. (Przekład z tłumaczenia rosyjskiego).

(Do str. 39.) Róża z Łubieńskich Sobańska, córka Feliksa i Marji z Bielińskich, ur. 1768 r. w Guzowie pod Warszawą, zaślubiona Ludwikowi Sobańskiemu w r. 1823, dzieliła wygnanie męża i, poznawszy niezmierną niedolę zesłańców, poświęciła całe swoje siły, by nieść im pomoc. Z dwiema przyjaciółkami i przy pomocy Bronisława Zaleskiego, zesłanego do Orenburga, pani Róża zorganizowała genjalnie obmyślaną „kampanję sybirską“ i uratowała w ten sposób tysiące nieszczęśliwych od zatraty fizycznej i moralnej. Zostało po niej „archiwum sybirskie“, które świadczy o akcji ratowniczej, trwającej lat kilkadziesiąt. Piękna postać tej opiekunki Sybiraków, zwanej Różą wygnańców, czeka jeszcze swej monografji. Zmarła w Warszawie w r. 1880.

(Do str. 40.) Oto relacja o tem spotkaniu, zaczerpnięta z opowiadania pani Sobańskiej.

„...Idący naprzód pospolici zbrodniarze wskazywali, że kniaź za nimi idzie. Pani S. ujrzała go niebawem, ale w jakim stanie! Zniszczony, wynędzniały, toczony przez robactwo... szedł okuty, pieszo, stosownie do woli Mikołaja, który na wyroku własnoręcznie napisał: Il fera la route à pied. Pochód niedługo się zatrzymał, ale pani S. umiała w lot chwytać sposobności... Skutkiem jej czynnych starań, rozkuto niebawem księcia, a opieka pani Róży szła odtąd krok w krok za nim. (K. Z Syberji. Przegląd Polski r. 1881. — Marzec — str. 406).

(Do str. 40.) Antoni Pausza, obywatel gubernji wołyńskiej, deputat Sądu Głównego Izby Cywilnej, wysłany był na Syberję; po wstąpieniu na tron Aleksandra II-go wrócił do kraju, mieszkał we wsi własnej koło Żytomierza, nieskonfiskowanej, gdyż na brata zapisana była... Zacny i szlachetny obywatel. (Wspomnienia polskich czasów, przez Eu...go Heleniusza. Lwów, 1894, t. II, str. 268). Biłgorajski Franciszek pozostawił pamiętniki niedrukowane: w Bibljotece Jagiellońskiej pod nr. 2811 znajduje się rękopis jego p. t „Karta z martyrologji małego powiatu" — z dopiskiem na marginesie: Pamiętnik ten był podstawą dzieła Czaplickiego: „Moskiewskie rządy na Litwie".

(Do str. 45.) Było siedmiu braci Czarkowskich ze Skibiniec, z których Tomasz i Antoni, zaliczeni do 2-giej kategorji w wielkim procesie członków Tow. Patrjotycznego w r. 1826, byli zesłani do Permu.

O Antonim pisze El. Heleniusz: „Podkomorzy A. Cz., ożeniony z Tarnawiecką, powagą swoją, rozumem, zacnością i polskiem patrjotycznem uczuciem, w całej prowincji znamienite zajmował miejsce. Gdy wrócił (z wygnania), triumfalny był jego wjazd do domu; kto się czuł dobrym Polakiem, śpieszył do grona go witającego. W r. 1831 był powtórnie wysłany do Permu; podwójne wygnanie przywiodło go, że sprzedał swoją ukochaną i miłą Iwankę pod Humaniem. (Wspomnienia polskich czasów Eu. Heleniusza. Lwów, 1894, t. II, str. 177).

(Do str. 46). Krzyżyk, darowany przez p. Różę księciu, zawierał cząstkę drzewa Krzyża Św. Roman pisał do matki 14 paźdz. 1837: „J'ai infiniment tenu à cette croix mais j'ai eu le malheur de la perdre sur terre étrangère en 1834, le jour où j'ai été blessé. — J'ai été depuis à cet endroit où je l'ai perdu mais je n'ai pas pu la trouver entre les feuiles et les herbes".

(Do str. 48.) Marja z Sanguszków Alfredowa Potocka, urodz. w 1830 r., zmarła we Lwowie w 1903. Życie jej, rozpoczęte pod tak złowróżbnemi auspicjami, rozwinęło się potem spokojnie i szczęśliwie. Z wielu starających się o rękę pięknej, rozumnej i pod każdym względem świetnie uposażonej jedynaczki męczennika z Sybiru, wybrała ona Alfreda Potockiego i, jako małżonka ministra, a później marszałka krajowego i namiestnika Galicji, przodowała w życiu towarzyskiem w Wiedniu, a potem we Lwowie, gdzie salon jej słynął z gościnności prawdziwie staropolskiej.

(Do str. 50). „Jan, służący nasz, towarzyszył Rudnickiemu w dwóch podróżach. Gdy tenże wrócił na Wołyń, pozostawił Jana, zlecając mu, aby szedł ślad w ślad za moim synem i miał pieczę o pieniądzach, których tenże nie mógł mieć przy sobie". Ks. Roman miał z tym służącym „więcej kłopotu niż pożytku"; po dwóch latach pisał: „Jan jest człowiekiem, którego ani lata, ani żadna dola czy niedola, nie wyprowadzi ze stanu, który raz sobie obrał: frotera dworu sławuckiego. Nie może 2 dni w jednem miejscu pozostać, aby nie zadłużyć się po uszy: zastawia wtedy moje rzeczy, a ja, wstydząc się, że mam takiego służącego, muszę płacić i milczeć. Chciałem go już zostawić w Tobolsku, ale potem nie chciałem, aby ktokolwiek na świecie mógł mi wyrzucać podobny los, i wziąłem go z sobą, a teraz, gdy muszę go zostawić samego, nie jestem nigdy pewny, czy zastanę cokolwiek z moich rzeczy, czy zastanę nawet mego psa".

A jednak zaraz w następnym liście książę łagodzi swój sąd o Janie: „od czasu mego ostatniego listu o jego wadach poprawił się i ma zamiar wytrwać, a mnie miło będzie, iż tego przyczyną byłem".

Kiedy wreszcie w r. 1837 odsyła go do domu, prosi gorąco rodziców, aby mu zabezpieczyli spokojną starość: „Jan wiódł ze mną marne życie — pisze w sierpniu 1837 r. — i liche miał zdrowie, dlatego też niewiele mógł dla mnie zrobić. Lata nieszczęścia, jak lata kampanij na morzu, powinny być podwójnie liczone". (Dopisek księżnej.)

(Do str. 50.) Mówiąc o rodzinie żony, ks. Roman ma głównie na myśli matkę Natalji. Anna z Tyszkiewiczów Potocka, 2 voto Dunin-Wąsowiczowa 1776—1866, córka chrzestna króla Stanisława Augusta, zaślubiona w r. 1805 Aleksandrowi Potockiemu z Wilanowa, w r. 1820 rozwiódłszy się z nim, wyszła za Stanisława Dunin-Wąsowicza, adjutanta ces. Napoleona w r. 1812, generała W. P. w r. 1831. Z pierwszego małżeństwa miała troje dzieci: Augusta, Maurycego i Natalję (Sanguszkową), z drugiego córkę Julję.

Słynne są jej „Pamiętniki" z doby napoleońskiej. Zamieszkiwane przez nią rezydencje: Natolin, zniszczony, niestety, Mokotów, Zator noszą ślady jej wielkiego zamiłowania sztuk pięknych i wytwornego smaku.

(Do str. 52.) Generał Wiljaminow, właściwie Weljaminow, Iwan syn Aleksandra, generał piechoty, generał-gubernator Syberji Zachodniej (1771 — 1837). Wolicki charakteryzuje go, jako „bardzo godnego i poczciwego staruszka" i wdzięcznie wspomina jego zachowanie się wobec zesłańców polskich. (Wolicki, op. cit. str. 66 i in.).

(Do str. 53.) Interpelacja w angielskim parlamencie. „W czerwcu, 1832 r. p. C. Fergusson rozciągle mówił o okrucieństwie nad ks. Eustachową Sanguszkową, gdy przybyła prosić za pędzonym piechotą do Syberji synem, nad szlachetnem męstwem matki i syna w odrzuceniu wszelkich upadlających warunków. Wsparło go wiele głosów, najśmielszy był O. Connella, który nie wahał się nazwac Mikołaja tyranem, wiarołomcą. Hume nazwał go tygrysem w ludzkiej postaci". (Juljan

Ursyn Niemcewicz. Dziennik mego pobytu zagranicą 1831 — 1836, Poznań, 1911 r., str. — 341).

Na dalszych kartach „Dziennika“ napotykamy echa oburzenia, które interpelacja Fergussona i debata, jaka była jej wynikiem, wywołały w kołach ambasady rosyjskiej. Najgoręcej objawiała irytację pani Lieven, siostra Benckendorfa; można sobie wyobrazić, że cesarz Mikołaj uczuł się wielce dotkniętym tym incydentem, a zwłaszcza mową O'Connella, mówcy wszechświatowej sławy.

Wyjątek z mowy p. Cutlas Fergusson (posła z okręgu Kirkendbright) w czasie debatów nad Polską w Izbie Gmin, 28.VI.1832.

„Był objaw niezwykłej surowości, który większości Szanownych Członków zapewne jest wiadomy, pozwalam sobie jednak przedłożyć go Izbie w streszczeniu. Fakt ten dotyczył Księcia Romana Sanguszki, Polaka wysokiego urodzenia, który połączywszy się w początku rewolucji z polską armją narodową, został uwięziony, skazany na utratę szlachectwa, wygnanie i konfiskatę. Służył on w Królestwie Polskiem i tam został uwięziony, lecz ze względu, że główny jego majątek położony był na Litwie, został on zasądzony jako Litwin, poddany cesarza, i majątek jego, znajdujący się w tej dzielnicy, skonfiskowany. Wyrok ten przedstawiony został cesarzowi w czasie uroczystości, obchodzonej w dniu jego patrona, celem uzyskania aktu łaski i dobrotliwości. Chciałbym móc wątpić w autentyczność tego, co zajść miało w następstwie. Zamiast uczucia litości nad nieszczęśliwym księciem, cesarz, przy podpisywaniu wyroku wygnania na Sybir, dodał własnoręcznie te słowa: „Ma być zesłany pieszo“, (dosłownie: „Il fera la route à pied“), który to straszny wyrok miał być wykonany. Matka księcia przyjechała do Petersburga w celu ubłagania cesarza, nie o przebaczenie dla syna, lecz zmniejszenie mu cierpień fizycznych. Dano do zrozumienia, że złagodzenie kary może nastąpić pod pewnemi warunkami. Książę, według tych warunków, miał oświadczyć, że do wzięcia udziału w rewolucji skłoniła go rozpacz skutkiem śmierci żony lub też, że uczynił to na zaklęcie swej matki, wraz z jej błogosławieństwem.

Książę nie zgodził się na złagodzenie wyroku pod którymkolwiek z tych warunków. Oznajmił, że działał według własnego uznania i poczucia obowiązku wobec kraju i gotów jest ponieść następstwa tego czynu.

Serce każdego wspaniałomyślnego władcy winno było uczuć się wzruszone tym objawem szlachetności, lecz tu, wyrok nad księciem Sanguszką został ściśle wykonany a zrozpaczona jego matka do dnia dzisiejszego nie jest w możności upewnienia się, która z kolonij syberyjskich przeznaczona jest na zesłanie jej nieszczęśliwego i szlachetnego syna, aby stać się widownią jego nędzy i poniżenia. Książę, udając się na wygnanie, pozostawił ośmioletnią córkę pod opieką swego ojca, żołnierza kościuszkowskiego, któremu pozwolono zamieszkać, pod nadzorem, w jednym z majątków na Wołyniu. Pewnego dnia oddział wojska wkroczył pod dach starego księcia, jak się okazało, z zamiarem uprowadzenia dziecka. Wówczas starzec porwał wnuczkę na ręce, oświadczając, że raczej pogrąży

sztylet w jej piersi, niżby ją miał wydać. Ta zdecydowana postawa poruszyła serca żołnierzy, co dało możność uzyskać dość czasu, aby ocalić dziecko i wywieźć je na terytorjum austrjackie".

W dniu 28 czerwca 1832 r. obrady nad Polską zostały zagajone przez lorda Ebrington, przy przedstawieniu prośby polskich uchodźców, zamieszkałych w Londynie, skierowanej do Izby, w celu uproszenia u Dworu pośrednictwa w sprawie polskiej.

Marszałek Izby oznajmił, że Izba mogłaby otrzymywać prośby cudzoziemców, zamieszkałych w kraju, w tym wypadku, gdyby powody ich skarg miały źródło w zarządzeniach władz angielskich, lecz jest zdania, że tego rodzaju prośba, jak ta, która jest wyrażona przez szlachetnego lorda, nie może być przyjęta.

Lord Ebrington wniosek swój cofnął.

Wówczas p. Cutlas Fergusson wstał i w długiem przemówieniu zażądał dokumentów, dotyczących naruszenia konstytucji polskiej oraz odpisu manifestu cesarza rosyjskiego z dn. 26 lutego 1832 r., jak również „Statutu Organicznego" dotyczącego tej sprawy i odpisu raportu angielskiego ministra w Petersburgu, komunikującego królowi odnośne wiadomości. — W czasie tego przemówienia mówca opisał losy księcia Sanguszki (patrz wyżej).

Lord Sandon, a następnie lord Harrowby poparli ten wniosek.

Przemawiali następnie: lord Palmerston (minister spraw zagran.), lord Morpeth, sir Jerzy Warrender, lord Ebrington, D. O. Connell (który wyraził się o cesarzu Mikołaju, jako o bezczelnym zwycięzcy, który pogwałcił traktat, oddający Polskę w jego ręce, w sposób, w jaki nigdy przedtem żaden traktat nie został pogwałcony), p. Schouswar, pułkownik Evans, p. Gally Knight, p. Pigott, p. Ruthwen, sir Robert Inglis, p. Beaumont, p. Hume, p. Wyse, p. Baring, p. Sheil i sir Robert Peel, który zakończył obrady. Wniosek został przyjęty. (Diarjusz urzędowy posiedzeń Izby Gmin).

Echem współczucia, jakie obudził zagranicą los Sanguszki, był obraz (fantastyczny), przedstawiający księcia w kopalniach sybirskich, litografja Engelmanna oraz wiersze p. t. „The polish exile", ballada, napisana do śpiewu przez Miss Skinner, o której wspomina Niemcewicz, op. cit.

(Do str. 57.) Kasper Niesiecki pisze o tym przodku i imienniku ks. Romana: „Roman Sanguszko, wojewoda bracławski, hetman polny litewski starosta winnicki i żytomierski, fortunny wódz i odważny kawaler, kiedy nie mając tylko dziewiętnaścieset ludzi wojska litewskiego w r. 1567 ośm tysięcy Moskwy na polach zbił Iwańskich i cały obóz zabrał... Tegoż roku dziewięć tysięcy moskiewskiej jazdy, z Uły do Suszy przebierającej się, nagle ją zaskoczywszy, na głowę poraził... W następującym roku 1568 20 września, Uły, zamku obronnego (którego przedtem, przez 6 niedziel dobywając, nic nie sprawiwszy, musiał odstąpić), przez jedną noc odwagą swoją i rycerstwa swego dostał; tam dwóch wojewodów, trzysta bojarów moskiewskich, ośmset strzelców zabrał, więźniów swoich wiele odzyskał,

działa i amunicję wyprowadził, które i z chorągwiami moskiewskiemi prezentował królowi Zygmuntowi Augustowi na sejmie lubelskiem w r. 1569. Pod Humaniem na Ukrainie, także zbił Tatar... Tenże heroicznemi dziełami w nieporównaną sławę wzbił się u wszystkich i w wielki fawor królewski, którym się jednak nie długo cieszył. W r. 1571 maligna go w 34 roku życia swego strawiła". (Herbarz polski. Lipsk, 1841, str. 266—7).

Z końcem 18-go i początkiem 19-go wieku postać kniazia Romana, zwycięzcy Moskwy, była bardzo popularna; świadczy o tem umieszczenie jego wizerunku w sali rycerskiej zamku królewskiego w Warszawie. Tomasz Padurra, Polak, piszący po ukraińsku i propagujący ideję niepodległości Polski i Ukrainy, napisał słynną w swoim czasie: „Dumę o kniaziu Romanie Koszyrskim", w wierszu zaś, napisanym na rok 1828 dla ks. Romana w Sławucie, życzy mu, aby poszedł w ślady swego zwycięskiego antenata. W r. 1844 wyszły „Ukrainky" Padurry w ozdobnem wydaniu, z nutami, z dedykacją: *„Na czest' Romanowi z Koszyry i pamjatku naszych lit molodych"*. (Warszawa, Glücksberg, 1844). Rzecz dziwna, że cenzura nie zwróciła uwagi na wiersze, z których większość, to ulubione śpiewki powstańczego oddziału Różyckiego, a przejrzysty pseudonim Romana z Koszyry oznaczał ks. Romana „Sybirskiego".

ROMANOWI SANGUSZCE
na nowy rok 1828.

Tużat lita, bo w pryhodi
Zakotyłyś w staryj wik;
Tobi w szczasti, nam w pryrodi
Narodyw sia nowyj rik.
A więc teraz, Mości książę,
Gdy lat chwila niejednaka,
Nowe struny bard nawiąże,
By zaśpiewać Krakowiaka.
Schodyt sonce w tychim ranci
Rozśmijaw sia nowyj świt.
Rańsze twogo sercia brańci
Życzat tobi mnohych lit.
Wspomnieć sobie serce boli,
Jaka była przeszłość, jaka,
I chcąc cieszyć się w niewoli,
Zaśpiewajmy Krakowiaka.
Szparko lita utikajut,
Czas ich bere na kormasz,
Szczastia wsim, szczo tia kochajut,
O, Romane, bat'ku nasz.
Chociaż dla nas wróg nieczuły,
Przyjdzie jemu kolej taka,
Lecz nim pójdziem w bramy Uły,
Zaśpiewajmy Krakowiaka.

(Pyśma Tymka Padurry. Wydanie posmertne z awtohrafiw. Lwiw, nakładem knyharni K. Wylda. 1874).

(Wydanie to, dokonane nakładem ks. Romana, nosi, stosownie do życzenia autora, tę samą dedykację, co „Ukrainki“).

Zarówno jak ojciec, ks. Eustachy, tak samo i ks. Roman miał wielkie zamiłowanie do pieśni ukraińskiej. Nawet gdy ogłuchł, lubił widzieć teorbanistę koło siebie. Był nim Widort, syn słynnego śpiewaka towarzysza Emira Rzewuskiego, który nietylko dumki Padurry śpiewał, ale układał własne pieśni, najczęściej okolicznościowe, opiewające smutne lub wesołe chwile dworu, którego był długoletnim domownikiem.

(Do str. 58.) Stanisław Dutkiewicz (Wolicki nazywa go mylnie Dotkiewiczem, inni Dodkiewiczem), podoficer strzelców pieszych, w r. 1830 wraz z trzema kolegami: Mazowieckim, Mierosławskim i Czernikiem zorganizował na własną rękę spisek. „Zamierzali podpalić magazyny wojskowe na ul. Szczyglej i zabić tutaj lub uwięzić Konstantego, przybywającego do pożaru: chcieli sami porozumieć się z Chłopickiem i kandydatami do rządu narodowego“ (Wacław Tokarz. Sprzysiężenie Wysockiego i noc listopadowa. Warszawa—Kraków, 1925, str. 84). 12 listopada 1830 r. aresztowani, równocześnie z gronem akademików, wskutek zeznań Kruszelnickiego (p. j. w. str. 91—92). Śledztwo w ich sprawie prowadzono w komendzie placu. W. ks. Konstanty, uchodząc z Warszawy, wziął tych 4 podoficerów z sobą, ale w Górze Kalwarji wypuścił ich na wolność.

Dutkiewicz bił się następnie w kampanji 1831, został wzięty do niewoli i wcielony do „oddzielnego korpusu syberyjskiego“ (p. j. w. str. 248). Służył w tym samym bataljonie w Tobolsku, co ks. Roman. Po wyjeździe księcia mieszkał z Gustawem Zielińskim (autorem „Kirgiza“) i Konstantym Wolickim, który serdecznie go wspomina w swych pamiętnikach. (Wolicki. op. cit., str. 128).

Ks. Roman naprzód uprosił rodziców, żeby posyłali Dutkiewiczowi stałą pensję, następnie sam z Moskwy wysyłał mu zapomogi. (Archiwum antonińskie: rachunki ks. R. S.).

(Do str. 59.) Roman ks. Sanguszko, syn Władysława i Izabeli z Lubomirskich, ur. 17 marca 1832 r., właściciel Sławuty, zginął śmiercią męczeńską 1 listopada 1917 r., zamordowany w okrutny sposób przez zrewolucjonizowanych żołnierzy rosyjskich. Starzec osiemdziesięciopięcioletni, odmawiając Anioł Pański, padł przebity bagnetami przed progiem swego domu, którego „z przekonania“ nie chciał opuścić przed grożącem niebezpieczeństwem.

(Do str. 61.) Murawjew, Aleksander s. Mikołaja, zwany „Amurskim“ (1794—1881) brat Michała („Wieszatela“) („Il y a Mouravieff et Mouravieff“ — powiedział on sam pewnego razu w Paryżu, widząc, że nazwisko jego budzi grozę. Mickiewicz Władysław. Pamiętniki, t. I, str. 139). Należał do Ligi „Szczęśliwości“, w procesie Dekabrystów zaliczony do VII kategorji; skazany na zesłanie do Syberji Wschodniej bez pozbawienia praw cywilnych

i prawa do służby państwowej; został niebawem (w r. 1831) prezydentem rady miejskiej w Irkucku, 1833 gubernatorem gub. tobolskiej, w r. 1834 przeniesiony do Wiatki, jako przewodniczący Trybunału, potem gubernator gub. archangielskiej, zwolniony ze służby w r. 1839. Służył później w wojsku w randze pułkownika, zmarł w Moskwie w r. 1881. Za zasługi, położone dla Syberji (otwarcie jej drogi na Ocean Spokojny przez zajęcie dorzecza Amuru) dostał tytuł „Amurskiego". W pamięci wygnańców polskich zapisał się, jako człowiek wielkiej dobroci i prawości, który, o ile to było w jego mocy, łagodził ciężki los skazańców politycznych.

(Do str. 61.) Seweryn Krzyżanowski (dopisek księżnej):

„W żadnej może epoce nie było ofiary tyraństwa, któraby tyle wycierpiała, co p. Krzyżanowski. Katuszy, które on przechodził, nie da się porównać z niczem".

Pułkownik Seweryn Krzyżanowski, ur. w Parchomówce na Podolu w r. 1787, odbył wszystkie prawie kampanje napoleońskie, wstąpiwszy, jako młody chłopiec, do wojska Ks. Warszawskiego; świetny i wybitny oficer, w r. 1821 dowodził pułkiem strzelców konnych. Przystąpiwszy do Tow. Patrjotycznego, został najzaufańszym współpracownikiem, a potem zastępcą Łukasińskiego w naczelnictwie organizacji. Uwięziony w r. 1826, przecierpiał długie więzienie śledcze. Sąd sejmowy skazał go na 3½ lata zamknięcia, ale jako urodzonego w gubernji cesarstwa, wywieziono go do Petersburga, w r. 1829 bez dalszego sądu wykreślono z kontroli, a w 1830 zesłano do Tobolska. Zmarł w Iszymie, podobno w obłąkaniu. Wskutek cierpień, przeniesionych w więzieniach, był wpół sparaliżowany. (Por. Askenazy: Łukasiński, II, str. 313).

(Do str. 62.) Wojna kaukaska obejmuje blisko stuletni okres czasu (od pierwszej wojny Rosji z Turcją w r. 1769 do r. 1864). Prowadziła ją Rosja najpierw z Turcją i Persją, celem zaboru ich ziem nad brzegiem mórz: Czarnego i Kaspijskiego celem obrony przed niemi państw zakaukaskich, jak Gruzja i inne, które wcieliła rozmaitemi sposoby do swego imperjum. Ok. r. 1816 Rosja ostatecznie umocniła się w Transkaukazji. Wtedy rozpoczyna się druga faza wojny kaukaskiej, prowadzonej celem podboju górskich plemion Kaukazu. Toczy się wojna partyzancka, to zaczepna, to znowuż odporna, ze zmiennem szczęściem, w bardzo trudnym terenie, z fanatycznymi i walecznymi góralami. W pierwszym okresie (1816—1827) gen. Jermołow, dowódca korpusu kaukaskiego, powoli lecz planowo, budując na zdobytych terenach wciąż nowe fortyfikacje, posuwa się naprzód w głąb gór. To wytrwałe posuwanie się wywołuje coraz silniejszy opór górali. W r. 1827 Ghazi-Mułła wypowiada Rosji „ghazawat" (wojnę świętą) i proklamuje się „imamem". (Imam, podobnie jak papież, głowa kościoła i zarazem państwa). Imamat w ogromnym stopniu wpłynął na zjednoczenie plemion górskich, różniących się mową i pochodzeniem, złączonych tylko wspólną religją mahometańską, które przedtem prowadziły ciągłe wojny między sobą. Ghazi-Mułła ginie w walce z Rosjanami w r

1832; następcą jego jest Ghamzat-Bek; wreszcie na widownię w r. 1834 występuje, jako trzeci z kolei imam — Szamil (1797—1871). Ten bohater Kaukazu panuje nad wschodnią częścią międzymorza kaukaskiego, nad Czecznią i Daghestanem przez lat 25 walcząc nieprzerwanie z przeważającemi siłami Rosjan, i poddaje się dopiero w r. 1859.

Zacięta walka Szamila na lewem skrzydle linji kaukaskiej wpłynęła, rzecz prosta, na zwiększenie się oporu górali na prawem skrzydle tej linji (nad Kubanią). (Bliższe szczegóły patrz Wojennaja Enciklopedja. Petersburg. 1913. Tom XI, artykuł p. t. „Kawkazskaja wojna“; tam również podana jest bogata literatura rosyjska, dotycząca tej wojny).

(Do str. 62.) Według źródeł urzędowych liczba Polaków, wysłanych na Kaukaz po powstaniu r. 1831, a wcielonych do osobnego korpusu kaukaskiego oraz do kaukaskich linjowych pułków kozackich przedstawia się, jak następuje:

W roku 1832 wcielono do kaukaskich pułków kozackich 2.432 szeregowych z b. wojska polskiego; do korpusu kaukaskiego 1.998 jeńców polskich (polskich plennych). Zdaje się, że tak nazywano wogóle żołnierzy, którzy dostali się do niewoli i nie służyli pod w. ks. Konstantym.

W roku 1833 — do korpusu kaukaskiego 3.969 szeregowych byłego wojska polskiego.

W roku 1834 — do korpusu kaukaskiego 702 szeregowych b. wojska polskiego. Razem wcielono 9.100 Polaków. (Stoletje Wojennago Ministerstwa. 1802 — 1902. Gławnyj Sztab. Cz. II. ks. I. Dział II. Petersburg, 1907. Aneksy str. 2—4).

(Do str. 63.) Broniewskij Siemion s. Bogdana — generał-gubernator Syberji Wschodniej.

Wolicki op. cit. zarzuca mu, że w chęci wykazania swych zasług i wzmocnienia zachwianego stanowiska, rozdmuchał t. zw. „Sprawę Omską“ i spowodował okrutny wyrok sądu.

(Do str. 64.) Żona Piotra Moszyńskiego, Joanna z Moszyńskich, skorzystała z prawa, które rozwiązywało jej małżeństwo z człowiekiem, pozbawionym praw cywilnych, i wyszła drugi raz zamąż za Jurjewicza, Białorusina, oficera wojsk rosyjskich, co wywołało ogólne oburzenie w społeczeństwie polskiem. Moszyński prosił wtedy, aby małoletniej córce pozwolono przebywać z nim razem w Tobolsku. Dmitriew-Mamonow przytacza odpowiedź, jakiej udzielił hr. Benckendorf generał-gubernatorowi Zach. Syberji Weljaminowowi: „Ponieważ celem Moszyńskiego jest usunięcie córki z pod wpływu matki i zapewnienie jej wykształcenia, Jego Cesarska Mość raczył orzec, iż należy ją umieścić w Petersburgu, w jednym z zakładów rządowych, pozostających pod opieką J. M. Cesarzowej".

„Łaska“ owa napełniła przerażeniem serce ojca. Od wychowania, równoznacznego z wynarodowieniem, ocaliła Józefinę Moszyńską pani Róża Sobańska. Wychowała ona dziewczynkę w duchu patrjotycznym

i umożliwiła jej później przybycie do ojca. Wyszła potem zamąż za Józefa Szembeka.

(Do str. 64.) Obawy o córkę. 4 października 1834 pisał ks. Roman: Otrzymałem włoski małej, ucięte 11 czerwca; są delikatne i ładne: powiedzenia jej, które mi mama nieraz przytacza, dowodzą wielkiej już teraz czułości, wielkiej wdzięczności duszy kochającej i tkliwej, której przyszłość jest tak niepewna, i dręczy mię nieraz okrutnie... Nie mam innego sposobu, aby jej przyjść z pomocą, tylko oddać ją, zarówno jak Wasze szacowne życie, w ręce Opatrzności, której i swoją przyszłość powierzam. Pisałem Ci już, droga Matko, że życzeniem mojem jest, abyście ją niezmiennie zostawiali w Tarnowie lub w jego okolicy. Wiele powodów, codziennie na nowo potwierdzanych, każe mi trwać w tem postanowieniu. Rozważcie to sobie i, być może, zgodzicie się z tem chętniej. Jest wiele niedogodności, ale z dwojga złego trzeba wybrać mniejsze. Jak mówię, rozmyślanie z dnia na dzień coraz bardziej mię skłania ku temu, bym Wam to postanowienie doradził. Jest to okoliczność, na którą powinniście zwrócić szczególną uwagę).

(Do str. 65.) W „uwagach, dla wnuczki Maryni“ spisanych, ks. Eustachy tak o owem zajściu wspomina:

„... W 1831 roku niejaki generał Namutoff zjechał do Sławuty, oświadczając mi, że jest rozkaz, aby dzieci wysłanych ojców na Sybir były nakładem rządu i pod jego dyrekcją chowane, i że ty, kochana Marysiu, jesteś zapisaną w tej kolei. Stałością moją grom ten odparłem, tak dalece, że rozbił się w powietrzu bez huku i puku“. (Archiwum antonińskie).

(Do str. 67.) Sprawa Omska. Jest to epizod martyrologji polskiej na Syberji, dotychczas nie wyjaśniony należycie. Dmitriew-Mamonow, w książce, na dokumentach urzędowych osnutej, tak o niej wspomina: „Celem spisku było wyzwolenie się od ciężkiego ucisku zesłania. Spiskowcy, przeważnie Polacy, zesłani za udział w powstaniu 1831 r., zamierzali—jak donosił gen. Weljaminow ministrowi spraw wojskowych i min. spraw wewnętrznych — „w noc 25 czerwca 1833 r. podpalić fabrykę sukna... kozackiego wojska, rzucić się na więzienie i uwolnić wszystkich aresztantów, odebrać straży broń, wykłuć śpiących w koszarach żołnierzy, zagwoździć armaty i pójść w kirgiskie stepy...“ Zdrada zniweczyła te plany, nastąpiły masowe aresztowania...

„Orzeczono, że głównym dowódcą buntu był ksiądz Sierociński, b. przeor Bazyljanów w Owruczu, zesłany w Sybir, z pozbawieniem charakteru kapłańskiego, do kozackiego pułku. Wyrok sądu wojennego... dokonany został w Omsku 7 marca 1837 r. sześciu z głównych spiskowców skazanych zostało na 7000 pałek“. W dalszym ciągu Mamonow przytacza, że powód tego strasznego epizodu leżał, jak to uznał sam. gen. Weljaminow, „w brutalnem i poniżającem traktowaniu Polaków przez feldfebli i niższych urzędników“. „O tych niesprawiedliwych znęcaniach się doniesiono

J. C. Mości, co wywołało w r. 1834 zalecenie ministra spraw wewnętrznych do gubernatorów Syberji, aby starali się zapobiec nadużyciom i fałszywym denuncjacjom. Jednakże to przyznanie się władz do winy nie wpłynęło na złagodzenie wyroku".

Dekabristy w Zapadnoj Sibiri, oczerk po oficjalnym dokumentam, sostawił — Moskwa, 1895. Str. 113.

Skazani zginęli pod pałkami, jeden dr. Szokalski, dzięki opiece lekarza pułkowego został wyleczony z ran. Zesłany następnie do Kary, odebrał sobie życie w przystępie melancholji, opłakiwany przez biedaków, których był opiekunem.

K. Wolicki pisze, że „domniemanymi naczelnikami całej sprawy Moskale uważali Piotra Moszyńskiego i ks. Romana Sanguszkę" i dodaje, że „w kilka dni po aresztowaniu wypuszczono Sanguszkę, Moszyńskiego i Dutkiewicza, do których przyczepić się nie mogli". (Wspomnienia K. Wolickiego, str. 247).

(Do str. 69.) Ostrze obrad zjazdu monarchów w Munchengrätz wymierzone było przeciw Polsce. 19 września 1833 r. zawarta została między Franciszkiem I, cesarzem austrjackim, a carem Mikołajem I konwencja, mająca za cel: *„wspólną akcję przeciw buntowniczym zaburzeniom w należących do tychże monarchów prowincjach polskich"*. Podpisali ją, jako pełnomocnicy, kanclerze: Metternich i Nesselrode. W październiku tegoż roku przystąpił do tej konwencji również król pruski. Wślad za tem rozpoczęła się we wszystkich 3-ch zaborach era najsurowszych represyj, tłumiących próby emisarjuszów, by wzniecić ruch niepodległościowy.

(Do str. 74.) Księżna Stolnikowa, Dorota z Jabłonowskich Czartoryska, wdowa po Józefie, matka ks. Klementyny, od dłuższego czasu mieszkała w Rzymie, w klasztorze, otoczona czcią i sympatją, zarówno wielkiego świata rzymskiego, jak rodaków. Odyniec w „Listach z podróży" kreśli piękny portret staruszki siwej, jak gołąbek, a zawsze pięknej, pełnej wdzięku i powagi, skromności i prawie pokory, a zarazem godności starodawnej świętej (Odyniec A. E. Listy z podróży. Warszawa, 1885. T. III, str. 108—9).

(Do str. 74.) „Prałat Szczyt... jest to Litwin, zesłany do Saratowa, ponieważ niezwykłe jego cnoty wzbudziły podejrzenie u rządu". (Dopisek księżnej.)

(Por. co pisze ks. Z. Feliński, op. cit. o tym zacnym prałacie, który za opór, stawiany zakusom rządowym, został rozkazem cesarza wysłany do Saratowa, aby tam „czekał dalszych rozkazów". Czekał przez lat trzydzieści. Do kraju wrócił już starcem złamanym).

(Do str. 74.) Ksawery Sabbatyn, z Goldaszówki, w powiecie olgopolskim, wybrany przez sejmik szlachecki województwa podolskiego posłem na Sejm w Warszawie 30 czerwca 1831 (otrzymał najwięcej głosów: na 48—41),

był z tych, co podpisali akt sejmowy detronizacji Mikołaja I. (Diarjusz Sejmu z r. 1830—31, wyd. M. Rostworowski, Lwów, 1910.)

Po upadku powstania, licząc na amnestję, wrócił na Podole, został jednak aresztowany i skazany na zesłanie do Permu. Tam spotkał się z Sobańskimi, których majątkiem opiekował się przed powstaniem. Następnie pozwolono mu wstąpić do służby cywilnej, i został urzędnikiem przy generale Weljaminowie, dowódcy linji kaukaskiej. Gdy wskutek amnestji mógł wrócić do kraju w r. 1837, objął stanowisko zarządcy dóbr sanguszkowskich.

Za jego wpływem i z jego porady ogromny majątek sanguszkowski został uratowany od konfiskaty, książę bowiem, za życia, przekazał go wnuczce, z tem, żeby połowę oddała dzieciom stryja Władysława, który z powodu swego udziału w powstaniu był od dziedzictwa wykluczony. Przeprowadzenie tych pertraktacyj w Petersburgu i opłaty spadkowe („poszliny") pochłonęły klucz iliniecki, który książę wtedy sprzedać musiał.

„Rozporządziłem fortuną moją, na Wołyniu, będącą tak, jak ciosy prześladowań dopuściły. Lecz że do Ciebie, synu mój, pisać nie śmiem o zamiarach moich majątkowych, abym tem śladem onych nie zaprzepaścił, niech więc za rękojmię starczy sprawiedliwość i życzliwość Dziada, w uczciwym człowieku wrodzona, a tym aktem solennie zaręczona. Niech starczy i cnota *„z przekonania"* Brata i Stryja — a to w tem, że to się zrobi, co Bóg dozwoli i co się da zrobić". (Kopja listu ks. E. S. do syna Władysława w archiwum antonińskiem).

Później, chcąc, by syn Władysława, Roman, jako dziedzic nazwiska, odziedziczył Sławutę, musiano mu wyrobić poddaństwo rosyjskie. Ks. Klementyna odnosiła się do tego z niechęcią: „Czy wy wiecie, jaki los gotujecie Romciowi?" — pisała w r. 1840. Po wielu latach tragiczny zgon ks. Romana „młodszego" stwierdził prawdziwość bolesnego przeczucia babki.

(Do str. 77.) W książce rosyjskiej takie spotykamy wspomnienie: „Kniaź Sanguszko również służył jako szeregowiec w Tengińskim pułku piechoty. Zabity Polak (zakljatyj Polak) unikał towarzystwa Rosjan i nie utrzymywał z nami bliższych stosunków. Wszyscy trzej (on, hr. Plater i hr. Rzewuski) rozmawiali zawsze po francusku. Wogóle można powiedzieć, że Polacy, zesłani do wojsk kaukaskich, przynosili więcej szkody, niż pożytku. Powodem tego byli księża, wzięci do niewoli z bronią w ręku, w czasie wojny polskiej i zaciągnięci do wojska, jako szeregowcy, wraz z innymi. (Von der Howen. Moje stosunki z Dekabrystami i innemi wybitnemi osobistościami, pełniącemi służbę jako szeregowcy w wojskach kaukaskich w latach 1833—1836. „Drewniaja i nowaja Rossija" r. 1877, tom I, str. 223).

(Do str. 84.) Dopisek księżnej. „Marceli (Lubomirski) opowiedział mi anegdotę, którą tu pomieszczam:

Dwór petersburski szuka rozrywek za wszelką cenę. Cesarz, który przedtem nie tańcował, od dwu lat nabrał namiętności do tańca; gdy można wyszukać młodych ludzi dla ożywienia dworskich balów, to się ich zaprasza skwapliwie. Tak było z Marcelim. Pani de Fiquelmont otrzymała

dwa egzemplarze pamiętników Silvia Pellico*), książki, napisanej przez Włocha, którego rząd austrjacki więził, jako przestępcę politycznego, po różnych więzieniach, a następnie przez długie lata w kazamatach Spielbergu. Książka ta wydała mi się dziełem najbardziej godnem uwagi, jakie wyszło w ostatnich czasach, znać w niem piętno ręki Boga, która tu na ziemi przysposabia i przeprowadza bieg rzeczy, wydających się nam zrazu niepojętemi.

Jak tylko przeczytałam tę książkę, powzięłam żywe pragnienie aby syn mój mógł ją przeczytać; czy zresztą było możliwe, abym nie porównała położenia Silvia Pellico i mojego syna i nie była uderzona analogją ich rezygnacji, ich miłości dla Boga i bliźnich, ich cichego poświęcenia dla sprawy swej ojczyzny? Obawa, żeby nie ściągnąć nowych jakich nieprzyjemności na mojego syna, kazała mi porzucić myśl przesłania mu tego dzieła. Podziwiam miłosierną gorliwość pani Fiquelmont, która ważyła się na tę przesyłkę; zwłaszcza jak na ambasadorową austrjacką, postępek ten był piękny. Jeden z egzemplarzy, który posiadała, dostał mój syn, drugi podarowała Marcelemu.

Pewnego dnia pani ta, znajdując się sam na sam z cesarzową, z którą nierzadko poufnie obcować może, mówiła jej o moim synu, co stara się czynić jak najczęściej. Wspomniała cesarzowej, iż posłała mu bardzo piękną książkę: pamiętniki Włocha, więzionego w Spielbergu, dzieło, które nadawało się bardziej, niż jakiekolwiek inne, do osłodzenia cierpień mego syna. Rozwodziła się szeroko na ten temat. Cesarzowa, której czułość łatwo się rozpłomienia, a pożądania i zachcenia są bardzo żywe, prosiła błagała, aby jej dostać tę książkę, mówiąc, że niezmiernie pragnie ją czytać. Pani de F. odparła, że w całem mieście znajdował się jeden ponoć egzemplarz, ten, który ofiarowała Lubomirskiemu. Tegoż samego wieczora cesarzowa widzi tego młodego człowieka; idzie do niego i prosi go, aby jej przysłał jak najprędzej pamiętniki Silvia Pellico. Marceli odpowiedział, że jedno tylko ma zastrzeżenie, iż nie śmie posłać jej książki, którą już podpisał swojem nazwiskiem.

— Przyślij, przyślij Pan jak najprędzej! — odrzekła cesarzowa. Był jej posłusznym.

Za jakie dwa tygodnie, gdy Marceli już prawie zapomniał o tej przesyłce, cesarz, przetańczywszy walca bardzo zgrzany, bardzo zdyszany, zbliża się do Marcelego i pyta: „A! pan także bawisz się w sentymentalizm?“

Marceli skłonił się i próbował odgadnąć, co cesarz chce przez to powiedzieć?

— Czytałem książkę, która do pana należy.

Ten sam sposób odpowiedzi ze strony Marcelego.

— To książka zakazana, ale ja wiem, że dostałeś ją od pani Fiquelmont. To dobrze napisane, w sam raz dla nieszczęśliwych — i z temi słowy cesarz oddalił się.

---

*) „Le mie prigioni“.

Czy można wyobrazić sobie, że ten, który z własnej i nieprzymuszonej woli katuje setki tysięcy nieszczęśliwych, najszlachetniejszej poświęconych sprawie, że ten sam człowiek czyta „Więzienia“ Silvia Pellico i mówi o nich, tańcząc!“

(Do str. 89.) Szabański Franciszek. Nazwisko jego znajdujemy w spisie oskarżonych o należenie do Tow. Patrjotycznego w procesie r. 1826. Wołłowicz Michał. Jeden z „Promienistych“ wileńskich, żołnierz z r. 1831. Na emigracji należał do Tow. Demokratycznego i do Związku Węglarzy. Jako emisarjusz przybył do kraju w r. 1833 wraz z Arturem Zawiszą i na Litwie w rodzinnej swej wsi Czundry starał się wywołać powstanie ludowe. Ujęty, zginął na szubienicy w Grodnie.

(Do str. 109.) Kpt. Franciszek Majewski, napoleończyk, wzięty do niewoli w Hiszpanji, przepędził dłuższy czas internowany w Szkocji; tam został przyjęty do loży masońskiej, jak twierdził, w wysokim stopniu *Kadosza*. Wróciwszy do kraju w r. 1814, założył na Wołyniu związek Templarjuszów, o prawidłach dość fantastycznych, do którego należeli ludzie wybitni, jak Moszyński, Sobańscy etc. Podporządkował się później organizacji Tow. Patrjotycznego i przypłacił to wolnością. Aresztowany w r. 1826, był jednym z 8-miu oskarżonych, których sądził Sąd Sejmowy. Ordynat Zamoyski w swych zapiskach osądza go lekceważąco: *Très vulgaire, marchand des chevaux.* Skazany na 3½ lat więzienia, został w chwili wybuchu powstania wywieziony wraz z Łukasińskim i Krzyżanowskim. O niego, tak jak i o tamtych, upominał się Sejm przez usta posła Zwierkowskiego, zresztą bezskutecznie. M. został skazany na służbę w armji kaukaskiej, jako prosty żołnierz. Gdy w roku 1836 pozwolono mu wrócić do kraju, ks. Roman polecił go serdecznie swoim rodzicom, prosząc, aby mu udzielili „jakiego kąta, nim się rozpatrzy“, dodając: *„Il est très bon et très agréable“*. Zapalony koniarz, zapalony myśliwy, zapalony muzykus, pan Franciszek zadomowił się w Sławucie i powiększył charakterystyczną gromadę starych domowników. Wywdzięczył się, nawiązując komunikację między Kaukazem a krajem rodzinnym, pod pozorem handlu końmi odwiedzając kilkakrotnie ks. Romana. Pozostał już aż do śmierci rezydentem naprzód księstwa Eustachostwa, a potem ks. Romana w jego „Dworku“ sławuckim.

(Do str. 112.) Zofja z Branickich Arturowa Potocka, tak czczona później przez krakowian za patrjotyzm i dobroczynność „pani Arturowa“, zmarła w roku 1879. Siostra jej była za ks. Woroncowem.

(Do str. 116.) Trapiona bólami w twarzy, księżna Klementyna uzyskała, nie bez trudu, pozwolenie na wyjazd do Poznania, dla zasięgnięcia porady dr. Marcinkowskiego, znakomitego lekarza i patrjoty, który kolegował niegdyś na uniwersytecie berlińskim z ks. Romanem.

Aby uspokoić obawy tegoż, Marcinkowski pisał do niego z Poznania dnia 5 lipca 1837 r.

„Dwadzieścia lat temu, Szanowny Romanie, jakeśmy się poznali w Berlinie. Mógłżem ja w ten czas pomyśleć, że dziś z nad Warty Tobie pod Kaukaz prześlę wiadomość o Twej Matki zdrowiu. Poznałem tę Szanowną Istotę, kiedy mnie zaszczyciła zaufaniem, zasięgając mej rady lekarskiej. Bogu dzięki, że jej zdrowie w takim znalazłem stanie, że jej potrzebować nie będzie. Obawa, którą miała, aby się skir nie uformował w policzku, jest niepotrzebną (szczegóły o chorobie zębów). Zresztą siły Twej Matki moralne i fizyczne, nieszczęściami doświadczone, jak stal w ogniu trwałego hartu nabrały. Złoto się czyści przez ogień. Cnotliwemu w chwilach nieszczęścia Bóg ku pomocy. Bądź dobrej myśli i o zdrowie Matki spokojny. Niech ci Bóg zsyła pociechę, jakiej Ci dusza ma życzy".

(Kopja listu Marcinkowskiego w Archiwum antonińskiem).

(Do str. 125.) Ks. arc. Feliński, bawiąc w Moskwie, jako student uniwersytetu, poznał ks. Romana i pisze o nim, jako o „najznakomitszym z naszych patrjotów, który pod względem poświęcenia i wytrwałości nikomu prześcignąć się nie dał, nikt bowiem więcej od niego nie złożył na ołtarzu Ojczyzny i nikt dłużej i cierpliwiej nie znosił bolesnych następstw swojej ofiary".

Dalej wspomina, że gdy książę, „chcąc zrzucić znienawidzony mundur, prosił z powodu zrujnowanego zdrowia o przeniesienie go do służby cywilnej, wówczas to, na urągowisko... skazany został na pełnienie najniższych policyjnych obowiązków..."

„Wówczas to — pisze ks. Feliński — poznałem księcia Romana, który łaskawie przygarniał do siebie polską młodzież, zwłaszcza zaś studentów uniwersytetu... Rodzajem pełnomocnika księcia był młody literat, Hryhorowicz..."

Kończy opisem choroby księcia, która sprowadziła głuchotę, i przypisuje ją przeziębieniu na polowaniu. (Inni pamiętnikarze mówią o potłuczeniu się przez wypadnięcie z sanek. Tymczasem, jak widać z listów, choroba ta oddawna już dawała się odczuć; początkiem jej było zapewne przeziębienie w drodze na Sybir). „Dopiero kiedy lejbmedyk cesarza stwierdził nieuleczalną głuchotę, wydano księciu paszport za granicę".

(Feliński Zygmunt Szczęsny ks., arcybiskup warszawski. Pamiętniki).

(Do str. 127.) Charakterystyczną pamiątką zainteresowania się i, jak mówi Karwicki, „powszechnego w kraju uwielbienia dla tej małej dzieciny, córki męczennika i bohatera sprawy narodowej", jest wiersz, napisany w marcu r. 1839 w Sławucie przez gen. Morawskiego p. t.:

Do małej Maryni Sanguszko.

Męczeństwem syna Twa Patronka Święta
Matką się ludów całej ziemi stała,
Ciebie, za chlubne Twego ojca pęta,
Polska swem dzieckiem, swą córką nazwała.

Z krańców ojczyzny, jak pielgrzym zdążałem,
By hołd mój przynieść Tobie — Twej rodzinie;
Dzisiaj Cię żegnam szczęśliw, bo ujrzałem
Anioła Polski w Sanguszków dziecinie.

(Karwicki, op. cit., str. 25).

(Do str. 131.) „Dr. Dropsy, zmarły w r. 1878, uratował życie księciu... od tego czasu (1841) nie odstępował ks. Romana... Przeniósłszy się do Sławuty, a później do Zasławia, był mu najwierniejszym doradcą i przyjacielem. Znakomity lekarz Wszechnicy Jagiellońskiej, twórca nowego systematu kuracji elektrycznością, odznaczał się dr. Dropsy dziwnie sympatyczną powierzchownością..." (Wspomnienia o Sławucie, spisał Józef Dunin-Karwicki, „Kłosy", Nr. 831 z r. 1881).

W archiwum znajduje się wiele listów, które dr. Dropsy pisał do swego, jak go nazywał: „najukochańszego księcia".

(Do ilustr. „Obrazek z życia domowego w Sławucie"). Jakób Deszpan, karzeł wzrostu 4-letniego dziecka, był jeszcze ks. wojewody Hieronima domownikiem. Gdy zmarł w Sławucie w wieku lat 80-ciu, hr. Alfredowa Potocka, którą on zawsze „serdeczną Maniusią" nazywał, postawiła mu nagrobek z napisem: *Przyjacielowi pięciu pokoleń*. Trzymał do chrztu w 2-giej parze ks. Romana, potem jego córkę, a wreszcie wnuczkę, Julję.

(Do ilustr. „Oficyna przy stajniach w Sławucie"). „Sławuta dostała się z działu synowcowi księcia, ks. Romanowi młodszemu... ks. Roman starszy zachował tylko dożywotnie pomieszczenie dla samego siebie w pawilonie nad stajniami, gdzie z górą 30 lat przemieszkał. Dla swoich zaś gości i dworzan urządził dworek, gdzie każdego rad podejmował... była to cicha ustroń, położona wśród gaju dębowego, otoczona starannie pielęgnowanym sadem... Mieszkała tam ulubiona jego synowica, hrabianka Pelagja Potocka, córka Hermana i Mokronowskiej (sierotką przygarnięta przez księżnę i wychowywana razem z Marynią), która przez 20 lat ostatnich, z dziwną pieczołowitością i anielską dobrocią pielęgnowała stryja... Codzień około 8-ej rano książę przychodził z pawilonu stajennego do dworku na herbatę, a przestrzeń to nie mała była, bo około pół wiorsty... Tu, na św. Romana 1859 r. przyjmywał solennie 90-letniego pułkownika Marcina Tarnowskiego... (Napoleończyka i więźnia stanu z r. 1826), tu na Nowy Rok i święta zgromadzali się, prócz rodziny i sąsiadów, wszyscy oficjaliści z dóbr sanguszkowskich, którzy go rzeczywiście ubóstwiali... (J. Dunin-Karwicki. Wspomnienia o Sławucie. „Kłosy", rok 1881).

(Do ilustr. „Kościół w Sławucie"). „...Rozrzewniający był widok exportacji zwłok patrjarchy naszego. Ze skromnego pomieszkania jego nad ulubionemi stajniami w Sławucie, trumnę wynieśli członkowie rodziny z namiestnikiem Galicji, hr. Alfredem Potockim, na czele. Ode

drzwi wzięli ją na barki oficjaliści i dźwigali, zmieniając się kolejno, aż do kościoła. Szpaler z zapalonemi pochodniami wśród tłumów niezliczonych tworzyli starzy kozacy nieboszczyka. Sam widziałem, jak łzy spływały na sumiaste wąsy jednego z nich. „My tepercze siroty! nema wże naszoho Bat'ka..."

Mów żadnych na pogrzebie nie było (zmarły w ostatniej woli zalecił, aby pogrzeb jego był cichy, prędki, pieszy i mało ludny), ale tysiące zgromadzonych ludzi ze łzą w oku pożegnały zwłoki czcigodnego Męża".

(Adam Pług. Ś. p. Roman ks. Lubartowicz Sanguszko. „Kłosy", str. 231, Nr. 824 z r. 1881. Warszawa).

(Literatura). Wspomnienia o Sławucie i Antoninach oraz pewne szczegóły o życiu i działalności ks. Romana Sanguszki znajdujemy w pamiętnikach Józefa Dunin-Karwickiego, Tadeusza Bobrowskiego, Henryka Steckiego, w opisach Wołynia J. I. Kraszewskiego, Jaksy Bykowskiego, Berlicza Sasa-Strutyńskiego, A. Rollego i innych. Pośmiertne wspomnienia podały wszystkie prawie pisma, wyróżniają się między niemi piękne, serdecznie odczute nekrologi Adama Pługa (Kłosy z 1881 r.) i Stanisława Tarnowskiego (Przegląd Polski. Kwiecień z 1881 r.). Przepowiednia tego ostatniego, że postać „Kniazia Sybirskiego" weźmie na swe skrzydła poezja, nie sprawdziła się dotąd. Prócz sympatycznego, ale słabego wiersza Stefana z Opatówka (St. Gillera) w „Ruchu Literackim" z r. 1875, nie znamy utworu poetyckiego, któryby godnie oddał tę piękną postać.

Dopiero w ostatnich latach pisarz, wyrosły z tej samej, co książę, gleby nakreślił i światu dał poznać szkic, drobny wprawdzie tylko, ale z genjalną intuicją odtwarzający człowieka. Joseph Conrad: Prince Roman w zbiorze nowel „Tales of Hearsay" London Fisher and Ungwin, 1926. Józef Conrad Korzeniowski napisał swego „Księcia Romana" prawdopodobnie w r. 1910—11. Opowiadanie to było drukowane po raz pierwszy w „The Oxford and Cambridge Review", w październiku 1911, w styczniu 1912 umieszcza je amerykański „Metropolitan Magazine" pod charakterystycznym tytułem: „The Aristocrat" (Szczegóły od p. Jean-Aubry, wydawcy dzieł Conrada).

(Do mapki I). Droga, którą odbył ks. Roman z Kijowa do Tobolska, później z Tobolska do Stawropla, znaczona czerwono.

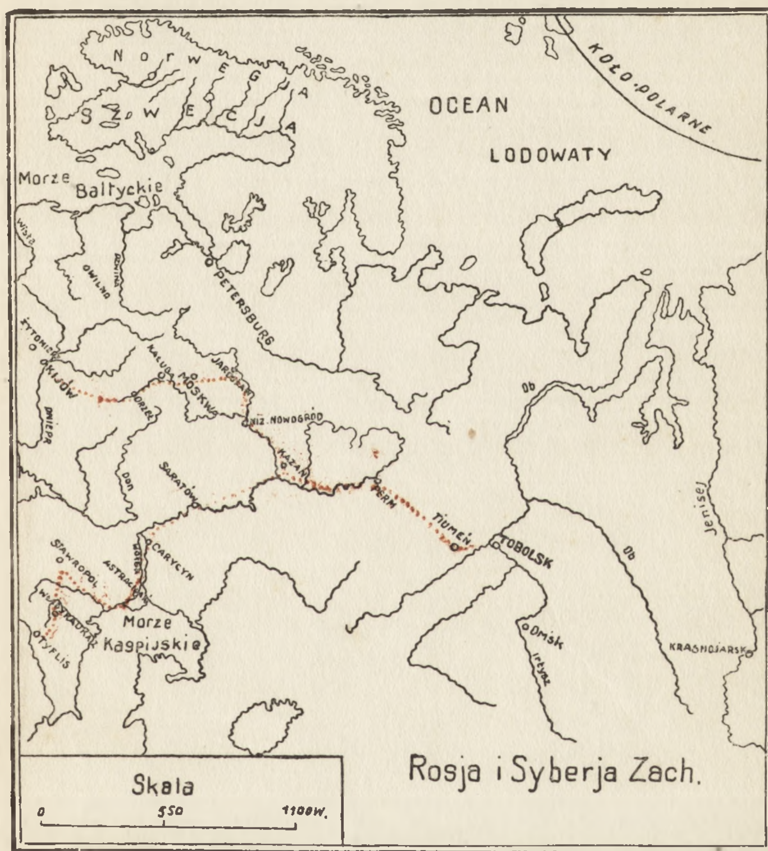
Marszruta Kijów — Tobolsk: od Kijowa do Orła — 521 wiorst, od Orła do Moskwy — 350 w., od Moskwy do Kazania — 767 w., od Kazania do Permu — 577 w., od Permu do Tobolska — 928 w. Razem od Kijowa do Tobolska — 3143 wiorsty, z tego piechotą ok. 2000 wiorst. (Od Orła do Permu i mniej więcej połowę drogi z Permu do Tobolska).

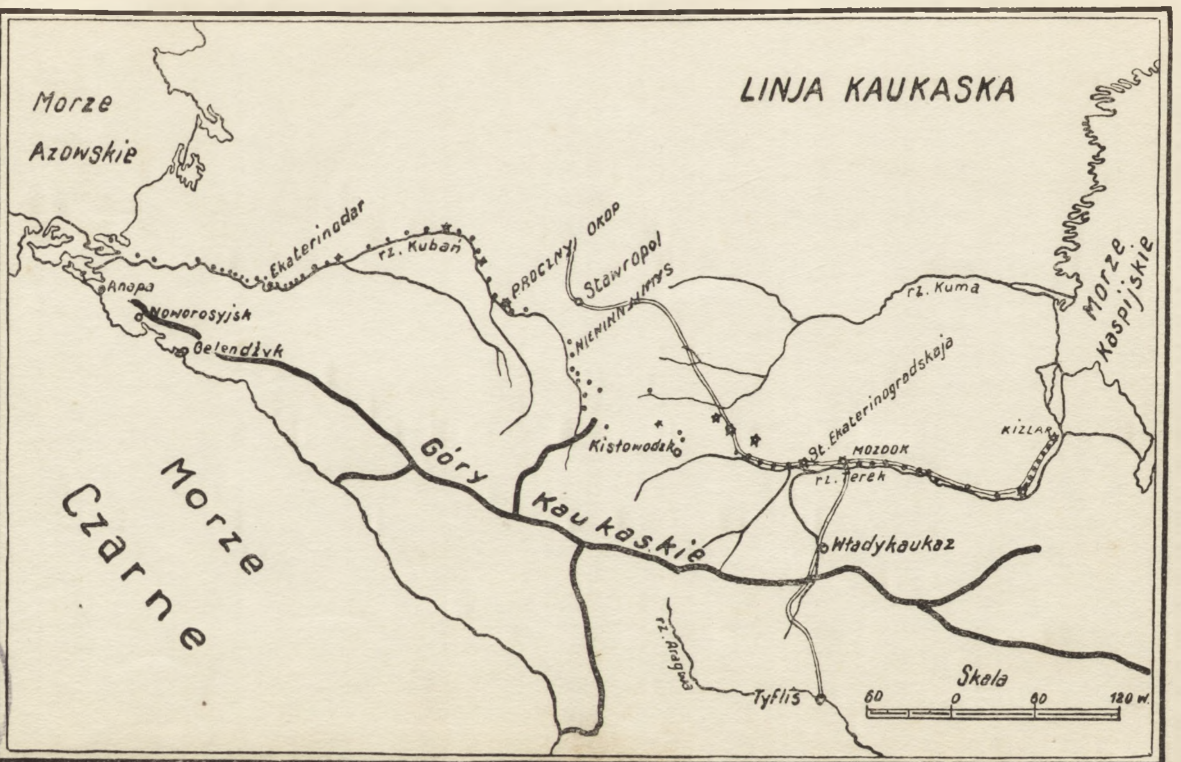
Marszruta Tobolsk — Stawropol: od Tobolska do Saratowa — 2138 wiorst, od Saratowa do Astrachania — 775 w., od Astrachania do Stawropola — 786 w., od Stawropola do Tyflisu — 529 w., droga powrotna z Tyflisu do Stawropola — tyleż. Razem — 4757 wiorst, pocztą. (Odległości wzięte z książki: Rossijskiej pocztowyj dorożnik. Petersburg, 1842).

(Do mapki II). Rosja wzdłuż rzek Kubani, Małki i Tereku zbudowała w końcu XVIII wieku linję umocnień, zwaną „linją kaukaską". Celem tej linji było zapewnienie komunikacji pomiędzy Rosją a Transkaukazją, obrona gubernij południowych od napadów górali kaukaskich i utrzymanie w karbach posłuszeństwa podbitego kraju. Tworzył ją szereg umocnień, które pod względem inżynieryjnym dzieliły się na forteczki, umocnienia (retranchements), reduty i ufortyfikowane stanice (wsi) kozackie. Procznyj Okop był forteczką, Niewinnyj Mys — redutą. Pomiędzy umocnieniami był kordon, złożony z posterunków i pikiet. Obsadę linji stanowiła miejscowa ludność uzbrojona (kozacy) i wojsko regularne, które podlegało dowódcy korpusu kaukaskiego. Linję ok. 1860 r. zniesiono. Linja kubańska, ciągnąca się wzdłuż rzeki Kubani, stanowiła t. zw. prawe skrzydło linji kaukaskiej.

Uwaga. W rozdziale „Listy" ustępy, pisane w oryginale po polsku, są drukowane kursywą dla odróżnienia od pozostałych, tłumaczonych z francuskiego.

INDEKS


Norwegja
Szwecja
OCEAN
LODOWATY
KOŁO POLARNE
Morze
Bałtyckie
Wisła
WILNO
PETERSBURG
KIJÓW
DNIEPR
MOSKWA
ORZEŁ
NIŻ. NOWOGRÓD
KAZAŃ
PERM
TIUMEŃ
TOBOLSK
Don
SARATÓW
CARYCYN
STAWROPOL
TYFLIS
Morze
Kaspijskie
Ob
Ob
Jenisej
Omsk
Irtysz
KRASNOJARSK
Rosja i Syberja Zach.
Skala
0
550
1100W.


LINJA KAUKASKA
Morze Azowskie
Morze Kaspijskie
Morze Czarne
Góry Kaukaskie
Ekaterinodar
rz. Kubań
Procznyj Okop
Stawropol
Anopa
Noworosyjsk
Belendżyk
rz. Kuma
St. Ekaterinogradskaja
Kistowodzk
Mozdok
Kizlar
rz. Terek
Władykaukaz
rz. Aragwa
Tyflis
Skala
60
0
60
120 w.

SPIS ILUSTRACYJ.

MAPKI.

SPIS TREŚCI.

Książki niniejszej

wydrukowano dla

GEBETHNERA I WOLFFA

w Drukarni

WŁ. ŁAZARSKIEGO

2700 egzemplarzy, mianowicie:

2200 egz. na papierze bezdrzewnym z 15 rotograwjurami, 375 egz., numerowanych od 1 do 375, na luksusowym papierze czerpanym z 15 rotograwjurami i 4 światłodrukami barwnemi, 125 egz., numerowanych od 376 do 500, na papierze bezdrzewnym również z 15 rotograwjurami i 4 światłodrukami barwnemi. Rotograwjury wykonano w Zakładach Graficznych Instytutu Wydawniczego „Bibljoteka Polska" w Bydgoszczy, światłodruki barwne — u M. Jaffégo w Wiedniu.

Znak na karcie tytulowej i okładce

według rysunku

IGNACEGO ŁOPIEŃSKIEGO

№

